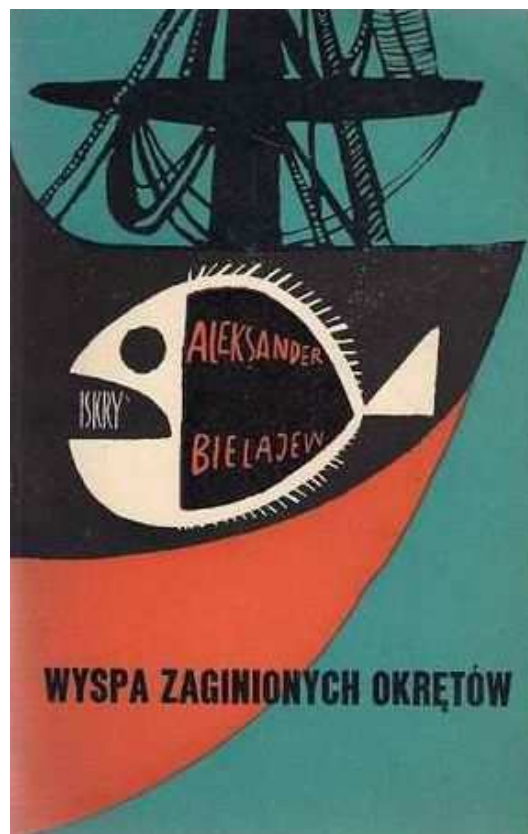


ALEKSANDER BIELAJEW

**WYSPA
ZAGINIONYCH OKRĘTÓW**

TYTUŁ ORYGINAŁU: OSTROW POGIBSZYCH KORABLEJ
PRZEKŁAD: ADAM GALIS



ISKRY • WARSZAWA • 1960

WYSPA ZAGINIONYCH OKRĘTÓW

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. Na pokładzie

Wielki parowiec transatlantyczny „Benjamin Franklin” miał za chwilę opuścić port genueński. Na nabrzeżu trwała zwykła krzątanina, słychać było okrzyki różnojęzycznego, barwnego tłumu, a na statku zapanowała pełna napięcia cisza, jaka zwykle poprzedza moment odpłynięcia statku w daleką podróż. Tylko na pokładzie trzeciej klasy tłoczyli się podróżni, zajmując miejsca i układając rzeczy. Pasażerowie pierwszej klasy z wysokości swego pokładu obserwowali w milczeniu to mrowisko ludzkie.

Parowiec ryknął po raz ostatni, aż się zatrzęśło powietrze. Marynarze zaczęli śpiesznie podnosić trap.

W tym momencie na trap szybko weszli dwaj mężczyźni. Idący w tyle dał marynarzom znak dłonią i trap został ponownie spuszczone.

Spóźnieni pasażerowie weszli na pokład. Elegancko ubrany, barczysty młodzieniec ruszył szybko w stronę kajut, trzymając ręce w kieszeniach luźnego płaszcza. Jego gładko wygolona twarz była spokojna. Ale uważny obserwator, widząc ściągnięte brwi nieznanego i jego lekki, ironiczny uśmiech, mógłby się łatwo domyślić, że to jest spokój pozorny. W ślad za młodzieńcem, nie odstępując go ani na krok, szedł starszy, zażywny mężczyzna w meloniku zsuniętym na kark. Na jego spoconej, jakby zmiętej twarzy malowało się jednocześnie zmęczenie, zadowolenie i napięta uwaga niczym u kota, który trzyma w zębach mysz. Ani na chwilę nie spuszczał oka ze swego towarzysza podróży.

Na pokładzie statku, w pobliżu trapu, stała młoda dziewczyna w białej sukni. Jej spojrzenie spotkało się na chwilę ze spojrzeniem spóźnionego pasażera, który szedł pierwszy.

Kiedy ta dziwna para przeszła, dziewczyna w białej sukni usłyszała, jak marynarz zdejmujący trap powiedział do kolegi, wskazując głową spóźnionych pasażerów:

— Widziałeś? Nasz stary znajomy Jim Simpkins, detektyw nowojorski, złapał jakiegoś faceta.

— Simpkins? — odparł drugi marynarz. — On nie poluje na drobnego zwierza.

— Tak, popatrz, jak ten facet jest ubrany. Na pewno jakiś kasiarz albo coś jeszcze gorszego.

Miss Kingman złękła się. Na tym samym statku, jechać będzie do Nowego Jorku przestępca, może nawet morderca. Dotychczas tylko w dziennikach widywała fotografie tych tajemniczych i strasznych ludzi.

Miss Kingman weszła pośpiesznie na górny pokład. Tu, wśród ludzi ze swego środowiska, w miejscu niedostępnym dla zwykłych śmiertelników, czuła się stosunkowo bezpiecznie. Usiadłszy wygodnie na wyplatany fotelu, pograżyła się w dobroczynnej kontemplacji, która była nieocenionym darem podróży morskich dla nerwów, wyczerpanych zgiełkiem miasta. Płócienny tent osłaniał jej głowę przed gorącymi promieniami słońca. Cicho kołysały się nad

nią liście palm stojących w szerokich donicach między fotelami. Skądś z boku płynął wonny zapach drogiego tytoniu.

— Przestępca. Kto by przypuszczał? — szepnęła miss Kingman, wciąż jeszcze myśląc o spotkaniu przy trapie. I by ostatecznie pozbyć się przykrego wspomnienia, wyjęła z torebki małą japońską papierośnicę z kości słoniowej, z kwiatami wyrzeźbionymi na wieczku, i zapaliła egipskiego papierosa. Błękitna smuga dymu popłynęła do góry, pod palmowe liście.

Parowiec odpływał, ostrożnie opuszczając port. Zdawało się, że statek stoi na miejscu, a przesuwa się otaczający go krajobraz jak dekoracja na scenie obrotowej. Oto cała Genua zwróciła się w stronę burty parowca, jak gdyby chciała ukazać się odjeżdżającym po raz ostatni. Białe domy zbiegały z gór i tłoczyły się w strefie nadbrzeżnej jak stado owiec przy wodopoj. A nad nimi wznosiły się żółtobrunatne szczyty z zielonymi plamami ogrodów i pinii. Lecz oto ktoś zmienił dekorację. Odsłonił się kąt zatoki — modra lustrzana powierzchnia wody o przejrzystości kryształu. Zdawało się, że białe jachty tkwiły w kawałku błękitnego nieba, który spadł na ziemię — tak wyraźnie widać było cały zarys statku w przezroczystej wodzie. Ogromne ławice ryb uwijały się między żółtawymi kamieniami i niskimi wodorostami na białym piaszczystym dnie. Stopniowo woda stawała się coraz bardziej modra, aż całkowicie zasłoniła dno...

— Jak się pani podoba kajuta?

Miss Kingman obejrzała się. Przed nią stał kapitan, który za swój obowiązek uważał okazywanie grzecznego zainteresowania swym „najdroższym” pasażerem.

— Dziękuję panu, mister...

— Brown.

— Mister Brown, doskonale. Czy zawiniemy do Marsylii?

— Nowy Jork jest naszym pierwszym postojem. A zresztą, może zatrzymamy się na kilka godzin w Gibraltarze. Pani chciałaby być w Marsylii?

— O, nie — szybko i jakoś lękliwie odpowiedziała miss Kingman. — Strasznie mi Europa obrzydła. — I po chwili milczenia zapytała: — Panie kapitanie, czy na naszym statku znajduje się przestępca?

— Jaki przestępca?

— Jakiś zaaresztowany...

— Może mamy na statku nawet kilku przestępców. To normalna rzecz. Przecież ci panowie zazwyczaj uciekają przed europejskim wymiarem sprawiedliwości do Ameryki, a przed amerykańskim — do Europy. Lecz detektywi odnajdują ich i dostarczają zbłąkane owieczki do ojczyzny. Obecność tych ludzi na statku nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa — może pani być zupełnie spokojna. Przyprawdzają ich bez kajdanków tylko dlatego, by nie zwracać uwagi publiczności. Natomiast w kajucie nakłada im się natychmiast ręczne kajdanki przymocowane do łóżek.

— Przecież to jest okropne! — zawołała miss Kingman,

Kapitan wzruszył ramionami.

Ani on, ani nawet miss Kingman nie zrozumieli niejasnego odruchu wywołanego przez ten okrzyk. To straszne, że ludzi jak dzikie zwierzęta skuwa się łańcuchem. Tak myślał kapitan, chociaż uważał to za słuszny środek ostrożności.

To straszne, że młody człowiek, tak niepodobny do przestępcy i nie różniący się niczym od ludzi z jej środowiska, będzie przez całą drogę zamknięty w dusznej kajucie.

Miss Kingman, zaciągnawszy się mocno papierosem, pogrążyła się w rozmyślaniach.

Kapitan niepostrzeżenie odszedł. Świeży morski wiatr igrał końcem białego jedwabnego szala i kasztanowymi kędziorami miss Kingman.

Nawet tutaj, w odległości kilku mil od portu, docierała woń kwitnących magnolii jak ostatnie pozdrowienie genueńskiego wybrzeża. Olbrzymi parowiec niezmordowanie pruć błękitną powierzchnię, pozostawiając za sobą daleki, rozfalowany ślad. A fale drobnym ściegiem

zszywały bliznę, która powstała na jedwabnej płaszczyźnie morza.

II. Burzliwa noc

— Szach królowi. Szach i mat.

— Ażeby pana rekin połknął! Pan gra po mistrzowsku, mister Huttling — powiedział słynny detektyw nowojorski Jim Simpkins i niezadowolony podrapał się za prawym uchem. — Tak, pan gra świetnie — ciągnął dalej. — A jednak ja gram lepiej od pana. Ograł mnie pan w szachy, ale za to jakiego świetnego szacha i mata dałem panu tam, w Genui, kiedy pan jak król szachowy zaszył się w najdalszej klatce zniszczonego domu! Chciał się pan ukryć przede mną! Na próżno! Jim Simpkins znajdzie nawet na dnie morza. To był właśnie szach i mat — detektyw z zarzuciającą miną zapalił cygaro.

Reginald Huttling wzruszył ramionami.

— Pan miał za dużo pionków. Zaalarmował pan całą policję w Genui i zorganizował prawdziwe oblężenie. Żaden szachista nie wygra partii, mając tylko jednego króla przeciw wszystkim figurom przeciwnika. A poza tym, mister Simpkins, nasza partia... jeszcze nie jest zakończona.

— Tak pan uważa? Ten łańcuszek jeszcze pana nie przekonał? — I detektyw dotknął lekkiego, lecz mocnego łańcucha, którym Huttling był przykuty za lewą rękę do metalowego łóżka.

— Pan jest naiwny jak wielu genialnych ludzi. Czy łańcuchy stanowią dowód logiczny? Zresztą, nie będziemy się wdawać w filozoficzne rozważania.

— I wrócimy do gry. Żądam rewanżu — zakończył Simpkins.

— Wątpię, czy się nam uda. Chwiejba jest coraz silniejsza i może nam pomieszać figury, zanim skończymy partię.

— Czy mam to rozumieć również w sensie przenośnym? — zapytał Simpkins, ustawiając figury.

— Jak pan sobie życzy.

— Tak, kołysz mocno — i Simpkins zrobił pierwszy ruch.

W kajucie było duszno i gorąco. Znajdowała się poniżej linii zanurzenia, w pobliżu maszynowni, która jak potężne serce wstrząsała ścianami pobliskich pomieszczeń i napełniała je rytmicznym łoskotem. Gracze zamilkli usiłując utrzymać deskę z szachami w równowadze.

Burza przybierała na sile. Statek kołysał się coraz bardziej. Kładł się na lewy bok i podnosił się powoli. Znów... i jeszcze raz... Jak pijany...

Szachy rozleciały się. Simpkins upadł na podłogę. Huttlinga zatrzymał łańcuch, który boleśnie szarpnął go za rękę w przegubie, na którym znajdowała się „bransoleta”.

Simpkins zaklął i usiadł na podłodze.

— Tu jest trochę pewniej. Wie pan, panie Huttling, niedobrze mi jest... coś jakby... chorooba morska. Jeszcze nigdy nie miałem do czynienia z takim piekielnym kołysaniem. Położę się... Ale pan nie ucieknie, jeżeli ze mną będzie kiepsko?

— Na pewno — odparł Huttling, kładąc się na łóżku. — Rozerwę łańcuszek i ucieknę... rzucę się w fale. Wole towarzystwo rekinów...

— Pan żartuje, panie Huttling — Simpkins poczołgał się do łóżka i położył się jęcząc.

Nie zdążył się jeszcze wyciągnąć, kiedy ponownie spadł zrzucony przez straszne pchnięcie, które wstrząsnęło całym parowcem. Gdzieś zatrzeszczało, zadzwoniło, szumiało i huczało. Na górze rozległy się okrzyki, tupot nóg i nagle zagłuszając cały harmider zawyła syrena, dając sygnał: „Wszyscy na pokład!”

Simpkins, pokonując zmęczenie i osłabienie, czepiając się ścian kajuty, ruszył do drzwi. Był śmiertelnie przerażony, lecz przed towarzyszem podróży udawał spokój.

— Huttling! Tam się coś stało! Idę zobaczyć. Przepraszam, ale muszę zamknąć pana! — krzyknął.

Huttling popatrzył z pogardą na detektywa i nic nie odpowiedział.

Kołysanie trwało dalej, lecz teraz można było spostrzec, że statek powoli zanurza się dziobem.

Po kilku minutach Simpkins stanął we drzwiach. Z jego nieprzemakalnego płaszcza spływały potoki wody. Twarz detektywa wykrzywiło przerażenie, którego już nie próbował ukrywać.

— Katastrofa... Toniemy... Statek został przedziurawiony... Chociaż nikt nic dokładnie nie wie... Przygotowują łodzie... Kazano włożyć pasy ratunkowe... Ale jeszcze nikogo nie wpuszczają do łodzi... Mówią, że statek ma jakieś grodzie i może nie utonie, jeśli tam zrobią coś takiego, diabli wiedzą co... Pasażerowie biją się z marynarzami, którzy odpędzają ich od łodzi... Ale co mam robić, co ja mam robić? — krzyknął z taką miną, jak gdyby Huttling był winny jego wszystkich nieszczęść... — Co ja mam robić? Ratować się na własną rękę i śleźć pana? Możemy się znaleźć w różnych łodziach i pan mi chyba ucieknie.

— A to pana nie uspokaja? — zapytał drwiąco Huttling wskazując na łańcuch, którym był przykuty do łóżka.

— Przecież, do stu diabłów, nie mogę tutaj zostać z panem!

— Słowem, chce pan uratować siebie, mnie i dziesięć tysięcy dolarów nagrody. Bardzo panu współczuję w tej ciężkiej sytuacji, ale nie mogę panu pomóc.

— Może pan, może pan... Proszę posłuchać, mój drogi — i głos Simpkinsa zabrzmiał przymilnie. Detektyw skurczył się, jak żebrak proszący o jałmużnę — niech mi pan da słowo... niech pan tylko przyrzeknie, że nie ucieknie mi pan na łądzie, a natychmiast zdejmę kajdanki... proszę tylko dać słowo. Ja panu ufam.

— Dziękuję za zaufanie. Ale nie dam słowa. A właściwie powiem panu: ucieknę przy pierwszej sposobności. Na to mogę dać panu słowo.

— O!... Więc tak! A jeśli zostawię pana tutaj, uparty człowieku? — I Simpkins, nie czekając na odpowiedź, pobiegł do drzwi kajuty. Czepiając się stromych schodków wszedł na pokład zalany światłem lamp łukowych. Od razu znalazł się pod nawałnicą deszczu i pod naporem burzliwego wiatru. Rufa statku znajdowała się jeszcze nad wodą, lecz fale już zalewały dziób. Simpkins rozejrzał się dokoła i stwierdził, że z dyscypliny, która istniała jeszcze przed paroma minutami, nie zostało śladu. Zniósł ją jak słabą przeszkodę wściekły napór pierwotnego, zwierzęcego uczucia zwanego instynktem samozachowawczym. Elegancko ubrani panowie, którzy jeszcze wczoraj gotowi byli na każde skinienie dam, teraz torowali sobie pięściami drogę do łodzi ratunkowych, depcząc po ciałach przewróconych kobiet. Zwyciężał silniejszy. Głos syreny okrętowej zlewał się z nieludzkim rykiem oszalałego stada dwunożnych zwierząt. Na pokładzie widać było stratowane ciała, strzępy odzieży.

Simpkins stracił głowę, gorąca fala krwi zalała mu mózg. W pewnym momencie gotów był sam rzucić się do walki o życie. Lecz nawet w takiej chwili pamiętał o dziesięciu tysiącach dolarów i opanował się. Zbiegł na łeb, na szyję ze schodów, wpadł do kajuty, runął, potoczył się z powrotem do drzwi, czołgając się dotarł do łóżek i bez słowa, drżącymi rękami zaczął otwierać zamek łańcucha.

— Na pokład! — Puścił Huttlinga przed sobą i ruszył za nim.

Kiedy dotarli na górę, Simpkins ryknął z bezsilnej wściekłości: statek opustoszał. Na wielkich falach, w świetle płynącym z iluminatorów parowca, widać było odpływające ostatnie łodzie. Były przepełnione. O dotarciu do nich wplaw nie było mowy.

Tonący czepiali się kurczowo burt łodzi. Odpływający zadawali nieszczęsnym ciosy nożami, tłukli ich pięściami i wiosłami, strzelali z rewolwerów. Fale pochłaniały co chwila

nowe ofiary.

— To wszystko przez pana! — wrzasnął Simpkins, wygrażając pięścią Huttlingowi.

Lecz Huttling nie zwracał uwagi na detektywa, zbliżył się do burty i popatrzył uważnie na dół. Tuż obok statku kołysało się na falach ciało kobiety. Tonąca w ostatnim wysiłku wyciągała ręce i kiedy fala przysuwała ją do parowca, usiłowała bez skutku uchwycić się żelaznego poszycia statku.

Huttling zrzucił z siebie płaszcz i skoczył do wody.

— Pan chce uciec? Odpowie pan za to! — Simpkins wycelował lufę rewolweru w Huttlinga. — Strzelam, jeśli pan spróbuje odpłynąć.

— Dość tych bredni, niech pan natychmiast rzuci linę, durniu! — krzyknął Huttling chwytając za rękę nieprzytomną już kobietę.

— On tu się jeszcze rządzi! — wrzasnął detektyw wymachując nieudolnie końcem liny. — To jest obraza osoby urzędowej wykonującej obowiązki służbowe!

Miss Vivian Kingman odzyskała przytomność w kajucie. Westchnęła głęboko i otworzyła oczy.

Simpkins ukłonił się szarmancko:

— Pozwoli pani, że się przedstawię: detektyw Jim Simpkins, a to jest mister Reginald Huttling, znajdujący się, że tak powiem, pod moją opieką..

Miss Kingman nie wiedziała, jak należy się zachowywać w towarzystwie policjanta i zbrodniarza. Oto córka miliardera znalazła się wśród takich ludzi. Na domiar wszystkiego zawdzięczała jednemu z nich swe ocalenie, powinna mu podziękować. Ale jak można podać rękę przestępcy? Nie, nie uczyni tego. Na szczęście jest jeszcze zbyt osłabiona, nie jest w stanie podnieść ręki... oczywiście, nie jest w stanie. Poruszyła lekko ręką i nie wyciągając jej rzekła słabym głosem:

— Dziękuję panu, uratował mi pan życie.

— Każdy człowiek zrobiłby to samo — odpowiedział po prostu Huttling. — Powinna pani teraz odpocząć. Niech pani będzie spokojna, parowiec dobrze trzyma się na wodzie i nie zatoni. — I pociągnąwszy Simpkinsa za rękaw powiedział: — Chodźmy.

— Jakim prawem pan mi rozkazuje? — zrzędził detektyw idąc za Huttlingiem. — Proszę nie zapominać, że jest pan aresztowany i w każdej chwili mogę założyć panu kajdanki.

Huttling zbliżył się do Simpkinsa i spokojnie, lecz dobitnie odpowiedział:

— Słuchaj, Simpkins, jeśli pan nie przestanie pleść bzdur, wezmę pana za kark i wyrzucę za burtę jak zdechłego kota, razem z pańskim automatycznym pistoletem, który mi obrzydł tak samo jak pańska osoba. Zrozumiano? Proszę natychmiast schować broń do kieszeni i iść ze mną. Musimy przygotować śniadanie dla miss Kingman i poszukać dobrego wina.

— A niech to diabli! Pan chce zrobić ze mnie pokojówkę i kucharkę? Mam czyścić jej pantofle i podawać szpilki do włosów?

— Chcę tylko, żeby pan przestał gadać i zaczął coś robić. Ruszaj się pan!

III. W tej samej pustyni

— Proszę mi powiedzieć, mister Huttling, dlaczego nasz statek nie zatonął? — spytała miss Kingman. Siedzieli obok siebie na pokładzie w promieniach porannego słońca. Dookoła, gdzie tylko sięgnęło oko, rozpościerał się niezmierny przestwór oceanu jak szmaragdowa pustynia.

— Nowoczesne statki oceaniczne — odpowiedział Huttling — posiadają grodzie wewnętrzne, czyli ścianki. Gdy powstanie szczelina, woda dostaje się tylko do części statku. I

jeśli uszkodzenie nie jest wielkie, statek może utrzymać się na powierzchni nawet w takim wypadku, gdy otwór jest duży.

— Dlaczego więc pasażerowie opuścili statek?

— Nikt nie mógł wiedzieć z całą pewnością, czy statek utrzyma się na powierzchni. Proszę popatrzeć: dziób zanurzył się w wodzie, a rufa podniosła się tak wysoko, że widać łopatki śruby. Pokład przechylił się pod kątem trzydziestu stopni nad powierzchnią oceanu. Nie łatwo jest chodzić po tym stromym zboczu, ale zawsze to lepiej niż pluskać się w wodzie. Udało się nam. Na statku znajdują się wielkie zapasy żywności i wody. I jeżeli nie zniosło nas zbyt daleko od szlaków oceanicznych, to możemy wkrótce spotkać jakiś statek, który nas zabierze.

Mijały jednak dni za dniami, a błękitna pustynia oceanu była wciąż tak samo martwa. Simpkins wypatrzył oczy, obserwując morską dal.

Miss Kingman bardzo szybko oswoiła się z rolą gospodyni. Gotowała, prała bieliznę, utrzymywała czystość w jadalni i „salonie” — małej, przytulnej kajucie, w której lubili spędzać wieczory.

Trudne dla miss Kingman pytanie, jak się zachowywać w nowym, obcym dla niej otoczeniu, rozstrzygnęło się samo przez się. Do Simpkinsa odnosiła się z dobroduszną ironią, z Huttlingiem ustaliły się proste, przyjazne stosunki. Co więcej, interesował ją tajemniczy los Huttlinga i jego charakter. Taktownie nie tylko nie pytała Huttlinga o jego przeszłość, lecz również nie dopuszczała, by Simpkins mówił na ten temat, chociaż Simpkins nieraz usiłował pod nieobecność Huttlinga opowiedzieć o jego strasznej „zbrodni”.

Miss Kingman chętnie rozmawiała z Huttlingiem wieczorami podczas zachodu słońca, po załatwieniu spraw skromnego gospodarstwa. Simpkins tkwił na swym punkcie obserwacyjnym, szukając dymu parowca, który dla niego byłby zwiastunem ocalenia, triumfu zawodowego i obiecanej nagrody.

Na podstawie tych rozmów miss Kingman mogła się przekonać, że jej rozmówca jest wykształcony, taktowny i dobrze wychowany. Rozmowy z dowcipną miss Kingman sprawiały Huttlingowi również wielką przyjemność. Miss Kingman opowiadała o swej podróży po Europie i rozśmieszała Huttlinga dowcipnymi charakterystykami.

— Szwajcaria? To górskie pastwisko turystów. Objechałam cały świat, lecz nienawidzę tych przeżuwających dwunożnych z Baedekerem na miejscu ogona. Przeżuli oczami wszystkie uroki przyrody.

— Wezuwiusz? Jakiś karzeł, który kopci tanie cygara i udaje ważnego. Czy widział pan łańcuch gór Colorado? Szczyt Grays, szczyt Lougs, szczyt Arapahoe — to są góry. Nie mówię już o takich olbrzymich jak Mount Everest, liczący osiem tysięcy osiemset metrów. W porównaniu z tymi górami Wezuwiusz jest szczenięciem.

— Wenecja? Mogą tam mieszkać tylko żaby. Gondolier obwoził mnie głównymi kanałami, pragnąc zareklamować towar: te wszystkie pałace, posągi i inne cuda zzieleniałe z wilgoci oraz Angielki z wyłupiastymi oczami. Ale kazałam mu, żeby mnie zawiózł na jakiś mały kanał — nie wiem czy dobrze powiedziałam, ale zrozumiał mnie i kiedy powtórzyłam ponownie mój rozkaz — skierował niechętnie gondolę do wąskiego kanału. Chciałam się przekonać, jak mieszkają Wenecjanie. Przecież to jest okropne. Kanały są tak wąskie, że sąsiedzi z przeciwka mogą sobie podać ręce. Woda tam cuchnie pleśnią, a na powierzchni pływają skórki od pomarańcz i różne śmiecie wyrzucane z okien. Do tych kamiennych wąwozów nigdy nie zagląda słońce. A dzieci, nieszczęśliwe dzieci! Nie mają nawet gdzie się pobawić. Blade, rachityczne, siedzą na parapetach okien i w każdej chwili mogą wpaść do brudnego kanału. A z jakim smutkiem spoglądają na przejeżdżającą gondolę. Nie jestem nawet pewna, czy umieją chodzić.

— A co się pani podobało we Włoszech?

W tym momencie rozmowa została przerwana w zaskakujący sposób:

— Ręce do góry!

Przed nimi stał Simpkins z rewolwerem skierowanym w pierś Huttlinga.

Detektyw Od dłuższej chwili przysłuchiwał się rozmowie, spodziewając się, że Huttling zacznie mówić o swojej zbrodni. Lecz gdy przekonał się, że rozmowa ma niewinny charakter, postanowił wystąpić w nowej roli, w roli człowieka „zapobiegającego zbrodniom”.

— Miss Kingman — powiedział pompatycznie — uważam to za swój obowiązek służbowy, obowiązek uczciwego człowieka: muszę uprzedzić panią o grożącym jej niebezpieczeństwie. Nie mogę dłużej zgodzić się na te rozmowy sam na sam. Muszę panią uprzedzić, miss Kingman, że Huttling jest niebezpiecznym przestępcą. Niebezpiecznym przede wszystkim dla kobiet. Huttling zamordował młodą niewiastę, opętawszy ją uprzednio swą gładką wymową. Zabił i zbiegł, lecz został aresztowany przeze mnie, Jima Simpkinsa — zakończył detektyw obserwując z zadowoleniem wrażenie, jakie wywołał.

Trudno było powiedzieć, że było to wrażenie, jakiego się spodziewał.

Miss Kingman była istotnie zakłopotana, przejęta i urażona. Lecz sprawiło to raczej nieoczekiwane i brutalne wtrącenie się Simpkinsa do rozmowy, a nie treść jego wywodów.

Reginald Huttling nie wyglądał bynajmniej na zmiażdżonego, zdemaskowanego zbrodniarza. Spokojny jak zwykle, podszedł do Simpkinsa. Nie zwracając uwagi na wycelowany rewolwer detektywa, po krótkiej walce wyrwał mu go z rąk, rzucił na bok i cicho powiedział:

— Widzę, że nie wystarcza panu dziesięć tysięcy dolarów, które ma pan otrzymać za sprawienie pewnym ludziom przyjemności zobaczenia mnie na krześle elektrycznym. Tylko obecność pani powstrzymuje mnie od rozprawienia się z panem w należyty sposób.

Miss Kingman przerwała ich kłótnię.

— Niech mi panowie przyrzekną — powiedziała zwracając się raczej do Simpkinsa — że takie sceny już się nie powtórzą. I niech się pan o mnie nie martwi, panie Simpkins, nie potrzebuję pańskiej opieki. Zostawcie wasze porachunki do czasu, gdy powrócimy na ląd. Tutaj jest nas tylko troje, tylko troje ludzi wśród bezkresnego oceanu. Kto wie, co nas jeszcze czeka? Może w chwili niebezpieczeństwa będziemy siebie potrzebowali nawzajem? Robi się coraz chłodniej, słońce zaszło. Czas pójść spać. Dobrej nocy!

I rozbitkowie udali się do swych kajut.

IV. Morze Sargassowe

Jim Simpkins źle spał tej nocy. Wiercił się na łóżku i nasłuchiwał. Zdawało mu się, że Huttling czai się w pobliżu, że skrada się, że czyha na niego, by się zemścić, by go zabić. Oto rozległy się jakieś kroki, gdzieś zaskrzypiały drzwi... Przerażony detektyw usiadł na łóżku.

— Przywidziało ani się, jest zupełnie cicho... Do licha, jaka ta noc jest duszna! Moskity i komary nie dają człowiekowi spokoju. Skąd mogło się to skrzydlate plugastwo znaleźć tutaj, na środku oceanu? Może bredzę w gorączce albo może jesteśmy blisko jakiegoś lądu? Warto by się czegoś napić.

Nie pierwszy już raz Simpkins wybierał się do ładowni statku, w której znajdował się duży zapas konserw i win. Po omacku, w ciemności, dotarł pomyślnie na miejsce i już łyknął sporą porcję rumu, kiedy nagle usłyszał jakiś dziwny szmer. W tym labiryncie trudno było stwierdzić, skąd docierają te dźwięki. Simpkinsa przeniknął dreszcz.

— Szuka. Nie ma co mówić, dobra zabawa w chowanego. Byłoby tylko nie znalazł do rana. A potem trzeba będzie poprosić miss Kingman o opiekę — i Simpkins, wstrzymując oddech, zaczął się przekradać do najdalszego zakątka ładowni, prawie przy poszyciu. Właśnie tam, za poszyciem, rozległ się nagle szmer, jak gdyby jakiś nieznany potwór morski wypłynął

z dna morza i ocierał się chropowatą skórą o burtę statku. Tajemnicze dźwięki były coraz głośniejsze. I nagle Simpkins poczuł, że statek zakołysał się jakby wskutek lekkiego pchnięcia. Ani fale, ani kamienie podwodne nie mogły być przyczyną takiego dziwnego kołysania. W ślad za tym wstrząsem nastąpiło jeszcze kilka, połączonych z jakimś głuchym hukiem.

Simpkinsa ogarnął lodowaty strach — taki, jaki odczuwali zwierzęcy przodkowie człowieka — strach przed niewiadomym. Biada temu, kto nie potrafi natychmiast pokonać tego uczucia! Ślepe instynkty dławią wówczas myśl, paraliżują wolę, panowanie nad sobą.

Simpkins poczuł chłodny powiew na karku, włosy stanęły mu dęba. Wyjąc dziko, potykając się i przewracając, pobiegł na górę, na pokład.

Huttlingszedł w jego stronę. Simpkins, zapomniawszy o wszystkim, prócz strachu przed niewiadomym, omal nie rzucił się w objęcia człowieka, przed którym krył się niedawno jak mysz w norze.

— Co to jest? — zapytał jakimś syczącym gwizdem (nerwowe drgawki zdławiły mu gardło) i chwycił Huttlinga za rękę...

— Wiem tyle co pan... Statek przechylił się lekko na bok, potem dziób spadł i podniósł się znów. Ubrałem się szybko i poszedłem zobaczyć, co się stało.

Księżyc oświetlał jasno część pokładu. Zniszczona podczas katastrofy stępkowa część statku pogrążona była w wodzie, a pokład znajdował się tuż prawie na poziomie wody.

Simpkins został nieco wyżej, obserwując Huttlinga, który zbadał stępkową część pokładu.

— Dziwne, dziwne... Niech pan tu zejdzie, Simpkins, niech się pan nie boi.

— Dziękuję, ja stąd też dobrze widzę.

— Simpkins, to pan? Co się tam stało?

— Miss Kingman, proszę zejść do nas — rzekł Huttling, ujrzawszy Vivian schodzącą na dół przez pokład.

Podeszła do Huttlinga, a za jej przykładem uczynił to również Simpkins. Obecność dziewczyny uspokoiła go.

— Niech pani popatrzy!

Pod jasnymi promieniami księżyca pokład świecił białością. A na tym białym tle widać było ciemne plamy i ślady. Jak gdyby jakieś wielkie zwierzę wpełzło na pokład, zatoczyło półkole i spadło z prawej burty, łamiąc żelazne pręty poręczy jak słomkę.

— Proszę zwrócić uwagę: to przypomina ślad ciężkiego brzucha, który włókł się przez pokład. A po bokach — widać ślady łap lub raczej płetw. Odwiedził nas jakiś nieznaną potwór.

Simpkinsa znów ogarnął strach, niepostrzeżenie zaczął się cofać po spadzistym pokładzie.

— A co to są za śmiecie? To jakieś rośliny zostawione widocznie przez nieznanego gościa? — i miss Kingman podniosła gronorost z podłogi.

Huttling obejrzał uważnie gronorost i pokiwał głową z niezadowoleniem.

— *Sargassum*, brunatnice. Tak, to nie ulega wątpliwości? To są gronorosty. Oto gdzie nas zaniosło. Do licha! Sprawa przybiera kiepski obrót. Musimy zastanowić się nad sytuacją.

Weszli na górny pokład. Niebezpieczeństwo zbliżyło ich do siebie. Simpkins dał spokój swoim „uprawnieniom”, zrozumiał, że tylko wiedza, doświadczenie i energia Huttlinga może ich uratować.

Detektyw obawiał się najwięcej nieznanego potwora. Do jakiegoś tam gronorostu nie przywiązywał znaczenia.

— Co pan sądzi o naszym nieproszonym gościu? — zwrócił się do Huttlinga, kiedy usiedli na wyplatanych fotelach.

Huttling, obracając gronorosty w rękę, wzruszył ramionami.

— To nie jest ani ośmiornica, ani rekin, ani żaden inny ze znanych mieszkańców

morza... Możliwe, że tu, w tym tajemniczym zakątku Oceanu Atlantyckiego, żyją nieznanne potwory, jakieś plezjozaury, które zachowały się z przedhistorycznych czasów.

— A jeżeli wyjdą nagle z wody i zaatakują nas?

— Musimy być przygotowani na wszystko. Lecz przyznam się, że bardziej niż nieznanych potworów obawiam się tego liścia — powiedział Huttling, wskazując plechę gronorostu. — Parowiec jest jednak dość duży i mocny nawet dla tych nieznanych olbrzymów świata podwodnego. Nie potrafią one przedostać się do naszych ciasnych kajut. W ostateczności posiadamy przecież broń. Ale jaka broń może pokonać to? — I Huttling znów wskazał na gronorost.

— Co strasznego może być w takim nędznym liściu? — spytał Simpkins.

— To, że znaleźliśmy się w strefie Morza Sargassowego, tajemniczego morza, znajdującego się na zachód od Corvo — jednej z Wysp Azorskich. Obszar Morza Sargassowego jest sześć razy większy od obszaru Niemiec. Jest ono szczelnie pokryte zwartym dywanem gronorostów. „Gronorost” to po hiszpańsku „sargassa”, stąd pochodzi nazwa tego morza.

— Jak to jest możliwe: morze na środku oceanu? — spytała miss Kingman.

— Tego problemu nauka jeszcze nie rozwiązała. Jak pani zapewne wiadomo, ciepły Prąd Zatokowy płynie z cieśnin Florydy na północ, do Spitsbergenu. Ale po drodze rozdwiają się, jedna odnoga wraca na południe, do Wysp Azorskich, zmierza do zachodnich brzegów Afryki i wreszcie, zataczając półkole powraca do Wysp Antylskich. Powstaje w ten sposób ciepły pierścień, w którego centrum znajduje się zimna, stojąca woda — Morze Sargassowe. Proszę popatrzeć na ocean.

Miss Kingman i Simpkins spojrzeli zdumieni: przed nimi rozciągała się nieruchoma powierzchnia oceanu jak stojący staw. Nie było śladu fali, ruchu, plusku. Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły to dziwne, zastygłe morze, podobne do dywanu z jasnozielonych gronorostów.

— Nie chcę pana straszyć, Simpkins, lecz biada statkowi, który wpadnie do tej „puszki z gronorostami”, jak Kolumb nazwał Morze Sargassowe *. Gdyby nawet śruba naszego parowca była w porządku, nie zdałoby się to na nic. Okręciłyby ją gronorosty i zahamowały ruch. Gronorosty zatrzymują żaglowce, uniemożliwiają również wiosłowanie. Mocno trzymają swą ofiarę.

— Więc co z nami będzie? — zapytał Simpkins.

— Niewykluczone, że to samo co z innymi. Morze Sargassowe nosi nazwę cmentarzy-ska okrętów. Rzadko udaje się komuś z niego wydostać. Ludzie, którzy nie umrą tu wskutek głodu, pragnienia lub żółtej febry, giną, kiedy statek tonie pod ciężarem narastających poli-pów lub z powodu przedostającej się wody. A morze powoli pochłania nową ofiarę.

Miss Kingman słuchała uważnie.

— To straszne! — szepnęła wpatrując się w zastygłą zieloną powierzchnię morza.

— My, w każdym razie, znajdujemy się w lepszej sytuacji od wielu naszych poprzedników. Statek trzyma się dobrze. Może uda nam się załatać dziurę i wypompować wodę. Zapasów żywności wystarczy dla nas trojga na kilka lat.

— Lat! — krzyknął Simpkins podskakując na krześle.

— Tak, kochany panie Simpkins, możliwe, że będzie pan musiał poczekać kilka lat na upragnioną nagrodę. Odwagi, Simpkins.

— Gwizdź na nagrodę, niech bym się tylko wydostał z tego przeklętego bajora.

... Zaczęły się monotonne, nużące, upalne dni. Chmary nieznanich owadów unosiły się nad tym stojącym bagniskiem. W nocy moskity nie pozwalały spać. Czasami mgła kładła się nad morzem jak całun żałobny.

Na szczęście znajdowała się na statku dobra biblioteka. Miss Kingman dużo czytała.

* Hiszpanom płynącym z Kolumbem glony te przypominały winorośl (po hiszpańsku — *salgazzo*).

Wieczorami zbierali się w ogromnym, wytwornym salonie. Vivian śpiewała i grała na fortepianie. Coraz częściej Simpkins zaczął przychodzić na te zebrania wieczorne z butelką wina: rozpił się z rozpaczy.

Huttling musiał zamknąć na klucz magazyn z napojami. Simpkins usiłował protestować, lecz Huttling był nieubłagany.

— Jeszcze tego nam brakuje, żeby mieć kłopot z alkoholikiem. Niech pan zrozumie, bezmyślny człowieku, że pan zginie, jeśli się pana nie powstrzyma.

Simpkins musiał się poddać.

V. W królestwie umarłych

Zdawało się, że parowiec stoi na miejscu. Lecz jednak jakiś powolny prąd ciągnął go na środek Morza Sargassowego. Coraz częściej napotykali po drodze na pół zgniłe i zzieleniałe szczątki statków. Zjawiały się jak kościotrupy z obnażonymi „zębami” — wręgami i złamanymi masztami; przez pewien czas płynęły za parowcem i ginęły w dali. W nocy straszły Simpkinsa „upiory”: na zielonej powierzchni morza zjawiały się nagle słupy białej mgły przypominające ludzi w całunach, ślizgały się wolno, kołysały się i rozpływały... To z miejsc, gdzie w gęstym dywanie gronostojów znajdowały się „przeręble”, płynęły opary.

Pewnej księżycowej nocy jakiś na wpół zniszczony bryg holenderski zbliżył się do parowca. Pomalowany był na czarno i suto pozłacany. Maszty i część nadbudówek były zwalone, winda kotwiczna — rozbita.

Vivian patrzyła na martwy statek z ciekawością i grozą. Może ich czeka również taka przyszłość; minie dużo czasu i statek ich tak samo unosić się będzie na powierzchni morza, a na pokładzie nie będzie już nikogo. Nagle zawołała do Huttlinga:

— Niech pan popatrzy!

Na brygu stał mężczyzna w czerwonej czapeczce, oparty był o złamany maszt. W jasnym świetle księżyca lśniły jego zęby na tle ciemnej, prawie czarnej twarzy. Uśmiechał się szeroko. U jego stóp leżała butelka.

Ten widok wzruszył głęboko pasażerów parowca. A więc nie byli sami. W tej zielonej pustyni znalazła się jeszcze jedna żywa istota. Simpkins i Huttling krzyknęli głośno, wymachując rękami.

Człowiek w czerwonej czapce, uśmiechając się wciąż tak samo, machnął ręką w jakiś dziwny sposób, jakby wskazując coś, co znajdowało się za nim. Ręka opadła jak bicz. Księżyc skrył się za chmurą i nie widać już było mężczyzny na brygu. Lecz bryg coraz bardziej przybliżał się do parowca.

Wreszcie podpłynął tuż do jego burty. W tej samej chwili znów ukazał się księżyc i oświetlił dziwny, budzący grozę obraz.

Do odłamka masztu przywiązany był szkielet. Trzymały się na nim jeszcze resztki odzieży. Zachowane kości rąk chwiały się na wietrze, lecz reszta dawno już wypadła ze stawów ramieniowych i leżała na pokładzie. Na czaszce wysuszonej przez słońce zachowała się skóra. To pergaminowe oblicze rozjaśniał trupi uśmiech. Czubek głowy osłaniała na pół przegniła czerwona czapeczka.

Huttling skoczył błyskawicznie na pokład brygu.

— Co pan robi? Bryg może odpłynąć od naszego statku. Zginie pan.

— Niech się pani o mnie nie martwi, zdążę wrócić na czas. Znalazłem tam coś ciekawego.

Huttling podbiegł do szkieletu, chwycił zapieczętowaną butelkę i dał susa na pokład

parowca w momencie, kiedy bryg oddalił się od niego prawie o metr.

— Szalony człowieku! — powitała Huttlinga blada miss Kingman. Widać było, że cieszy się z jego pomyślnego powrotu.

— Po co pan tak ryzykował? — spytała, patrząc na butelkę. — Takich skarbów mamy pod dostatkiem.

— Przekonamy się. — Huttling stłukł szyjkę butelki i wyciągnął z niej kawałek na wpół zetłatego błękitnawego papieru. Wyblakłe, prawie rude litery można było jeszcze odczytać.

Gęsim piórem, dziwacznym charakterem pisma pełnym zawijasów, napisane było co następuje:

Kimkolwiek jesteś, chrześcijaninem czy niewiernym, w którego rękę znajdzie się ta butelka, proszę cię i zaklinam, byś wykonał moją ostatnią wolę. Jeśli znajdziesz mnie, po moim zgonie na brygu, weź pieniądze znajdujące się w białym skórzanym worku w kajucie kapitana, 50 000 guldenów w złocie. Z tej sumy 10 000 zatrzymaj dla siebie, a 40 000 oddaj mojej żonie, Marcie Tessel w Amsterdamie, ulica Morska, dom własny. A jeśli bryg zatonie i znajdziesz tylko butelkę, prześlij Marcie Tessel, mojej żonie, moje ostatnie pozdrowienie. Niech mi przebaczy, jeśli ją czymś skrzywdziłem... Wszyscy moi towarzysze umarli... Cała załoga do ostatniego marynarza... Pierwsi zmarli Kar, Hubert... Tylko ja jeszcze żyję, na razie. Tydzień... bez żywności... przywiążę się do masztu... ktoś zauważy... Żegnajcie... Gustaw Tessel. Bryg „Marta”, 1713 rok. 15 dzień września.

Kiedy Huttling skończył — zapadło milczenie.

— Jakie to straszne i dziwne! Otrzymaliśmy od zmarłego polecenie, by pozdrowić jego żonę, która od przeszło dwustu lat spoczywa w grobie... — miss Kingman zadrżała i rzekła: — Ile strasznych tajemnic kryje to morze!

„Pięćdziesiąt tysięcy guldenów — rozmyślał Simpkins na głos, odprowadzając spojrzeniem odpływający bryg. — Ile to by wyniosło według dzisiejszych notowań giełdowych?”

CZĘŚĆ DRUGA

I. Cicha przystań

— Ziemia! Ziemia! Miss Kingman! Huttling! Chodźcie prędzej. Zbliżamy się do jakiegoś portu. Już widać czubki masztów i kominy parowców. O, tam. Popatrzcie... Bardziej na lewo.

Huttling popatrzył przez lunetę.

— Port odkryty przez pana jakoś diabelnie dziwnie wygląda. Ten „port” rozciąga się na wiele mil. Maszty i kominy i znów maszty... Niech pan spojrzy! Ani jeden komin nie dymi. A maszty... Gdzie jest ich olinowanie, żagle?... Proszę popatrzeć, miss Kingman — i Huttling podał jej lunetę.

— Tak, to jest raczej jakiś cmentarz okrętów — zawołała Vivian. — Maszty i kominy są połamane, z żagli pozostały tylko strzepy. A zresztą... gdzie jest ziemia? Nic nie rozumiem...

— I ja nie mogę powiedzieć, żebyśmy rozumiał wszystko — odparł Huttling — lecz są-

dzę, że sprawa przedstawia się tak: na Morzu Sargassowym, w tym stojącym bajorze, istnieją widocznie własne prądy, chociaż mocno zahamowane przez gronorosty. Zapewne płynęliśmy z takim prądem, który niestety, zaprowadził nas do tej „cichej przystani”. Proszę popatrzeć, do jakiego „portu” zawijamy. Oto kto nas wita — i Huttling zatoczył wielki łuk dłonią.

Im bardziej parowiec zbliżał się do niezwykłego portu, tym częściej spotykał na drodze smutne szczątki statków.

Znajdowały się tu zniszczone, pokaleczone, na wpół zgniłe statki wszystkich krajów i narodów. Oto piroga wydrążona w jednym pniu... A oto szkielet barki rybackiej: zewnętrzne poszycie odpadło, wręgi sterczały jak obnażone żebra, a stępka przypominała kręgosłup ryby... Dalej widać było statki, które zachowały się w lepszym lub gorszym stanie: barki, szkuny, tendery, galery... Pokryty rdzą nowoczesny parowiec stał obok portugalskiej karaweli z XVI wieku. Karawela odznaczała się pięknymi, giętkimi liniami. Na dziobie i na rufie znajdowały się wymyślne nadbudówki. Sworzeń steru przechodził przez całą rufę, a w niskich burtach znajdowały się otwory na wiosła. „Santa Maria” — widniał wyraźny napis na burcie karaweli.

— Coś niezwykłego! — zawołał Huttling. — Bodaj na takim samym statku pływał Kolumb, jedna z jego karawel nazywała się również „Santa Maria”, a dwie pozostałe „Pinta” i „Nina”. Spójrzcie tutaj — i Huttling, który był dalekowidzem, odczytał na burcie okrętu liniowego jego nazwę: „Henri”. — A tam dalej widzicie statek trójpokładowy „Suweryn mórz” i datę „Rok 1637”? Między nimi zaś statek kołowy z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, mający najwyżej pięćdziesiąt metrów długości.

Przeście między statkami stawało się coraz węższe. Parowiec zatrzymywał się kilka razy, aż wreszcie, zbliżywszy się do zwartej masy statków tworzących jak gdyby osobliwą wyspę, stanął bez ruchu.

Wędrowcy milczeli. Czuli się tak, jakby ich żywcem pogrzebano.

— Skoro już los zaniósł nas tutaj, musimy się zapoznać bliżej z tą niezwykłą wyspą. Chodźmy, Simpkins!

Lecz Simpkins wyraźnie nie miał ochoty na spacer po tym posępnym cmentarzysku.

— Po co? — próbował się wymówić.

— Bądź pan mężczyzną, Simpkins. Kto wie, jakie tajemnice kryje wyspa? Może ktoś tutaj mieszka.

— Widma starych holenderskich żeglarzy?

— Zobaczymy. W każdym razie, ktokolwiek mieszka na tej wyspie, lepiej będzie, jeśli my pierwsi dowiemy się o nim. Ta wyspa może się stać naszym grobem, ale kto wie, może tu właśnie znajdziemy coś, co nas uratuje. Trzeba obejrzeć statki. Może któryś będzie się jeszcze nadawał do żeglugi?

— Obejrzyć statki! — Simpkins przypomniał sobie „Martę” i pięćdziesiąt tysięcy guldenów w złocie. Wahał się wciąż jeszcze.

— Czy możemy zostawić miss Kingman samą?

— Proszę się o mnie nie martwić. Nie boję się duchów — odparła Vivian.

— Zrobimy tak, miss Kingman — zaproponował Huttling — niech pani położy słomę na palenisko. Jeżeli zagrozi pani jakieś niebezpieczeństwo, proszę zapalić słomę. Skoro zobaczymy dym z komina, natychmiast pośpieszymy z pomocą. Chodźmy.

Huttling przedostał się na stojący tuż obok trzymasztowy statek z osiemnastego wieku „Victoria”. Simpkins niechętnie ruszył za nim.

Zaczęli powoli posuwać się w głąb wyspy.

Nic na świecie nie mogło stanowić smutniejszego widoku od tego ogromnego cmentarza. Morze grzebie zatopione okręty — ziemia — ludzi. Lecz na tym cmentarzu umarli leżeli nadzy, oświetleni palącymi promieniami słońca. Trzeba było ostrożnie stawiać każdy krok. Na pół zgniłe deski uginały się pod nogami. Podróżnicy mogli w każdej chwili zapaść się i

znaleźć w ładowni. Przewidując to, zabrali ze sobą sznury, by w razie potrzeby pomóc sobie nawzajem. Balustrady łamały się. Strzępy żagli po dotknięciu rozsypywały się w proch. Wszystko dokoła pokryte było grubą warstwą pyłu, rozkładu i zielenią zgnilizny... Na wielu pokładach wałały się szkielety błyszczące w słońcu białymi kośćmi lub ciemniejące resztkami skóry i strzępami odzieży. Z pozycji szkieletów, z porąbanych czaszek można było wywnioskować, że ludzie, którzy stracili zmysły w obliczu śmierci, kłócili się, buntowali, bezsensownie i okrutnie mordowali się nawzajem, biorąc na kimś pomstę za swe cierpienia i zmarnowane życie. Każdy statek był świadkiem wielkiej tragedii, która rozegrała się na nim przed pięćdziesięciu, stu lub dwustu laty.

Jaki nieludzki strach, jakie cierpienia przeżyli posiadacze tych niegdyś żywych, dziś wybielonych słońcem czaszek, szczerzących teraz zęby w okropnym uśmiechu! A wszyscy uśmiechali się od ucha do ucha...

Nawet Huttlinga ogarnął niepokój na widok tych uśmiechniętych, wyszczerzonych zębów, Simpkinsem zaś wstrząsały dreszcze.

— Chodźmy stąd — błagał. — Nie mogę już wytrzymać!

— Niech pan poczeka, tam widzę statek w dobrym stanie. Ciekaw jestem, co znajdziemy w kajutach. Zejdźmy.

— Po schodkach, które załamia się pod panem? — Simpkins rozzłościł się nagle. — Huttling! Nie idę dalej. Basta! Niech pan przestanie mną komenderować. Pan zapomniał o tym, kim ja jestem i kim jest pan! Dokąd mnie pan oprowadzi? Po co? Żeby mnie wrzucić gdzieś do ładowni i pozbyć się bez hałasu! O, ja wiem, ja panu przeszkadzam.

To przemówienie rozwścieczyło Huttlinga.

— Simpkins, niech pan zamilknie, bo naprawdę wyrzucę pana za burtę.

— To nie jest takie proste — powiedział zjadliwie Simpkins i oparłszy się o drewniany parapet nad burtą, wycelował w Huttlinga lufę pistoletu. Huttling zrobił szybki krok naprzód, lecz zanim zdążył schwycić Simpkinsa za rękę, rozległ się wystrzał i trzask łamiącego się parapetu. Kula przeleciała Huttlingowi nad głową. W tej samej chwili Huttling ujrzał, jak Simpkins, machnąwszy nedorzecznie rękami, wypadł za burtę wraz z resztkami przegniłej poręczy. Rozległ się głuchy plusk wody... potem była cisza... a później rozległo się prychnięcie Simpkinsa. Huttling popatrzył za burtę. Detektyw szarpał się w zielonej gęstwinie gronorośców. Zwisały mu girlandami z głowy, oplątywały ręce i mocno trzymały swą zdobycz. Detektyw wyczerpał wszystkie siły próbując zaczepić się o poszycie statku. Udało mu się to w końcu, ale zupełnie opadł z sił. Gronorośty ciągnęły go na dół. Jeszcze kilka chwil i Simpkins pójdzie na dno.

Huttling cofnął się, usiadł na beczce i zapalił fajkę.

— Niech mi pan przebaczy. Byłem głupim osłem — rozległ się głos Simpkinsa. Lecz Huttling w milczeniu spokojnie palił fajkę. — Panie Huttling, niech mnie pan ratuje!...

Huttling zbliżył się do burty. Wahał się. To przecież człowiek błaga o pomoc. Ale jaki człowiek? Agent policyjny, sprzedajny szpieg, który — jeśli mu się nawet pomoże — nie zawaha się przed oddaniem go w ręce władz, byle tylko zdobyć swoich trzydzieści srebrników.

— Nie, nie — i Huttling znów usiadł na beczce i zaczął coraz mocniej pykać z fajki.

— Błagam pana! Huttling, Huttling! — jęczał Simpkins.

Huttling coraz szybciej ćmił fajkę.

— Hutt... — i nagle krzyk przekształcił się w jakieś zdławione łkanie.

Huttling zgrzytnął zębami, odrzucił fajkę i rozwinawszy koniec liny rzucił tonącemu.

Ostatkiem sił Simpkins chwycił za linę, lecz kiedy Huttling zaczynał go ciągnąć, spadał; gronorośty mocno trzymały Simpkinsa, a ręce zupełnie mu osłabły.

— Niech się pan opasze sznurem! — zawołał Huttling.

Simpkins z trudem wykonał rozkaz, zrobił węzeł i zaczął wspinać się na pokład.

Gdy stanął przed Huttlingiem, był tak wytracony z równowagi, że tylko powtarzał: — Huttling... Huttling! — i wyciągał do niego ręce.

Huttling skrzywił się, lecz widząc w oczach uratowanego szczera, zwierzęcą radość, uśmiechnął się dobrodusznie i mocno uściśnął mokrą dłoń detektywa.

— Brak mi słów, by wyrazić panu...

— Chwileczkę — zawołał nagle zaniepokojony Huttling, wrywając rękę z dłoni Simpkinsa — niech pan popatrzy, nad naszym statkiem widać dym. Miss Kingman nas wzywa. Tam coś się stało. Biegiem!

II. Mieszkańcy wysepki

Po odejściu Huttlinga i Simpkinsa miss Kingman zajęła się przyrządzaniem śniadania. Wypatroszyła i usmażyła rybę złowioną przez Huttlinga, zeszła do ładowni i wzięła z magazynu żywnościowego kilka pomarańcz. Ale gdy z koszykiem w ręku wróciła na pokład, ujrzała niezwykle widok: przy stole, a ściślej mówiąc na stole i na krzesłach gospodarowały mały. Piszczwały, kłóciły się, obrzucały kawałkami keksu i zajadały kostki cukru. Na jej widok opamiętały się i krzyżąc uciekły w stronę burty. Vivian roześmiała się i rzuciła im kilka pomarańcz. Stało się to zapoczątkowaniem przyjaznych stosunków. Szympany po krótkiej bójce podzieliły się pomarańczami, a potem przykucając i robiąc pocieszne miny, podeszły do miss Kingman i zaczęły odważnie przyjmować owoce z jej rąk. Nie ulegało wątpliwości, że były przyzwyczajone do obcowania z ludźmi.

Istotnie, ludzie nie kazali długo czekać na siebie.

Miss Kingman, zajęta zabawnymi sztuczkami nieoczekiwanych gości, nie spostrzegła, że zza burty parowca wysunęły się ostrożnie dwie głowy. A kiedy przybysze przekonali się, że na pokładzie nie ma nikogo prócz samotnej kobiety, przeleźli szybko przez burtę i zawieszszy karabiny na ramieniu ruszyli w jej stronę.

Miss Kingman, zaskoczona zjawieniem się dwóch nieznanych mężczyzn, krzyknęła głośno.

Jeden z przybyszów — mały, zażywny człowieczek o bladej, obrzmiałej, dawno niegolonej twarzy, wywierał dziwne wrażenie swoim strojem i całą powierzchownością. Na głowie miał brudny, pognieciony melonik z wieloma dziurami. Jego zniszczony, połatany smoking zachował mimo wszystko ślady dobrego kroju. Ale spodnie zwisające jak frędzle pod kolanami grubasa wyglądały żałośnie. Uzupełniały ten strój stare lakierki i podarty fularowy szalik.

Drugi przybysz — wysoki, muskularny, opalony, z czarną brodą, miał na głowie meksykańskie sombrero; ubrany był w czarną koszulę z odwiniętymi po łokcie rękawami, wysokie buty i podobny był do meksykańskiego hodowcy owiec. Jego ruchy były szybkie i ostre.

— *Bonjour, mademoiselle* — rzekł grubas składając wytworny ukłon. — Witam panią z okazji pomyślnego przybycia na Wyspę Zaginionych Okrętów.

— Dziękuję panu. Nie jestem pewna, czy mogłabym nazwać moje przybycie pomyślnym... Czego sobie panowie życzą?

— Pozwoli pani, że się przedstawię: Arystydes Daudet. Nazywam się Daudet, tak, tak, Daudet. Jestem Francuzem...

— Jest pan może krewnym pisarza, Alfonsa Daudeta?

— E-e... właściwie nie... to jest tak... dalekim krewnym... Miałem, że tak powiem, pewne kontakty z literaturą... największą fabrykę papieru tapet na południu Francji.

— Nie pleć, Turnip — rzekł posępnie i gniewnie jego towarzysz.

— Pan jest nietaktowny, Flores! Kiedy się pan wreszcie nauczy, jak się zachowywać w przyzwoitym towarzystwie? I proszę mnie nie nazywać Turnip. Widzi pani, oni tak mnie przezwali z powodu mojej głowy, która ich zdaniem przypomina rzepę... — i grubas, zdjęwszy melonik z głowy, przesunął ręką po nagiej, żółtawej czaszce, na której ciemieniu wskutek kaprysu przyrody pozostała kępka włosów.

Miss Kingman uśmiechnęła się mimowolnie, stwierdzając, że przydomek jest trafny.

— Ale czego panowie życzą sobie ode mnie? — powtórzyła pytanie.

— Gubernator Wyspy Zaginionych Okrętów, kapitan Fergus Slayton, wydał zarządzenie, które musi być bezwzględnie przestrzegane: każdy nowy; przybysz winien mu się natychmiast przedstawić.

— Zapewniam panią, miss czy mistress — nie mam zaszczytu wiedzieć, kim pani jest, że kapitan Slayton przyjmie panią z całą życzliwością.

— Nie pójdę nigdzie — odpowiedziała miss Kingman.

Turnip westchnął.

— Jest mi bardzo przykro, lecz...

— Przestań bawić się w dyplomate! — wtrącił brutalnie Flores i podchodząc do Vivian powiedział tonem rozkazu:

— Pani musi iść z nami.

Miss Kingman zrozumiała, że opór nie zda się na nic. Zastanowiła się chwilę i rzekła:

— Dobrze. Zgadzam się. Ale pozwolą panowie, że się przebiorę — i wskazała swój strój roboczy i fartuch.

— Nie potrzeba! — rzucił Flores.

— Przecież to nie potrwa długo — zwrócił się Turnip jednocześnie do Floresa i do miss Kingman.

— Tak, tylko kilka minut! — powiedziała Vivian i opuściła pokład.

Wkrótce Flores spostrzegł dym płynący z komina parowca. Zrozumiał od razu, że to jest jakiś podstęp.

— Przeklęta baba, oszukała nas! Widzisz ten dym? To jest jakiś umówiony sygnał. Ona wzywa kogoś na pomoc! — Flores zdjął karabin z ramienia i zaczął krzyżeć na Turnipa. — Wszystko przez ciebie! Zmiękleś! Czekać, opowiem twojej żonie!

— Jaki pan jest niepoprawny, Flores! Przecież nie mogliśmy zabrać stąd gwałtem bezbronnej kobiety.

— Rycerskość! Galanteria! Już ci Fergus pokaże rycerskość... Może będziesz łaskaw? — I składając się z karabinu pokazał ruchem głowy burtę, przez którą przeskoczył Huttling i ociekający wodą Simpkins, oblepiony zielonymi gronostami i obwieszony krabami przyczepionymi do odzieży.

— A to co za widmo?

Rozpoczęły się rokowania. Huttling był w pierwszej chwili gotów rzucić się do walki z dwoma obdartusami. Lecz jeśli nie kłamią, walka nie miałaby sensu; jak twierdzą na wyspie mieszka czterdziestu trzech dobrze uzbrojonych ludzi. Siły są nierówne — zwyciężą mieszkańcy wyspy.

Huttling pozostawił Simpkinsa jako zakładnika i poszedł do miss Kingman, by się z nią naradzić. Vivian była również zdania, że walka nie ma sensu. Zdecydowali, że pójdą razem i przedstawią się kapitanowi Fergusowi.

III. Gubernator Fergus Slayton

Jak się okazało, istniały na Wyspie Zaginionych Okrętów całkiem niezłe szlaki komunikacyjne.

Turnip, który szedł na czele orszaku, po przejściu przez starą trójpokładową fregatę, wyprowadził jeńców „na drogę”: były to drewniane pomosty przerzucone między statkami i nad zniszczonymi pokładami. Wzdłuż drogi ciągnął się drut przymocowany do niskich słupków i ocalałych masztów.

— Tędy, tędy. Niech się pani nie potknie — zwracał się Turnip uprzejmie do miss Kingman. Za Vivian szedł Huttling i Simpkins. Posępny Flores, nasunawszy sombrero na oczy, szedł na końcu.

Po drodze spotykali mieszkańców wyspy, obdartych, zarośniętych i opalonych; znajdowali się wśród nich jasnowłosi ludzie z Północy, smagli południowcy, kilku Murzynów, trzech Chińczyków... Wyspiarze z ogromną ciekawością przyglądali się nowym przybyszom.

Na środku wyspy, wśród małych statków żaglowych pochodzących z różnych epok i krajów, znajdowała się duża, dobrze zachowana fregata „Elżbieta”.

— Rezydencja gubernatora — oznajmił uroczyście Turnip.

Na pokładzie rezydencji stała grupa złożona z sześciu marynarzy w jednakowych, dość przyzwoitych uniformach, z karabinami w ręku. Wyglądali na wartę honorową.

Gubernator wyspy przyjął gości w wielkiej kajucie.

Po ponurym widoku zniszczonych statków kajuta wywierała dodatnie wrażenie.

Nie ulegało wątpliwości, że służy komuś za mieszkanie, urządzona była prawie komfortowo. Tylko mieszanina stylów wskazywała na to, że przyniesiono tu najlepsze rzeczy znalezione na statkach, które prąd sprowadził na tę dziwną wyspę.

Na podłodze leżały cenne dywany perskie. Na konsolach stało kilka pięknych waz chińskich. Na ciemnych ścianach z boazerią z czarnego dębu wisiały znakomite obrazy mistrzów holenderskich, hiszpańskich i włoskich: Vélasqueza, Ribery, Rubensa, Tycjana, pejzażysty flamandzkiego Teniersa. Obok tych arcydzieł wisiał zwykły rysunek psa robiącego stójkę. A nieco dalej — piękny obraz japoński wyszywany jedwabiem, przedstawiający żurawia siedzącego na ośnieżonej gałęzi na tle góry Fudżijama.

Na dużym okrągłym stole stały stare kryształowe wazy weneckie z szesnastego wieku, brązowe francuskie kandelabry z epoki Dyrektoriatu i kilka rzadkich okazów różowych muszel. Ciężkie rzeźbione meble, fotele pokryte skórą świńską ze złotymi obwódkami, dodawały powagi kajucie.

„Gubernator” wyspy, kapitan Fergus Slayton, stał oparty o szafę biblioteczną.

Kapitan różnił się bardzo od pozostałych mieszkańców wyspy. Był dobrze zbudowany, miał wypielęgowaną, gładko ogoloną twarz, a ubrany był w zupełnie przyzwoity mundur kapitański. Lecz nieco spłaszczony nos, ciężki podbródek i zmysłowe usta wywierały niemiłe wrażenie.

Slayton zmierzył przybyszów zimnym spojrzeniem szarych oczu. Patrzył spokojnie, bez słowa, jakby usiłując zbadać, kim są. Widać było, że coś rozważa. Było to spojrzenie człowieka przyzwyczajonego do decydowania o losach ludzi, bez względu na ich własne pragnienia i potrzeby. Prześliznąwszy się oczami po Simpkinsie, widocznie nie uważając go za osobę godną Uwagi, Slayton długo przyglądał się miss Kingman, następnie przeniósł spojrzenie na Huttlinga, po czym powrócił do miss Kingman...

Te milczące oględziny wprawiły Vivian w zakłopotanie i rozgniewały Huttlinga.

— Pozwoli pan, że się przedstawimy — powiedział. — Reginald Huttling, miss Vivian Kingman, mister Jim Simpkins, pasażerowie parowca „Beniamin Franklin”, który doznał

awarii.

Slayton, nie zwracając uwagi na Huttlinga, wciąż jeszcze przypatrywał się miss Kingman. Wreszcie podszedł do niej, przywitał się grzecznie, po czym lekceważącym gestem podał rękę Huttlingowi i Simpkinsowi i poprosił wszystkich o zajęcie miejsc.

— Tak, wiem — powiedział — wiem.

Huttling zdziwił się ogromnie, kiedy Slayton z całą dokładnością podał miejsce i czas, w którym nastąpiła awaria „Beniamina Franklina”. Przecież nie wspominali o tym wyspiarzom.

Slayton zwracał się w rozmowie prawie wyłącznie do miss Kingman.

— Skoro zrządzenie losu sprowadziło panią na tę smutną wyspę, to my, jej mieszkańcy, winniśmy błogosławić los za tak piękny dar — zdobył się na ciężkawy komplement, nie uśmiechnawszy się nawet przy tym.

— Ja nie jestem bynajmniej wdzięczna losowi za to — odparła miss Kingman.

— To się jeszcze okaże — rzekł zagadkowo Slayton. — Życie nie jest tu takie złe, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Czy pani gra na fortepianie? Śpiewa pani może?

— Tak...

— Doskonale. Znakomicie. Znajdzie tu pani świetny fortepian Erarda i bogatą bibliotekę nutową. Książek też jest sporo. Wśród naszych wyspiarzy znajdują się interesujący ludzie. Ot, na przykład, Turnip. Co prawda, zaniedbał się bardzo, ale dużo widział, dużo wie i zajmował kiedyś poważne stanowisko. Teraz jest śmieszny, lecz mimo to interesujący. Następnie Lüders, Niemiec. To nasz historyk i uczonec. Studiuje historię budownictwa okrętów, przecież nasza wyspa jest istnym muzeum, nieprawdaż?

— Historię budownictwa okrętowego? To ciekawe — rzekł Huttling.

— Czy to ma jakiś związek z pańską specjalnością? — zapytał Slayton mimochodem, przyglądając się Huttlingowi przymrużonymi oczami.

— Tak, jestem inżynierem, konstruktorem okrętów — odpowiedział Huttling.

Miss Kingman spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie wiedziała o tym.

— Więc będzie pan miał ciekawego rozmówcę, mister...

— Huttling.

— Mister Huttling... Lüders zebrał bardzo ciekawą bibliotekę złożoną z dzienników okrętowych i pośmiertnych notatek wszystkich zmarłych na otaczających nas statkach. No... nie radzę czytać tego materiału... Co prawda, byłoby go dość dla dziesięciu powieściopisarzy, ale jest zbyt ponury, zanadto ponury. Po przeczytaniu tej biblioteki Morze Sargassowe wyda się wam jednym z kręgów dantejskiego piekła.

— Pewnie na tych statkach można było znaleźć dużo... osobliwości? — wtrącił Simpkins.

Slayton spojrzał na niego nieco uważniej i notując w pamięci jakąś obserwację czy wniosek, odparł:

— Tak, są również... — zrobił umyślnie taką samą pauzę jak Simpkins — osobliwości. Mamy całe muzeum. Pokażę je panu przy jakiejś okazji, skoro się pan tak interesuje o s o b l i w o ś c i a m i.

— Lecz czego nam, niestety, brak — zwrócił się Slayton ponownie do miss Kingman — to towarzystwa kobiet. Po śmierci mojej żony — Slayton westchnął — pozostały na wyspie tylko dwie kobiety: Maggie Flores i Ida Daudet lub Turnip, jak u nas nazywają jej męża. To czcigodna starsza niewiasta. Poproszę, żeby się zaopiekowała panią.

— Podano do stołu — oznajmił lokaj, Murzyn, wystrojony z okazji przybycia nowych mieszkańców we frak i białe rękawiczki.

— Zapraszam państwa na śniadanie w ich nowym miejscu zamieszkania — i gubernator zaprowadził gości do jadalni, w której znajdował się suto zastawiony stół.

Podczas śniadania Huttling zdziwił się ponownie, stwierdziwszy, że gubernator jest po-

informowany o wszystkim, co się dzieje na świecie. Slayton znał nawet najświeższe nowiny. Gubernator spostrzegł zdumione spojrzenia i po raz pierwszy uśmiechnął się zarozumiale.

— My, proszę państwa, jesteśmy Robinsonami. Lecz Robinsonami dwudziestego wieku. Czy zauważyliście druty przymocowane do masztów i słupów? Wyspa Zaginionych Okrętów posiada łączność telefoniczną. Moglibyśmy założyć oświetlenie elektryczne, lecz nie wystarcza nam paliwa. Posiadamy za to radiową stację odbiorczą i nawet głośnik. To wszystko znaleźliśmy na zradiofonizowanych statkach, które przybiły do naszej wyspy w ostatnich latach.

— Chcecie państwo posłuchać? — i Slayton włączył odbiornik.

W kajucie starej fregaty, pośrodku Wyspy Zaginionych Okrętów, rozległa się nagle modna piosenka śpiewana w Nowym Jorku przez znaną śpiewaczkę, którą miss Kingman słyszała wiele razy.

Lecz nigdy jeszcze piosenka nie wzruszyła jej tak głęboko.

IV. Nowe życie

Żeńska część ludności wyspy powitała miss Kingman ze szczerym współczuciem.

O ile między Maggie Flores i miss Kingman jako rówieśnicami nawiązały się z miejsca przyjazne stosunki, to stara, pozornie surowa, lecz w istocie rzeczy dobra Ida, żona Arystydesa Turnipa-Daudeta, przybrała wobec Vivian opiekuńczy ton troskliwej matki. Tak mało było kobiet na wyspie! Zresztą pani Daudet miała podstawy do przypuszczeń, że Vivian będzie potrzebować jej opieki.

Już pierwszego dnia Maggie Flores opowiedziała Vivian o swym smutnym życiu. Kiedy przypadek rzucił ją na wyspę, wyszła za mąż zgodnie z panującymi na wyspie „prawami” i ceremoniałem za gubernatora Fergusa Slaytona. Z ich małżeństwa urodziło się dziecko, jedyny w owym czasie przedstawiciel najmłodszego pokolenia mieszkańców wyspy. Fergus zachowywał się wobec żony brutalnie, nawet okrutnie, lecz Maggie cierpliwie znosiła to wszystko... Podczas wojny z Niemcami przybiła do wyspy niemiecka łódź podwodna, znajdowało się na niej troje ocalałych ludzi: marynarz, kapitan łodzi i młoda Francuzka — pasażerka statku zatopionego przez tę łódź podwodną.

Fergus Slayton zapragnął pojąć młodą Francuzkę za żonę. Między nim a kapitanem niemieckiej łodzi podwodnej wybuchła kłótnia. Niemiec został zabity, a Francuzka stała się żoną Slaytona. Maggie zaś otrzymała rozwód i została wkrótce żoną Floresa.

Flores też jest brutalny, lecz kocha Maggie, jest silny i nie pozwoli jej skrzywdzić.

Potem... potem Francuzka zmarła. Slayton twierdził, że otruła się przypadkowo rybem jadem. Ale na wyspie mówiono, że popełniła samobójstwo, ponieważ kochała kapitana łodzi podwodnej, którego zabił Slayton. Fergus zostawszy wdowcem zażądał, by Maggie wróciła do niego. Lecz Flores oświadczył, że tylko po jego trupie uda się Slaytonowi dopiąć celu.

Oczywiście dla Slaytona taka przeszkoda nie miała żadnego znaczenia. Zabiłby Floresa bez wahania. Lecz po stronie Floresa stanęła cała ludność wyspy. Gubernator zrozumiał, że to nie są żarty, i zrezygnował ze swych zamierzeń.

— Pozostałam więc nadal żoną Floresa — zakończyła Maggie swą opowieść. — I właśnie w takim momencie zjawiała się pani, droga miss Vivian... Czy rozumie pani swoją trudną sytuację? Jeżeli Fergus Slayton podoba się pani, to nie ma o czym mówić. Lecz jeśli się nie podoba lub serce pani zajął kto inny — tu Maggie spojrzała znacząco na Vivian — to proszę się mieć na baczności. Niech pani uważa na Slaytona!

Miss Kingman zarumieniła się.

— Moje serce jest wolne — odpowiedziała — ale w żadnym razie nie wyjdę za mąż za Slaytona.

Rozmowa przeszła na inne tematy. Pani Daudet opowiedziała Vivian różne szczegóły o życiu na wyspie.

— Posiadamy spore zapasy żywności, przede wszystkim konserw. A ponieważ nie wiadomo, czy uda się zdobyć nowe, używamy ich tylko w ostatecznym wypadku. Szczególnie oszczędzamy mąkę. Chleb, wino, konserwy mięsne i jarzynowe przydziela się tylko chorym. Nasze stałe pożywienie stanowią ryby morskie. Toteż wskutek monotonii w odżywianiu zdarza się skorbut. Tacy chorzy otrzymują specjalne racje z magazynu.

— A czy te wszystkie statki nie mogą zatonać?

— Nasz profesor Lüders twierdzi, że tu jest dość płytko. A statki tonęły od wieków, podnosząc poziom dna. Obecnie znajdujemy się na prawdziwej wyspie złożonej z zatopionych okrętów. Mamy tu ulubione miejsca spacerów, swoje ulice i place — na pokładach wielkich statków, „góry” i „doliny”... Mieszka z nami sześć małp, kilka psów i oswojonych ptaków, które schwytaliśmy, gdy odpoczywały na wyspie podczas przelotu. — Staruszka westchnęła. — Co można powiedzieć? Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego! A jednak chciałabym jeszcze zobaczyć ziemię i złożyć stare kości w ziemi...

Obawy Maggie sprawdziły się. Miss Kingman wkrótce zetknęła się ze Slaytonem.

Fergus zaprosił Vivian na herbatkę popołudniową. A kiedy miss Kingman przyszła, zaproponował z miejsca, by została jego żoną. Vivian odmówiła kategorycznie. Slayton zaczął ją prosić, a potem uciekł się do gróźb:

— Niech pani zrozumie, że to jest nieuniknione. I leży w pani własnym interesie. Pod moją opieką będzie pani bezpieczna, będzie pani miała wszystko. Będzie pani miała doskonałą obsługę... Wiem, że pani ojciec jest bogaty. Ale całe jego bogactwo to grosze w porównaniu z tym, co ja posiadam. Pokażę pani kufry pełne złota, stosy brylantów i pereł; garściami będzie pani brała szmaragdy z mojego skarbcza. Wszystko należeć będzie do pani.

— Nie jestem dzieckiem, nie bawię się kamykami. Zresztą wszystkie te skarby nadają się tutaj tylko do przesytywania z ręki do ręki.

— Niech się pani zgodzi! Niech się pani zgodzi z własnej woli, w przeciwnym razie... i Slayton ścisnął mocno Vivian za łokieć.

— Czy nie zostawiłam tutaj tacy? — rzekła mistress Daudet, uchylając nagle drzwi i wchodząc do kajuty.

Slayton skrzywił się niezadowolony, odszedł od miss Kingman i czekał w milczeniu.

Staruszka w dalszym ciągu uwijała się po kajucie. Slayton stracił cierpliwość.

— Czy prędko się pani stąd wyniesie?

Mistress Daudet wzięła się pod boki, przybrała bojową postawę, zmierzyła Slaytona oczami od stóp do głów i wpadła na niego nagle jak kokoszka, broniąca kurczęcia.

— Nie, nie wyniosę się! Nie wyniosę się, dopóki pan nie odpowie na moje wszystkie pytania. Pan jest gubernatorem wyspy?

— Tak, ja. I co z tego?

— Pan wydaje ustawy?

— Ja wydaję ustawy.

— Więc kto będzie ich przestrzegać, skoro pan pierwszy je łamie?

— O co pani chodzi, szalona kobieto?

— Pan jest szalony, nie ja! Wydał pan prawo, że każda kobieta, która znajdzie się na wyspie, musi wyjść za mąż! Tak, pięknie. Ale kobieta ma prawo wyboru męża... A co pan robi?

— Pani podsłuchiwała?

— Tak, tak, podsłuchiwałam i bardzo dobrze zrobiłam! Czy u nas w taki sposób odbywa się wybór męża? Pan chciał oszukać ją i wszystkich, którzy mają prawo liczyć na jej wy-

bór. Chciał pan obejść prawo, ale to się panu nie uda. Rozniosę tę wiadomość po całej wyspie i wszyscy wystąpią przeciw panu. Pan zapomniał o historii Maggie i Floresa? A więc stawiam ostatnie pytanie: czy ma pan zamiar zastosować się do prawa i wyznaczyć termin, w którym Vivian Kingman dokona wyboru męża, zgodnie z obowiązującymi prawami?

Fergus był rozdrażniony, lecz poczuł, że musi ustąpić.

— Dobrze! Przeprowadzimy wszystko formalnie, skoro pani tego żąda! Ale przekonaj się pani, że wynik będzie ten sam. Przecież miss nie wyjdzie za mąż za Murzyna albo za jednego z moich obdartusów.

— O tym się jeszcze przekonamy. A teraz, kochanie, chodźmy do mnie — i pani Daudet z miną zwycięzcy wyprowadziła miss Kingman z kajuty Slaytona.

V. Wybór narzeczonego

Słońce służyło za horyzont, oświetlając czerwonymi promieniami jasnozieloną powierzchnię Morza Sargassowego i las masztów na Wyspie Zaginionych Okrętów. Ten las zniszczony przez burze, zdziesiątkowany przez czas, jego połamane konary — reje, strzępy żagli zwisające jak ostatnie liście na drzewach — wszystko to mogło doprowadzić do rozpaczy nawet największego optymistę.

Lecz profesor Lüders czuł się tutaj znakomicie, jak uczony archeolog w ulubionym muzeum starożytności.

Usiadł na pokładzie holenderskiej karaweli i z zapalem, ogarniając szerokim gestem wszystko dokoła, opowiadał Huttlingowi:

— Ma pan tu przed sobą całą historię budownictwa okrętowego. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie tu są skarby. Tam, obok statku kołowego z zeszłego stulecia, stoi statek pochodzący z czasów przed Kolumbem. Z takim sterem pływano po oceanie! A tam, za trójpokładowym brygiem, znajduje się perła mojego muzeum: jednomasztowy statek skandynawski na dziewięć wioseł, zbudowany w dziesiątym wieku na zachodnim wybrzeżu Grenlandii. Burza rzuciła go w zamierzchłych czasach na szczątki statków, które jeszcze dawniej uległy katastrofie, dlatego zachował się w takim dobrym stanie. Niech pan popatrzy na jego piękny, wysmukły kształt, na ostro wzniesioną rufę i jeszcze wyżej wzniesiony dziób, uwieńczony drewnianą rzeźbą, przedstawiającą głowę ptaka czy smoka. Jakie zrzędzenie losu rzuciło go tutaj? Jacy śmiałkowie wybrali się w daleką drogę na tym wątlwym czółnie? A tam, jeszcze niżej, w zastygłych zimnych głębinach, spoczywają zapewne szczątki statków fenickich i egipskich i — kto wie, może właśnie tutaj, pod naszymi stopami, wśród gęstwiny gronorośców i szczątków zaginionej cywilizacji, spoczywa flota wielkiej Atlantydy?

— Panie Huttling! Kapitan Fergus Slayton prosi pana do siebie.

Huttling ujrzał półnagiego Murzyna, którego ciało przybrało w promieniach zachodzącego słońca odcień starego brązu.

— Czego sobie kapitan życzy?

— Kapitan prosi, żeby pan przyszedł do niego — powtórzył Murzyn.

Huttling podniósł się niechętnie z miejsca i poszedł po rozchybotanych mostkach do „rezydencji” gubernatora.

Slayton przybrał w kajucie swą ulubioną pozę.

— Muszę z panem pomówić, mister Huttling. Czy pan kocha miss Kingman? — zapytał niespodzianie.

— Nie odpowiem panu na to pytanie! To jest moja osobista sprawa.

— Myli się pan! I moja również — rzekł Slayton.

— Czyżby? W takim razie mogę panu oznajmić, że nie roszczę sobie żadnych praw do miss Kingman. Jesteśmy przyjaciółmi, szanuję ją bardzo. Lecz przyjaźń z miss Kingman nakłada na mnie pewne obowiązki...

— Na czym one polegają?

— Na tym, że nie pozwolę nikomu decydować o losie miss Kingman wbrew jej woli.

— Niech pan nie zapomina, panie Huttling, że tu ja mam przywilej pozwalać na coś lub nie pozwalać. Tylko ja! — i po chwili Slayton dodał: — Niech pan posłucha, Huttling! Mam możliwość odwiezienia pana na wybrzeże Wysp Azorskich. I mogę bardzo dobrze zaopatrzyć pana na drogę.

Huttling poczerwieniał z gniewu i zacisnął pięści.

— Milczeć! — krzyknął. — Pan śmie proponować mi łapówkę? Pan śmie przypuszczać, że mógłbym zdradzić człowieka za pieniądze? — I Huttling rzucił się na Slaytona.

Slayton odparował cios i dał znak gwizdkiem. Dziesięciu obdartusów różnych narodowości, należących do straży przybocznej Slaytona, przybiegło z korytarza. Rzucili się na Huttlinga.

Huttling bronił się dzielnie, lecz siły były nierówne. Po kilku minutach napastnicy związali go mocno.

— Wrzucić go do ciemnicy! Przy okazji wsadźcie również Simpkinsa do aresztu!

Kiedy wyprowadzono Huttlinga, Slayton zapytał jednego ze służących, czy wszystko jest przygotowane do ceremonii wyboru narzeczonego.

— Doskonale! A więc dziś o dziewiątej wieczorem!

Wielka sala kajuty ogólnej została wspaniale udekorowana. Ściany ozdobione były flagami wszystkich narodów, zdjętymi z zaginionych okrętów, i kawałkami kolorowego materiału. Przez całą kajutę, wzdłuż i wszerz ciągnęły się girlandy gronorostów. W pomieszczeniu szybko traciły swój kolor i wyglądały żałośnie, lecz nie było rady, innej zieleni na wyspie nie można było znaleźć. Za to stoły ozdobiono kilkoma bukietami wielkich białych kwiatów, przypominających lilie wodne. Dekorację uzupełniały różnobarwne lampiony zawieszane pod sufitem. Długi stół zastawiony był zimnymi zakąskami, winem i nawet butelkami szampana. Męska ludność wyspy od samego rana dosłownie wylażała ze skóry.

Wieczorem nie można było poznać miejscowych oberwańców.

Każdy miał schowaną w dobrze ukrytym kuferku zupełnie przyzwoitą odzież. Nigdy jeszcze mieszkańcy wyspy nie golili się tak starannie, nigdy jeszcze tak uważnie nie czesali włosów odzwyczajonych od szczotki i grzebienia, nigdy nie zużyli takiej ilości mydła i wody i nigdy tak długo nie podziwiali siebie w kawałkach luster...

A te kawałki odbijały najrozmaitsze twarze: czarną jak sadza, lśniącą twarz Murzyna, i wąskie oczy żółtoliciego Chińczyka, i zżartą przez sól i wiatry twarz starego wilka morskiego, i jaskrawie czerwoną twarz Indianina z wymyślnymi kolczykami w uszach.

Lecz wszyscy — starzy i młodzi, biali i czarni — myśleli o jednym:

„Doprawdy, nie jestem brzydki! Wszystko może się zdarzyć! Kto zna tajemnice kapryśnego serca kobiety?”

Każdy wyspiarz, bez względu na minimalne szanse, marzył o tym, by zostać wybranym miss Kingman.

Pośrodku kajuty ogólnej wzniesiono trybunę.

Na to wzniesienie punktualnie o dziewiątej wieczorem wprowadzono miss Kingman w białej ślubnej sukni wraz z towarzyszącymi jej Idą Daudet i Maggie Flores.

Na ten widok chór zaintonował pieśń. Wykonanie nie odznaczało się harmonią i brzmiało okropnie dla muzycznego ucha miss Kingman, ale nie można było zarzucić śpiewakom braku entuzjazmu. Kołysały się lampiony i powiewały flagi, kiedy kilkadziesiąt zachrypniętych głosów wyło i krzyczało: „Niech żyje, niech żyje!”

„Narzeczona”, posępna i wzruszona, weszła na wysokie podium.

Slayton zwrócił się do niej z okolicznościowym przemówieniem. Wskazał na „niezłomne” prawo głoszące, że każda kobieta przybywająca na Wyspę Zaginionych Okrętów musi sobie wybrać męża.

— Może to prawo wyda się pani surowe, lecz jest konieczne i koniec końców sprawiedliwe. Przed wydaniem ustawy sprawa rozstrzygana była za pomocą siły, walką na noże między kandydatami. I ludność wyspy ginęła jak w czasie epidemii...

Tak, wszystko to było może nawet słuszne, ale skutek tego nie było miss Kingman lżej na sercu. Jej oczy szukały pomocy. Lecz wśród zebranych nie spostrzegła ani Huttlinga, ani Simpkinsa. Slayton zauważył to spojrzenie i uśmiechnął się.

Rozpoczęła się defilada narzeczonych... Cała ta hałastrza wzbudzała w miss Kingman lęk, pogardę, a czasami mimowolny uśmiech, kiedy na przykład stanął przed nią z laseczką w ręku najstarszy mieszkaniec wyspy — Włoch Julio Bocco.

Trzeba powiedzieć, że Slayton w głębi serca obawiał się konkurencji tego Matuzalema. Istotnie, Bocco miał pewne szanse. Vivian, patrząc na niego, powstrzymała się na chwilę z odpowiedzią, jakby zastanawiając się nad czymś. Lecz następnie potrząsnęła przecząco głową i nawet nie wiedząc o tym, uratowała życie Bocco, bowiem w chwili, gdy się zawałała, Fergus Slayton postanowił zabić Bocco, jeśli wybór miss Kingman padnie na staruszka. Wszyscy kandydaci przedfilowali przed miss Kingman. Ostatni był Slayton...

Lecz miss Kingman, prześliznąwszy się po nim spojrzeniem, zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Nie.

— Hoho! A to dopiero! Co teraz będzie — rozległy się okrzyki.

Slayton był wściekły, lecz usiłował zapanować nad sobą.

— Miss Kingman nie raczyła wybrać nikogo z nas — powiedział z udanym spokojem. — Ale to nie może wpłynąć na zmianę naszych ustaw. Trzeba będzie tylko zmienić technikę wyboru. Proponuję następujące wyjście: miss Kingman powinna zostać moją żoną. Jeśli zaś ktokolwiek chce rywalizować ze mną o jej rękę, niech się stawi, a zmierzmy się. Kto zwycięży, ten zostanie mężem miss Kingman — i Slayton, zakasawszy szybko rękawy, przygotował się do walki.

Minęła minuta napiętej ciszy.

I nagle, wśród powszechnego śmiechu, staruszek Bocco, zrzuciwszy marynarkę i nawet nie zawijając rękawów, śmiało rzucił się na Slaytona. Tłum otoczył walczących. Widać było, że Bocco był kiedyś dobrym bokserem. Udało mu się zręcznie odparować kilka ciosów Slaytona. Jeden raz, nawet w trzeciej rundzie, Bocco zadał dotkliwy cios Slaytonowi w szczękę, lecz w sekundę później runął na podłogę zwalony silnym ciosem w pierś. Bocco został pokonany.

Po nim ruszył do walki następny kandydat — Irlandczyk O'Hara. Był to krzepki, barczysty chłop, uważany za jednego z najlepszych bokserów na wyspie.

Walka rozgorzała na nowo. Lecz Slayton, mocny, spokojny i opanowany, szybko pokonał również tego przeciwnika. O'Hara zalany krwią leżał na podłodze, wypluwając wybite zęby.

Trzeciego rywala nie było...

Zwycięzcą został Slayton, który podszedł do miss Kingman i wyciągnął do niej rękę. Vivian zachwiała się i chwyciła za rękę staruszkę, Daudet-Turnip.

VI. Porażka Slaytona

Huttlings siedział w ciemnicy, zastanawiając się nad sytuacją. Nagle ktoś cicho zapukał do drzwi.

— Mister Huttlings! To ja, Arystydes Turnip-Daudet... Jak się pan czuje?

— Dziękuję panu. Czy mógłby mi pan powiedzieć, czy teraz jest dzień czy noc?

— Teraz jest wieczór, mister Huttlings. I można powiedzieć, niezwykle uroczysty wieczór. Miss Kingman wybiera sobie męża... Cała męska ludność bierze udział w tej uroczystości, prócz dwóch żonatych, oprócz mnie i Floresa. Dlatego nam został powierzony dyżur. Ja pilnuję pańskiej celi, a Flores pilnuje Simpkinsa.

— Panie Turnip, niech pan otworzy drzwi.

— Zrobiłbym to z największą przyjemnością, ale nie mogę. Boję się. Pan nie zna Slaytona. Zbije mnie na kwaśne jabłko i rzuci na żer krabom.

— Niech się pan nie boi, panie Turnip. Daję panu słowo, że...

— Za żadne skarby. Za nic w świecie nie otworzę. Jeżeli jednak — i Turnip zaczął mówić ciszej — jeżeli pan wydobędzie się sam, to ja umyję panu ręce...

— Jak mam się wydostać?

Turnip ściszył głos do szeptu:

— W lewym rogu kajuty, na poziomie wzrostu człowieka, znajduje się przełaz, zasłonięty dyktą. Niech pan oderwie tę deseczkę no i... A po drugiej stronie — Simpkins, nawiasem mówiąc...

Turnip nie dokończył jeszcze, kiedy Huttlings już obmacywał ściany kajuty, odnalazł deseczkę i oderwał ją szybko. Do karceru wpadł promień światła. Huttlings wspiął się do góry i przełazł przez wąskie okienko na ciemny korytarz, wiodący na pokład. W ścianie z przeciwnej strony widać było takie samo okno zasłonięte dyktą. Czy nie tam przypadkiem znajduje się Simpkins? Huttlings zerwał dyktę i wkrótce istotnie ujrzał wyglądające przez okno zdziwione oblicze detektywa.

— Wyłaż pan szybko! A niech to diabli! Muszę na dobitkę uwalniać z więzienia mojego własnego dozorcę! Jaki pan jest niezdarny! Niech mnie pan trzyma za rękę! O! Tak! Chodźmy!

Huttlings, któremu towarzyszył Simpkins, wszedł na salę w momencie, kiedy Slayton wyciągał rękę do miss Kingman.

W kajucie nastąpiło zamieszanie, a potem zapadła cisza.

Złowrobnym, podnieconym wyglądem Huttlingsa zapowiadał zebranym, iż można się spodziewać ciekawych wydarzeń.

— Jak wypadły wybory? — zapytał głośno Huttlings na progu kajuty.

Slayton drgnął. Lekki skurcz przebiegł mu po twarzy, lecz po chwili zapanował nad sobą. Zwrócił się do Huttlingsa i powiedział spokojnie, wskazując miss Kingman.

— Spóźnił się pan. Ona zgodnie z prawem będzie moją żoną.

— Protestuję. Pan bezprawnie pozbawił wolności mnie i Simpkinsa i nie dopuścił nas do udziału w wyborach.

— Nie ma o czym mówić...

Lecz w tłumie wybuchło poruszenie. W tym momencie Huttlings spostrzegł po raz pierwszy, że Slayton ma swoją partię, która go poprze w każdej sytuacji, ale ma również wrogów. Właśnie oni krzyczeli, że nowo przybyli powinni być dopuszczeni do „konkursu”.

— Zgoda! — zawołał Slayton. — Niech współzawodnictwo trwa dalej. — I zaczął wymachiwać pięściami przed twarzą Huttlingsa.

— Chce pan bić się ze mną?

— Domagam się tego!

W tłumie rozległy się okrzyki zadowolenia.

Zapowiadała się zaciekle walka.

— Na pokład! Na pokład! — krzyczano w tłumie.

Przeciwnicy i widzowie wyszli na pokład. Zakreślono koło. Huttling i Slayton zdjęli marynarki i podwinęli rękawy koszul. Sędzią został staruszek Bocco. Zebrani wyspiarze z zapartym tchem obserwowali każdy ruch uczestników walki.

Na znak sędziego przeciwnicy zwarli się w środku koła. Huttling przeszedł z miejsca do energicznego ataku. Slayton systematycznie i nieco ospale odpierał jego ciosy.

Widzowie zaczęli rzucać różne uwagi. W podnieconej atmosferze rozgrywki zwracali się do walczących na „ty”.

— Oszczędzaj sił, Huttling! Slayton chce cię zmęczyć, a potem cię wykończy!

— Nie denerwuj się!

— Slayton zwycięży! Zuch z naszego Fergusa! Ale ma cios!

Walka była coraz bardziej zaciekle i coraz wyraźniej ujawniały się nastroje dwóch wrogich obozów. Grupy te odseparowały się niepostrzeżenie: „slaytoniści” znaleźli się w tyle. Widzowie tak przejęli się walką, że naśladowali każdy ruch walczących, tak jak balet powtarza za baletmistrem wszystkie „pas”.

Istotnie, Huttling gorączkował się w pierwszych chwilach, miał nerwy napięte do ostateczności. Ale po zrobieniu paru błędów zaczął walczyć znacznie ostrożniej. Natomiast Slayton, któremu Huttling zadał kilka dotkliwych ciosów, stracił panowanie nad sobą. Teraz stan psychiczny walczących wyrównał się i można było bezstronnie ocenić walory każdego z nich.

Slayton był silniejszy od Huttlinga i miał znacznie większą wagę; Huttling, chociaż słabszy i lżejszy, był zręczniejszy i szybszy od Slaytona. Slayton rzadziej atakował, lecz zadawał bardzo silne ciosy; Huttling raptownie podejmował nowy atak, paralizując wszelkie rachuby przeciwnika. Trudno było przewidzieć wynik walki. Bocco zarządził przerwę. „Slaytoniści” podbiegli do Fergusa, posadzili go, zdjęli z niego koszulę i zaczęli energicznie masować. Druga partia zajęła się troskliwie Huttlingiem.

Po przerwie walka została podjęta na nowo, z jeszcze większą zaciekłością. Napięcie wśród widzów doszło do punktu kulminacyjnego. Postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że to nie dwóch mężczyzn walczy ze sobą na pięści, lecz cała ludność wyspy: widzowie naśladowali ruchy walczących, robili wypadki, przykucali, cofali się, robili uniki lub zadawali głową cios w brzuch niewidzialnego wroga...

Walka zbliżała się ku końcowi i wszystko świadczyło o tym, że zwycięży Slayton.

Był niezmordowany. Czerpał wciąż nowe siły z ukrytych zasobów energii i zadawał Huttlingowi cios za ciosem. Huttlingowi spuchło lewe oko, pod którym widniał wielki siniec, krew płynęła mu z warg. Kilka razy jak kłoda padał na ziemię, lecz wysiłkiem woli zmuszał się do wstania, by runąć znów pod ciosem wroga. Slaytoniści już triumfowali, witając swe zwycięstwo przeraźliwym rykiem.

Nagle Huttling, zebrawszy resztę sił, rzucił się na Slaytona i zadał mu tak potężny cios w szczękę, że kapitan runął na pokład. Wstał jednak po chwili z trudem i zaczął cofać się do burty, chcąc uzyskać kilka sekund wytchnienia i znów przejść do ataku. Lecz Huttling jak oszalały, spoglądając obłądnym, rozwartym szeroko prawym okiem, przygniótł go do burty i zadał tak potworny cios w kość nosową, że Slayton wywinął kozła w powietrzu i poleciał za burtę.

Okrzyki przerażenia i zachwyty, szyderczy śmiech i oklaski — wszystko zmieszało się w dzikiej kakofonii.

„Slaytoniści” śpiesznie wyciągnęli z zielonych gronostów swe obolałe bożyszcze...

Kiedy Slayton znów zjawił się na pokładzie, powitała go nowa salwa śmiechu i okrzyki.

Mokry, oplątany gronorostami wyglądał jak topielec, który przeszło dobę znajdował się w wodzie. Miał spuchniętą i pokrwawioną twarz. Lecz mimo to usiłował zachować resztki godności.

Chwiejnym krokiem podszedł do Huttlinga i wyciągnął do niego rękę.

— Zwyciężył pan! Miss Kingman należy do pana!

Odpowiedź Huttlinga zaskoczyła zgromadzonych.

— Nie, miss Kingman nie należy do mnie. Wcale nie chcę się jej narzucać, nie chcę zostać jej mężem tylko dlatego, że zadałem panu celny cios w kość nosową!

Tłum ucichł. Wszyscy z ciekawością czekali, co będzie dalej. Slayton spurpurowiał.

— Do diabła! Czy to się wreszcie skończy? Dość tego! Miss Kingman! Jako gubernator wyspy żądam, by pani natychmiast dokonała wyboru, w przeciwnym razie zarządzę losowanie.

— Losowanie! Losowanie! — rozległy się okrzyki.

Miss Kingman wzdrygnęła się, podeszła do Huttlinga i podała mu rękę.

— No, nareszcie — rzekł Slayton z kwaśnym uśmiechem i złożył Vivian życzenia.

— Miss Kingman — szepnął jej Huttling na ucho — pani jest całkowicie wolna, nie wysuwam wobec pani żadnych żądań. Nie śmiem myśleć, że mogłaby pani połączyć swój los z losem... przestępcy — dodał ciszej.

CZEŚĆ TRZECIA

1. Spisek

— Przekłete deski, jak one skrzypią! Niech się pan nie potknie, mister Huttling! Proszę mi podać rękę. Znam drogę jak własną kieszeń. Przecież od dwudziestu lat łączę po „ulicach” tej wyspy. Jak ten czas szybko płynie! Dwadzieścia lat!

I Huttling usłyszał ciężkie westchnienie Turnipa.

Była ciemna noc. Nie było widać gwiazd. Już drugą dobę spowijała wyspę gęsta zasłona mgły.

Słychać było plusk ryby w wodzie, czasami jak gdyby czyjeś westchnienie. Gdzieś głęboko w ładowni szczur szukał pożywienia. Wędrowcy powoli, po omacku, szli naprzód. Od czasu do czasu rozlegał się jakiś jęk: „kuu-wa — kuu-wa” podobny do głosu puchacza.

— Co to jest? — zapytał zaniepokojony Huttling.

Turnip znów ciężko westchnął.

— Diabli wiedzą! Nikt nie wie, kto tak płacze i jęczy po nocach. Nasi mówią, że to dusze topielców chodzą w ciemnościach i jęczą. Nie wierzę w te bzdury. Inni znów zapewniają, że to jest jakieś zwierzę morskie spotykane w tych stronach.

Huttling wspomniał o nocnym wydarzeniu, kiedy pokład ich parowca odwiedziło jakieś stworzenie, mieszkające widocznie w głębinach morza.

— Wszystko jest możliwe — rzekł Turnip. — Ale nie jest wykluczone, że się panu przywidziało. W tych stronach mgła maści w głowie.

— Ale ślady na pokładzie! Widzieliśmy je wszyscy!

— Możliwe, możliwe... Siądźmy i odpocznijmy, mister Huttling. Przekłeta zadyszka!...

Usiedli na pokładzie bardzo starego parowca.

— Już niedaleko. Jeden bryg, dwie fregaty i jeszcze jeden stateczek kołowy, a będziemy na miejscu...

— Pan bywał na tej łodzi podwodnej?

— Byłem nieraz i rozmawiałem z niemieckim marynarzem, który pływał na niej. Umarł w zeszłym roku na szkorbut. Nie jestem specjalistą, lecz marynarz zapewniał mnie, że wszystkie maszyny na łodzi są całe i że można jeszcze doprowadzić ją do porządku.

— Czy Slayton wie o tym?

— Sądzę, że wie. Chyba właśnie na tej łodzi chciał przeprowadzić pana na Wyspy Azorskie.

— No, to dlaczego sam z niej nie korzysta, by wydostać się z tego zatraczonego bajora?

— U nas mówi się w tajemnicy, że Slaytona od dawna czeka na lądzie szubienica. Okazuje się, że Wyspa Zaginionych Okrętów jest dla niego najodpowiedniejszym miejscem. Tutaj nikt go nie znajdzie. A ja bym na skrzydłach stąd uciekł! Slayton to despota i cham. Dosłownie ujarzmił nas. Ciężki to los na stare lata być bitym i żywić się wyłącznie rybami! A ja tak lubię dobrze zjeść... ach, jak lubię!... Żeby jeszcze jeden raz przynajmniej zjeść po ludzku obiad!...

Zamilkli. Każdy myślał o swoich sprawach.

Huttlings po zwycięstwie nad Slaytonem, jak mówiono na wyspie, „okrył go publiczną hańbą”, zabierając mu miss Kingman.

Był „skazany na zagładę” i wiedział o tym. Slayton czekał tylko na odpowiednią chwilę; chciał w taki sposób usunąć rywala, by nie ściągnąć na siebie żadnego podejrzenia i nie pogłębić niechęci miss Kingman. Huttlingsa mogła uratować tylko ucieczka. Ale jak stąd uciec? Ani tratwa, ani łódź nie mogły się poruszać w zielonej kaszy gronorostów. Turnip podsunął mu myśl o ucieczce na niemieckiej łodzi podwodnej.

Ucieczkę przygotowywano w największej tajemnicy.

W spisku brali udział prócz Huttlingsa i Turnipa, miss Kingman, Simpkins, żona Turnipa i trzech marynarze, którzy znali się trochę na obsłudze maszyn. Trzeba było tylko doprowadzić łódź do porządku.

— No co? Idziemy!

— Och, idziemy! — odpowiedział pokornie Turnip.

Ruszyli w drogę.

Okazało się, że łódź jest istotnie w niezłym stanie. Coś niecoś zardzewiało, coś niecoś wymagało naprawy. Ale wszystkie podstawowe części mechanizmów były całe. Na łodzi znajdował się również radiotelegraf.

Rozpoczęto remont. Praca szła bardzo wolno. Z zachowaniem największej ostrożności trzeba było przedostawać się w nocy okólnymi drogami, obok „rezydencji” i warty, i pracować do brzasku, by na godzinę przed świtem znaleźć się z powrotem na miejscu.

Powoli łódź podwodna została wyremontowana i zaopatrzona w żywność: konserwy, chleb i wino. Lecz na dwa dni przed zamierzoną ucieczką zdarzyła się przykra niespodzianka. Huttlings zajęty pracą na łodzi spóźnił się nieco. Kiedy powracał z dwoma marynarzami, natknął się na wyspiarzy z partii Slaytona, którzy wyszli o świcie na połów ryb. Popatrzyli podejrzliwie na Huttlingsa i poszli dalej... Nie ulegało wątpliwości, że Slayton dziś jeszcze dowie się o podejrzanym nocnym spacerze Huttlingsa z dwoma marynarzami i podejmie odpowiednie kroki...

Trzeba było działać natychmiast.

Huttlings kazał niezwłocznie zawiadomić uczestników spisku, by wzięli broń (to było przewidziane) i udali się na łódź podwodną. Wyspa obudzi się dopiero za godzinę. Czasu było więc dość. W ciągu dwudziestu minut zbiegowie zebrali się w komplecie.

Z nietajonym wzruszeniem udali się w drogę do łodzi.

Uprzednio już łódź podwodna została przeprowadzona na miejsce stosunkowo wolniej-

sze od gronorostów, gdzie można było ją zanurzyć w wodzie. Koło starego parowca stała niewielka tratwa.

II. Ucieczka

Zbiegowie mieli za sobą dwie trzecie drogi, kiedy spostrzegli pogoń. Nadciągała od strony „góry” — najwyższej fregaty. Trzeba się było śpieszyć...

Turnip i jego zacna połowica padali ze zmęczenia, z trudem dotrzymując kroku młodym towarzyszom. Z pokładu na pokład — w górę w dół, w górę, w dół — biegli po chwiejnych mostkach Huttling, miss Kingman, małżonkowie Daudet-Turnip, Simpkins i trzech marynarze.

Huttling zatrzymał się, kazał wszystkim ruszyć naprzód i zabrał się do niszczenia wąskiego mostku, łączącego szczątki karaweli ze starym parowcem. Połamał deski i wrzucił je do wody. W ten sposób udało się zahamować pościg, który podzielony na kilka grup musiał skorzystać z dróg okólnych.

Słychać było, jak Slayton, który stał na czele pogoni, wymyślał głośno przy zniszczonym mostku.

Zbiegowie zyskali na czasie i popłynęli na tratwie od brzegu w kierunku łodzi podwodnej. Ale odbywało się to bardzo wolno. Chociaż było tu stosunkowo mniej gronorostów, to jednak „sargassy” czepiały się tratwy i trzeba było zatrzymywać się co minutę i oczyszczać drogę rękami.

Tratwa przebyła zaledwie połowę drogi, a pościg już dotarł na miejsce, skąd zbiegowie odbili.

— Poddajcie się! Wracajcie, bo wystrzelam was wszystkich! — krzyczał Slayton z „brzegu”, podnosząc karabin nad głową.

Jeden z marynarzy na tratwie zamiast odpowiedzi potrząsnął pięścią.

— A, łotrze! — zawołał Slayton i wystrzelił. Kula trafiła w tratwę.

Wywiązała się strzelanina.

Wyspiarze mieli dogodniejszą sytuację. Znajdowali się pod osłoną masztów i nadbudówek, podczas gdy tratwę było widać jak na dłoni.

Cała ludność wyspy brała udział w pościgu.

— Boże! — powiedziała staruszka Turnip. — Niech pani spojrzy, Vivian, nawet Maggie Flores przylazła tutaj ze swym dzieckiem. O, tam, wygląda zza pokładu, widzi pani?

Slayton wydał jakiś rozkaz. Część wyspiarzy zeszła nad wodę i zaczęła szybko zbijać tratwę. Zbiegowie ostrzelali ich. Oto jeden wpadł do wody... oto drugi, machnąwszy ręką, włązi na pokład barki rybackiej...

Na razie zbiegom sprzyjało szczęście. Wyspiarze, którzy dawno nie strzelali, pudłowali. Kule padały dokoła tratwy, rozpryskując wodę. Wkrótce jednak jeden z marynarzy został ranny w nogę. Kula przeszła szal powiewający nad głową miss Kingman. Huttling kazał kobietom położyć się na tratwie.

Od wyspy już odbijała łódź z pięcioma uzbrojonymi wyspiarzami.

Zbiegowie, wyteżając resztę sił, wiosłowali prymitywnymi wiosłami.

Oto nareszcie łódź wzniesiona częścią nadwodną nad powierzchnią i mały pomost na górze.

Huttling skoczył na łódź, otworzył luk i wpuścił kobiety do środka.

W tym samym momencie kula trafiła go w ramię. Huttling pobladł wskutek upływu krwi, lecz w dalszym ciągu wydawał rozkazy.

— Przeklęty Slayton! — zawołał marynarz Irlandczyk, ujrawszy, że Huttling jest

ranny. — Ja cię poczęstuję!

Wycelował dokładnie i wystrzelił.

Slayton wypuścił karabin z rąk i upadł. Pierś zboczyła mu krew.

Widać było, jak na jego znak zbliżyła się Maggie Flores i nachylając się nad nim, podała dziecko. Slayton dotknął słabnącą ręką głowy dziecka i coś powiedział do Maggie i Floresa...

Lecz zbiegowie nie mieli czasu obserwować tej sceny. Pogoń już przybijała do łodzi podwodnej. W tej samej chwili, w której luk łodzi podwodnej zatrzaskał się za ostatnim zbiegiem — Huttlingiem, wyspiarze już wdrapywali się na mostek...

Łódź drgnęła i zaczęła się szybko zanurzać...

Stropieni wyspiarze, tracąc grunt pod nogami, pograżyli się w wodzie i płacząc się w gronorostach, zaczęli wylazić na tratwę.

Żałoga łodzi podwodnej powitała moment zanurzenia się głośnym „hura”.

Rozwiały się ostatnie obawy: maszyny pracowały bez zarzutu. Jasne światło elektryczne zalało kabiny. Silnik pracował rytmicznie. Płuca oddychały swobodnie.

Lecz nie było czasu na wyrażanie radości. Trzeba było zająć się rannymi. Miss Kingman i pani Turnip wzięły na siebie obowiązki siostr miłosierdzia. Rannemu marynarzowi opatrzone nogę, Huttlingowi — ramię.

Z trudem udało się położyć Huttlinga do łóżka. Miał gorączkę, ramię spuchło i bolało go, lecz mimo to chciał sam kierować łodzią.

W nocy stan Huttlinga pogorszył się. Stara pani Turnip, zmęczona ucieczką i przeżyciami dnia, poszła spać. Przy łóżku chorego objęła dyżur miss Kingman.

Huttling nie spał. Vivian zwilżała mu skronie wodą.

Uśmiechnął się słabo i rzekł:

— Dziękuję pani... jest mi już lepiej... niech się pani nie przemęcza, niech pani odpocznie.

— Nie jestem zmęczona!

— Jakie to wszystko jest dziwne! — powiedział po chwili. — Przypadła pani w udziale opieka nad przestępcą...

Miss Kingman nachmurzyła się.

— Proszę nie mówić o tym!

— A ja właśnie dziś chciałbym pomówić. Niech mi pani powie szczerze, czy pani wierzy w to, że jestem zbrodniarzem?

Miss Kingman stropiła się.

— Nie wiem, czy dokonał pan zbrodni, lecz wiem, że jest pan lepszy od wielu tak zwanych „uczciwych ludzi” — odpowiedziała.

— Pani mi ufa... Chciałbym opowiedzieć pani o wszystkim.

— Doprawdy, lepiej będzie, jeśli pan pośpi trochę...

— Nie, nie... Niech pani posłucha... Byłem inżynierem u Jacksona... Zakłady budowy okrętów... słyszała pani? Kochałem Delii Jackson, córkę starego Jacksona. Po wojnie przedsiębiorstwo Jacksona podupadło. Groziło mu bankructwo. I jak to często się zdarza w tym środowisku, Jackson postanowił szukać ratunku przez wydanie swojej córki za syna bogatego bankiera Larraughby'ego. Delii kochała mnie. Ale była bardzo przywiązana do starego ojca i gotowa była złożyć ofiarę z siebie, chociaż młody degenerat Larraughby budził w niej wstręt. Ja uważałem, że nie mam prawa wpływać na jej decyzje. Napisałem list do Delii, prosząc ją o przybycie na nasze ostatnie spotkanie za miastem. Postanowiłem bowiem wyjechać do Europy i miałem już przygotowany bilet okrętowy. Zostawiłem samochód z kierowcą na szosie i udałem się do lasku, w którym mieliśmy się spotkać z Delii. Ale nie zastałem jej na umówionym miejscu. Zmartwiłem się ogromnie, lecz nie mogłem dłużej czekać na nią. Kilka minut krążyłem po tym odludnym zakątku, a potem wsiadłem do samochodu, przybyłem do portu

tuż przed odpłynięciem statku i opuściłem łódź amerykańską.

Podczas pobytu w Genewie przeczytałem pewnego dnia w gazecie straszną wiadomość z Nowego Jorku: Delia Jackson została zamordowana. Zwłoki znaleziono w pobliżu owego miejsca, w którym mieliśmy się spotkać. Wśród papierów Delii odnaleziony został mój list, zapraszający ją na spotkanie w podmiejskim lasu, w dniu, w którym padła ofiarą zbrodni...

Zeznania kierowcy, który jeździł ze mną, stanowiły ostatnie ogniwo śledztwa. Wszystkie poszlaki wskazywały na mnie. Motywy zbrodni były również jasne: wiadomo było powszechnie, że starałem się o rękę miss Jackson i że Larraughby był moim szczęśliwym rywalem. A więc morderstwo z zazdrości. Zemsta... W tym samym dzienniku znajdowało się duże ogłoszenie: wyznaczona została nagroda w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za wskazanie kryjówki zbrodniarza i oddanie w ręce policji zabójcy miss Jackson — Reginalda Huttlinga... Wyznaczono nagrodę na moją głowę. Musiałem się ukrywać. Simpkins wyszedł mnie i otrzymałby nagrodę, gdyby nie katastrofa naszego parowca... To wszystko — zakończył zmęczony Huttling.

Miss Kingman wysłuchała jego opowieści z napiętą uwagą.

— Więc kto zabił miss Jackson?

Huttling wzruszył ramionami.

— To jest dla mnie tajemnicą... Może jakiś przypadkowo spotkany rabuś... Ale ważne jest to, że nie mogę udowodnić, iż jestem niewinny... Wszystkie poszlaki są przeciwko mnie... I upragniony przez was wszystkich brzeg — jest dla was ratunkiem, a dla mnie zgubą. Kiedy stanę na lądzie, będę znów zbrodniarzem i... nasze drogi rozejdą się — dokończył cicho Huttling patrząc na Vivian.

Miss Kingman ze smutkiem pochyliła się nad nim i ucałowała w czoło.

— Wierzę panu! Dla mnie pan nigdy nie będzie zbrodniarzem.

— Dziękuję — powiedział Huttling i zamknął oczy.

III. Bez powietrza

Nazajutrz rano Huttling czuł się lepiej. Gorączka spadła. Poszedł do kabiny radiotelegrafu i nadał depeszę z sygnałem SOS podając koordynaty miejsca, w którym znajduje się łódź.

Żałoga podwodnego okrętu przeżywała ciężkie chwile. Światło elektryczne paliło się bardzo słabo. Coraz trudniej było oddychać. Kończył się zapas tlenu. Trzeba było za wszelką cenę wypłynąć na powierzchnię oceanu, lecz gęste gronosty trzymały mocno swą zdobycz...

Starzy Turnipowie leżeli na podłodze chwyając oddech szeroko otwartymi ustami. Młodszy członkowie załogi byli również bardzo osłabieni.

Można się było spodziewać, że lada chwila zgasną lampy wskutek braku prądu...

— Zostaje tylko jedna droga ratunku — rzekł Huttling — trzeba wyjść na zewnątrz przez luk dla torped i spróbować oczyścić drogę za pomocą noża. — Wziął nóż do ręki. — Spróbuję to zrobić...

— Panie Huttling, pan oszalał. Z tą ranną ręką...

— To jest niemożliwe! — rozległy się głosy. I wszyscy spojrzeli na siebie, jak gdyby usiłując znaleźć człowieka, który podejmie się tego ryzykownego przedsięwzięcia.

— Niech pan posłucha, panie Huttling — powiedział nieoczekiwanie Simpkins — uratował mi pan życie, jestem pańskim dłużnikiem. Ja podejmuję się wykonać to zadanie. Niech się pan nie sprzeciwia. Nie jest to ofiara z mojej strony. Ostatecznie, jeśli człowiek musi umrzeć, to czy nie wszystko jedno, gdzie? Niech panie się odwróci! — Simpkins rozebrał się

szybko i uzbroiwszy się w nóż, powiedział: — Jestem gotów! Jeżeli za dwadzieścia minut łódź nie wypłynie na powierzchnię, będzie to znaczyło, że nie żyję!

Szybko odkręcono wewnętrzną klapę luku, Simpkins wlaź do wąskiej rury, klapę zakręcono, a jednocześnie otworzył się automatycznie wylot rury...

Simpkins znikł. Rozpoczęły się dręczące minuty oczekiwania.

W tym czasie Simpkins jak niezwykła torpeda wynurzył się z łodzi i czepiając się gronostów, zaczął szybko operować nożem. Kiedy poczuł, że brak mu powietrza, wypłynął na powierzchnię, nabrał tchu i znów dał nura w zielonkawą głębinę morza. Praca szła bardzo wolno.

Okresy przebywania pod wodą stawały się coraz krótsze, coraz dłużej trzeba było odpoczywać na powierzchni.

W półmroku łodzi podwodnej ludzie dusili się i z wykrzywionymi, czerwonymi twarzami patrzyli w napięciu na wskazówki zegara.

Dziesięć... Piętnaście... Siedemnaście... Dziewiętnaście...

Dwadzieścia... Dwadzieścia pięć... Dwadzieścia sześć... Koniec...

Półowa załogi łodzi była na pół przytomna... W lampach żarzył się tylko czerwony płomyk jak gasnący węgielek. Słychać było jęki. Ludzie chwyтали się za piersi; jedni toczyli się po podłodze, włączając w kąty pod meble, inni włączili na stoły i krzesła i chciwymi, otwartymi ustami, jak ryby wyrzucone na brzeg, szukali odrobiny świeżego powietrza. Oczy wychodziły z orbit. Zimny pot pokrywał czoła. Lecz powietrze było wszędzie zepsute.

W tych ostatnich minutach rozpaczy ludziom wydało się, że łódź podniosła się lekko dziobem, znów przechyliła się w dół i zaczęła się powoli podnosić. Tak, to nie była halucynacja. Strzałka głębokościomierza mówiła to samo. Coraz wyżej i wyżej...

— Jesteśmy na powierzchni!

Drżącymi rękami Huttling i dwaj marynarze odkręcali pośpiesznie włącz do łodzi.

Nagle wszystkich oślepiło jaskrawe światło. Do łodzi napłynął strumień ożywczego powietrza morskiego.

Powietrze. Światło. Życie.

W radosnej krzątaninie ludzie wdrapywali się na górę, wyciągali starych Turnipów, rannego marynarza.

Huttling podbiegł do Simpkinsa, leżącego na skraju łodzi... Simpkins zemdlął z wysiłku, lecz wkrótce odzyskał przytomność.

I nagle nowy wybuch radości: na horyzoncie ukazał się, dymiąc z czarnych kominów, wielki parowiec amerykański. Płynął w ich stronę. Spostrzegł łódź. Dał sygnał.

Burzliwa radość zmieniała się w milczące wzruszenie. ...Im bardziej zbliżała się szara bryła parowca, tym szybciej rwały się więzy, które łączyły tych wszystkich ludzi w jedną całość. Rozpadła się ona na poszczególne jednostki, z których każda miała własne troski, własny los, własne drogi.

Im bliżej znajdował się parowiec, tym bardziej oddalali się od siebie.

Córka miliardera, brudni marynarze, stetryczały Turnip — co mogło ich łączyć? Simpkins i Huttling byli znów wrogami.

Huttling był spokojny, lecz smutny.

A Simpkins już przebrał się i gwizdał wesołą piosenkę.

Jeszcze kilka chwil oczekiwania — i wszyscy znaleźli się na parowcu.

IV. Ocalenie

Na ich spotkanie szedł kapitan statku. Pasażerowie otoczyli przybyłych zwartym kołem... Simpkins z zawodową miną detektywa jak cień snuł się za Huttlingiem...

Co miał robić? W porywie wspaniałomyślności i rozczulenia nad własnym bohaterstwem przyrzekł Huttlingowi przed wejściem na pokład parowca, że zachowa wszystko w tajemnicy, i zaproponował, by Huttling uciekł w najbliższym porcie, do którego statek przybije. Lecz Huttling, ten niepojęty człowiek, odpowiedział Simpkinsowi oschle i z goryczą: „Proszę robić swoje”, jak gdyby mu było wszystko jedno... Bądź co bądź dziesięć tysięcy dolarów nie leży na ulicy i Simpkins już zdążył szepnąć słówko kapitanowi.

Marynarze — wyspiarze, którzy zdziczeli i odzwyczajili się od ludzi, trzymali się na uboczu. Mister Turnip całym swym wyglądem pragnął udowodnić, że nie ma nic wspólnego z tymi brudasami, chociaż nie jest czystszy od nich. Udało mu się jakoś zachować dziurawy melonik, więc z miną franta nasunął go na czoło...

W trakcie rozmów, pytań i odpowiedzi, baczne oko detektywa spostrzegło jakąś fotografię w gazecie, którą trzymał jeden z pasażerów.

Simpkins poprosił o gazetę, szybko przeczytał notatkę i krzyknawszy coś nagle, zbliżył się do stojących obok siebie Huttlinga i miss Kingman, nieoczekiwanie wyciągnął z kieszeni ręczne kajdanki i z zawodową zręcznością włożył jedną bransoletą na rękę Huttlinga a drugą na rękę miss Kingman, skuwając ich razem.

Wszyscy byli zdumieni. A Simpkins rozwinął gazetę i przeczytał na głos:

TAJEMNICA ZABÓJSTWA DELLI JACKSON

W tych dniach nieoczekiwanie wykryta została tajemnica zabójstwa miss Delii Jackson, o które oskarżony był Reginald Huttling. W banku Larraughby ujawniono poważną kradzież dokonaną w kasie pancерnej. Ponieważ jeden z kluczy posiadał syn bankiera, który w ostatnich czasach prowadził rozpustny tryb życia, podejrzenie padło na niego i w jego mieszkaniu przeprowadzono rewizję. Skradzionych pieniędzy jednak nie znaleziono i udział syna bankiera w kradzieży nie został stwierdzony. Natomiast podczas rewizji wpadły w ręce organów śledczych dokumenty, które świadczą, iż Larraughby był zabójcą swej narzeczonej Delii Jackson. W szkatułce znaleziono list miss Jackson do Larraughby'ego. W tym liście miss Jackson kategorycznie zrywa z narzeczoną, ponieważ przy pomocy „prywatnego biura detektywów” dowiedziała się pewnych szczegółów o jego życiu osobistym. Larraughby był do tego stopnia nieostrożny, iż prowadził dziennik, w którym szczegółowo przedstawił dzieje swej zbrodni. Jak się okazuje, Larraughby otrzymał list miss Jackson w dniu, w którym dokonał zabójstwa. Larraughby wiedział, że ma rywala, Huttlinga, i śledził go od dłuższego czasu, korzystając z usług przekupionej pokojówki miss Jackson. Pokojówka zawiadomiła go o zamierzonym spotkaniu miss Jackson z Huttlingiem. Sądząc, że prawdziwą przyczyną odmowy miss Jackson jest jej miłość do Huttlinga, Larraughby w porywie zazdrości postanowił się zemścić. Przybył przed Huttlingiem na miejsce umówionego spotkania, zabił miss Jackson i nie spostrzeżony przez nikogo, uciekł.

Larraughby przyznał się do popełnionej zbrodni. Wskutek zbiegu okoliczności omal nie padł ofiarą pomyłki sądowej Reginald Huttling, który był niewinny. Niestety, Huttling zginął zapewne podczas katastrofy parowca „Benjamin Franklin”.

— Oto jest Huttling! — zawołał Simpkins po przeczytaniu notatki. — A ponieważ włożyłem tyle wysiłku w te poszukiwania i miałem z nim tyle kłopotów, postanowiłem ska-

zać go na dożywotnie pozbawienie wolności... wespół z miss Kingman, jeśli nie będzie miała zastrzeżeń.

Miss Kingman wyraźnie nie ujawniała sprzeciwu.

Pasażerowie powitali ten surowy wyrok hucznymi oklaskami.

CZEŚĆ CZWARTA

I. Ekspedycja naukowa

Pan Kingman — ojciec Vivian — ucieszył się ogromnie z powrotu córki. Stracił już nadzieję, że ją ujrzy, Vivian Kingman bowiem znajdowała się na liście zaginionych pasażerów parowca „Beniamin Franklin”. Do małżeństwa córki odniósł się życzliwie. Po zapoznaniu się z Huttlingiem zadał mu tylko jedno pytanie:

— Zawód?

— Inżynier — odpowiedział Huttling.

— Dobrze. Doskonale... — i po chwili namysłu Kingman dodał: — Zdaje się, że w Europie panuje pogląd, iż my, bogacze amerykańscy, marzymy dla naszych córek o mężach ze środowiska zbankrutowanych europejskich hrabiów. Tak nie jest. Głupcy istnieją wszędzie i amerykańscy głupcy chcą spokrewnić się z europejskimi, lecz ja wolę mieć za zięcia człowieka, który sam utorował sobie drogę w życiu. Poza tym jestem panu ogromnie zobowiązany. Pan uratował moją córkę! — i Kingman uściśnął mocno dłoń Huttlinga.

Pewnego razu, kiedy młodzi małżonkowie siedzieli nad mapą i układali plan podróży, jaką chcieli przedsięwziąć, rozległ się dzwonek telefonu i Reginald, podniósłszy słuchawkę, usłyszał znajomy głos Simpkinsa, który prosił o rozmowę „w ważnej sprawie”. Huttling przed udzieleniem odpowiedzi powiedział głośno:

— To pan, panie Simpkins? Dzień dobry! Pan chciałby się z nami zobaczyć? — i popatrzył pytająco na żonę.

— Dobrze, niech przyjdzie — odparła półgłosem Vivian.

— Oczekujemy pana — zakończył Reginald rozmowę z detektywem.

Simpkins robił wszystko bardzo prędko — „o sto dwadzieścia procent szybciej od stuprocentowych Amerykanów”, jak zwykł mówić.

Wkrótce rozległ się szum samochodu zajeżdżającego przed dom. Zjawił się Simpkins i jeszcze we drzwiach oznajmił:

— Nowina! Bardzo ważna nowina!

— Co się stało, panie Simpkins? — zapytał Huttling. — Czyżby okazało się, że jeszcze jeden z pańskich przestępców jest porządnym człowiekiem?

— Odkryłem tajemnicę zbrodni kapitana Fergus Slaytona!

— Jaka to tajemnica?

— Hm, na razie są to materiały śledztwa, których nie wolno mi ujawniać...

— Nie powiedział więc pan nic nowego, panie Simpkins. Jeszcze podczas pobytu na wyspie wiedzieliśmy, że Slayton ma ciemną przeszłość.

— Ale jaką! Przyszedłem do państwa z pewną propozycją, a może nawet poproszę o pomoc.

— Słuchamy.

— Muszę wyjaśnić tajemnicę Slaytona do końca. Co by państwo sądzili o projekcie odwiedzenia po raz drugi Wyspy Zaginionych Okrętów?

— Pan jest niepoprawny, panie Simpkins! — rzekł Huttling. — Świat pana interesuje o tyle, o ile można w nim napotkać przestępców.

— No cóż, może pan to uważać za sport. Ale dlaczego roześmieliście się państwo?

— Roześmieliśmy się dlatego — odparła Vivian — że ten właśnie projekt omawialiśmy przed pańskim przybyciem.

— Wyjazd na wyspę i wykrycie tajemnicy Slaytona? — zapytał zdziwiony i ucieszony Simpkins.

— Niezupełnie tak. Nas bardziej interesują tajemnice innego przestępcy.

— Innego? Czy ja go przypadkiem nie znam? — spytał zaciekawiony Simpkins. — Co to za przestępca?

— Morze Sargassowe — odpowiedziała z uśmiechem Vivian. — Czy mało zgubiło statków? Pragniemy odsłonić tajemnice tego zbrodniczego morza, by ostrzec przed nimi innych żeglarzy.

— Słowem, organizujemy ekspedycję naukową w celu zbadania Morza Sargassowego — dokończył Huttling.

— To tak się sprawa przedstawia! Mam nadzieję, że zabierzecie mnie państwo ze sobą, przy sposobności zajmę się moją sprawą...

— Oczywiście, panie Simpkins! Ale co panu da ta podróż? Przecież Slayton nie żyje...

Simpkins poruszył znacząco brwiami.

— Slayton nie jest mi potrzebny. Chodzi tu o sprawy dotyczące innych osób. Podczas pobytu na wyspie zdobyłem pewne dokumenty.

— Co pan powie!

— Simpkins nie traci czasu na próżno — rzekł zarozumiale detektyw. — Niestety, nie zdążyłem zabrać ze sobą wszystkich dokumentów. Jeśli znajdę resztę, wszystko się wyjaśni.

— Sprawy dotyczące innych osób? Zgoda. Niech pan jedzie z nami, panie Simpkins.

— Kiedy wyruszamy?

— Przypuszczam, że za miesiąc...

— Czy wybiera się z państwem jeszcze ktoś?

— Profesor Thompson — oceanograf, dwaj jego asystenci oraz załoga statku.

— A więc jedziemy. Państwo znają mój adres. — Simpkins pożegnał się i odszedł, a Huttlingowie zajęli się znów studiowaniem mapy.

— Popatrz — wskazał Reginald żonie — ta prosta linia, jakby narysowana przy pomocy linijki, to droga z Nowego Jorku do Genui. Tą drogą dotrzemy do trzysta dwudziestego stopnia długości wschodniej i skróćmy na południe — Huttling zrobił na mapie znak ołówkiem.

Od mapy oderwało ich przybycie nowego gościa. Do pokoju wszedł profesor Thompson, znany badacz mórz. Zachowanie się profesora Thompsona stanowiło prawdziwy kontrast z ruchliwością Simpkinsa. Uczony był niezwykle spokojny i powolny. Ten dobroduszny, skłonny do otyłości człowiek nie śpieszył się nigdy; toteż podziwu godne było to, ile zdążył zrobić w życiu.

Huttlingowie powitali go serdecznie.

— Studiujecie nasz szlak? — zapytał profesor i spojrzawszy mimochodem na mapę powiedział: — Sądzę, że będzie najlepiej, jeżeli od razu weźmiemy kurs bardziej na południe, na Bermudy, a stamtąd skierujemy się na północny wschód. Ale o tym pomówimy później. Otrzymałem dziś trzy skrzynie ze sprzętem do laboratorium chemicznego i fotograficznego. Akwarium jest już gotowe i zainstalowane. Jutro otrzymamy księgozbiór złożony z zamówionych przeze mnie książek. Nasze laboratorium biologiczne będzie gotowe za tydzień. A co słyhać u pana w dziale technicznym?

— Zostało mi jeszcze pracy na trzy tygodnie — odparł Huttling. — Za miesiąc możemy rzucić wyzwanie gronorostom.

Thompson skinął głową. Zrozumiał, co oznacza słowo „wyzwanie”. Huttlingowie kupili dla ekspedycji mały, nie nadający się już do celów wojskowych okręt „Napastnik”, który pod kierownictwem Huttlinga został przystosowany do celów pokojowych. Na miejscu dział ustawiono przyrządy do wyciągania czerparek. Oprócz laboratorium biologicznego urządzono kilkanaście magazynów do przechowywania zdobyczy naukowych. Huttling włożył dużo pracy w przystosowanie statku do żeglugi wśród gronorostów Morza Sargassowego. W części dziobowej statku wbudowano w stępkę nóż, który miał przecinać gronorosty. Dla ochrony śruby przed gronorostami osłonięto ją specjalnym ochroniaczem z siatki metalowej.

Urządzenie statku uzupełniała aparatura radiowa, dwa lekkie działa i karabiny maszynowe przygotowane na wypadek konfliktu z wyspiarzami.

Wszyscy uczestnicy ekspedycji pracowali z takim zapałem i poświęceniem, że statek był gotowy do podróży przed ustalonym terminem.

Wreszcie nadeszła godzina odjazdu. Uczestnicy wyprawy znajdowali się już na statku. Czekano tylko na Simpkinsa. Na nabrzeżu stał wielki tłum znajomych i zwykłych gapiów.

— Gdzie on się podziewa? — dziwił się Huttling spoglądając na zegarek. — Jest za dwadzieścia trzecia.

— Poczekamy trochę — rzekł profesor Thompson.

Trzecia... Pół do czwartej... Simpkinsa wciąż nie ma. Kapitan przynaglał do odjazdu. „Trzeba wydostać się przed zapadnięciem ciemności z pasa przybrzeżnego, w którym panuje duży ruch — mówił — tym bardziej że nadciąga mgła”.

O czwartej postanowiono odbić od brzegu. Syrena krzyknęła rozpaczliwie jak zraniony, fantastyczny, olbrzymi kot i... statek ruszył. Ludzie na brzegu wymachiwali kapeluszami i chustkami.

Nagle kilka osób stojących tuż na krawędzi nabrzeża odskoczyło w bok, a na ich miejscu ukazał się Simpkins, przemoczony, potargany, w kapeluszu zsuniętym na kark. Krzyczał przeraźliwie i wymachiwał rękami.

Kapitan „Napastnika” zaklął brzydko i wydał rozkaz nadania statkowi biegu wstecznego. A Simpkins już skoczył do kutra i płynął w stronę statku, wymachując bez przerwy rękami.

— Przepraszam tysiącrotnie! — wołał wchodząc po trapie. — Spieszyłem się potwornie... Nieprzewidziana zwłoka... — I Simpkins ukazał się na pokładzie.

— Co się panu stało? — zapytała ni to z lękiem, ni to ironicznie Vivian, oglądając Simpkinsa.

Detektyw miał spuchnięty nos i sińce na policzkach.

— Nic strasznego... mały boks ze starym znajomym, Zezowatym Jimem... Nieoczekiwane spotkanie! Uciekł, łotr! Udało mu się. Gdybym się nie pośpieszył... — I uspokajając siebie samego Simpkins dodał: — Nie szkodzi, nie ucieknie... To drobny zwierz... Zrobię sobie okład i wszystko minie.

Mgła zasłoniła ład. Statek płynął wolno. Od czasu do czasu rozlegał się głos syreny.

— Wilgotno jest, chodźmy na dół — rzekła Vivian i zeszła wraz z mężem do laboratorium biologicznego. Profesor Thompson i jego dwaj asystenci — Tamm i Müller — już zaczęli pracować.

Laboratorium mieściło się w dużym pokoju, miało wielkie kwadratowe okno w ścianie i dwa sześciokątne iluminatory w suficie. Pod lewą ścianą znajdowało się laboratorium fotograficzne, a pod prawą — chemiczne. Nad szerokimi stołami z szufladami jak w aptekach znajdowały się półki z książkami. Na ścianach w wolnych miejscach przymocowano różne ościenie, harpuny, półki i półeczki z buteleczkami i preparatami. Każdy centymetr przestrzeni był wykorzystany. Nawet u sufitu powieszono owalne puszki używane przez przyrodników i

wagę sprężynową. Na środku laboratorium stał ogromny stół. Znajdowały się na nim mikroskopy, przyrządy służące do wykonywania preparatów, wypychania zwierząt i robienia zielników: skalpele, nożyce, pincety, prasy. Kilka taboretów z obrotowymi siedzeniami umocowano w ten sposób, że można było je przesuwac wzdłuż stołu. Thompson chodził wolno po laboratorium, bez pośpiechu przestawiał słoje, mruczac coś pod nosem. Praca szła mu dobrze.

Wieczór minął w dość smętnym nastroju. W nocy huczenie syreny okrętowej nie pozwalało spać. Nad ranem wszystko ucichło i Vivian zasnęła mocnym, zdrowym snem.

Ranek był słoneczny, jasny. Poranną kawę pito na pokładzie pod płócienną osłoną. Ocean oddychał równo i rytmicznie ciemnoniebieskimi falami, świeże morskie powietrze działało orzeźwiająco. Vivian, zapomniawszy o nocnych lękach i wątpliwościach, powiedziała:

— Jak to dobrze, Reginaldzie, że wybraliśmy się w tę podróż.

— Jeszcze jak! — odpowiedział za Huttlinga Simpkins, który już zdjął opatrunki. — Będziemy mogli rozwiązać zagadkę Slaytona.

— I zagadki Morza Sargassowego — rzekł zamyślony profesor Thompson. — Panie Tamm, proszę przygotować czerparkę. Trzeba będzie zbadać dno.

Podczas gdy Tamm przygotowywał czerparkę do spuszczenia, Thompson ciągnął dalej:

— Morze jest wielopiętrowym budynkiem. Na każdym „piętrze” mieszkają inni lokatorzy, którzy nie wchodzą na górne i nie schodzą na dolne „piętra”.

— Tak się dzieje nie tylko w morzu — rzekł Simpkins. — I na lądzie mieszkaniac sutereny nie ma dostępu na pierwsze piętro...

— Chodzi o drobną różnicę — wtrącił się Müller do rozmowy — ludzie z sutereny mogliby mieszkać na pierwszym piętrze, ale dla mieszkańców morza byłoby to zgubne. Jeśli ryba głębokowodna przez nieostrożność wzniesie się ponad ustaloną granicę, pęknie, tak jak pęka kocioł parowy, gdy jego ściany nie wytrzymują ciśnienia wewnętrznego.

— Hm... a więc morscy lokatorzy pierwszego piętra mogą sobie spać spokojnie, bez obawy o napaść z dołu?

— Każde piętro ma swoich drapieźników.

Tamm spuścił dragę głębinową — prostokątną żelazną ramę z workiem z siatki. Do worka, jako balast, przymocowano kamienie.

— Na jaką głębokość spuszczamy? — zapytał Tamm rozwijając wraz z Müllerem linę.

— Sześćset metrów — odparł Thompson.

Kapitan wydał odpowiedni rozkaz.

— No, co też nam zesłał los?

Dwaj marynarze przyszli z pomocą asystentom profesora.

Ledwie draga ukazała się na powierzchni, gdy Tamm i Müller jednocześnie krzyknęli:

— Linofryna.

Wszyscy podbiegli, by obejrzeć morskiego potwora. Ryba składała się jak gdyby z ogromnej paszczy z wielkimi zębami, nie mniej potężnego worka-żołądka i ogona. Na podbródku potwora znajdowała się rozgałęziona przysadka (jak wyjaśnił Thompson, służąca za przynętę dla ryb), a na górnej szczęce coś w rodzaju trąby, grubszej w części środkowej.

— To jest narząd oświetlający, że tak powiem, własne oświetlenie elektryczne.

— Na co jest jej potrzebne oświetlenie? — zapytał Simipkins.

— Te ryby zamieszkują w takiej głębi, dokąd nie dociera promień słońca.

— Życ w wiecznym mroku — też mi przyjemność! Po jakiego licha wybrały sobie takie kiepskie mieszkanie!

— Zdziwi się pan jeszcze więcej, kiedy powiem, że każdy centymetr kwadratowy powierzchni tych ryb jest poddany ciśnieniu kilkuset kilogramów. Ale one nawet nie spostrzegają tego i, niech mi pan wierzy, czują się doskonale.

— Spójrzcie, spójrzcie, gronorosty! — zawołała nagle Vivian podbiegając do balustra-

dy.

Na modrej powierzchni oceanu widać było istotnie pojedyncze zaokrąglone krzaczki podobne do gron, zabarwione na kolor pomarańczowy i żółciooliwkowy.

Wszyscy ucieszyli się na widok gronorostów, jak gdyby spotkali starych znajomych.

Między 2 i 6 sierpnia statek znajdował się już w pobliżu Bermudów. 3 sierpnia płynęły jeszcze tylko pojedyncze krzaki gronorostów. Miały kształt owalny, lecz pod lekkim podmuchem wiatru południowego wyciągały się jak długie pasma. Huttling palił się do wypróbowania swoich urządzeń technicznych na gęstych gronorostach. Wreszcie 7 sierpnia ukazały się jednolite łąki tych roślin. Teraz już modra powierzchnia oceanu przebijała się tylko w postaci wysepek spośród oliwkowego dywanu.

— Oto ono — „zwarzone morze”, jak nazywali je starożytni Grecy — powiedział Thompson.

Podniecony Huttling obserwował, jak „Napastnik” daje sobie radę z gęszczem gronorostów. Ale niepotrzebnie się przejmował, statek prawie nie zwalniał biegu. Przecinał gronorosty, które rozstępowały się obnażając z obu stron statku długie, rozchodzące się modre wstęgi wody.

— Pańskie środki ostrożności były chyba niepotrzebne — rzekł profesor. — Gronorosty bynajmniej nie są tak niebezpieczne dla współczesnych statków. Sądzę, że twierdzenie, jakoby gronorosty były nie do przebycia, jest mocno przesadzone.

Thompson schwytał kilka gronorostów i zaczął je dokładnie oglądać. Vivian zrobiła to samo.

— Czy widzi pani białe łodygi? — wskazał Thompson. — Te już nie żyją. Gronorosty, uniesione przez wiatr i pochwycone przez prąd na Morzu Karaibskim, płyną na północ. Ich podróż od wybrzeży Florydy do Wysp Azorskich trwa pięć i pół miesiąca. W tym czasie nie tylko nie giną, lecz nawet zachowują zdolność owocowania. Niektóre dokonują podróży okrężnej, wracając do swej ojczyzny, na Morze Karaibskie, a potem odbywają następną podróż. Inne wpadają do środka tego koła i giną.

— A co to jest? To coś żywego! — zawołała zdumiona Vivian.

Thompson roześmiał się.

— To jest konik sargassowy, a to są rybki sargassowe, pterofryny — najciekawszy mieszkańcy Morza Sargassowego. Widzi pani, jak się przystosowały? Nie można ich odróżnić od gronorostów!

Istotnie, pterofryny zabarwione na kolor brunatny, z licznymi plamami, przypominały poszarpanym kształtem gronorosty Morza Sargassowego.

II. Nowy gubernator

Po ucieczce łodzi podwodnej wydarzenia na Wyspie Zaginionych Okrętów potoczyły się zwykłym trybem. Kiedy Slayton trafiony kulą upadł, Flores stał chwilę w milczeniu nad leżącym, pokrwawionym gubernatorem, potem szarpnął nagle za rękę Maggie pochyloną nad Slaytonem i rzucił rozkazująco:

— Odejdź!

Maggie odeszła z płaczem, tuląc dziecko do piersi.

Flores ze złym błyskiem w oczach schylił się nad kapitanem.

Slayton był jego rywalem w sprawach sercowych i kariery osobistej. Flores miał z nim stare porachunki. Nasyciwszy się widokiem leżącego, konającego wroga podniósł go nagle i zepchnął do wody.

— Tak będzie najlepiej — powiedział i zwracając się do wyspiarzy zawołał: — Hej, wy! Kapitan Fergus Slayton nie żyje, pochowałem przed chwilą jego zwłoki! Wyspa Zaginionych Okrętów musi obrać nowego gubernatora. Stawiam moją kandydaturę. Kto jest przeciw?

Mieszkańcy wyspy milczeli ponuro.

— Wniosek został przyjęty. Zabierzcie rannych i karabiny. Idziemy!

I poszedł do swojej nowej rezydencji, ciesząc się, że wszystko zostało załatwione tak szybko. Jednak jego zadowolenie nie było całkowite. Jakaś przykra, niepokojąca, niejasna jeszcze myśl dokuczała mu jak lekki ból zębów, który lada chwila może zmienić się w ostry ból. Flores szedł przez dobrze znane „ulice”, mostki przerzucone nad statkami i zgniłymi pokładami, wspinał się na „góry” wielkich statków sterczących wysoko na wodzie, schodził w „doliny” płaskodennych barek, a niespokojna, niejasna myśl kołatała się w mózgu...

Kiedy na chwilę zatrzymał się przed kolejnym mostkiem, usłyszał rozmowę Irlandczyka O'Hary i starca Bocco, którzy szli za nim.

— Jak psa, do wody... — mówił Bocco.

— Spiesz mu się! — odparł O'Hara.

Głosy umilkły.

„Więc o to chodzi — pomyślał Flores włączając na burtę starej fregaty. — Niezadowolone!” — I Flores przypomniał sobie ponure milczenie, które zapanowało w chwili, kiedy zagarnął władzę.

Flores nie omylił się. Nawet na prymitywnych, zdziczałych wyspiarzach wywarł przykre wrażenie zbyt uproszczony sposób pochowania Slaytona.

Flores nie był głupi. Zbliżając się do rezydencji gubernatora na fregacie „Elżbieta” już miał ułożony plan działania.

W dużej, doskonale urządzonej kajucie — dawnym gabinecie kapitana Slaytona — Flores rozsiadł się w głębokim skórzanym fotelu, przybierając wyniosłą i dumną minę. Następnie głośno klasnął trzy razy w dłonie, tak jak Slayton, a nawet jeszcze lepiej — wyraźniej i głośniej.

Na progu zjawił się Murzyn.

Flores przyjrzał mu się bacznie, ale nie mógł nic odczytać na czarnej twarzy.

— Bobie — rzekł Flores — gdzie Slayton miał swoją garderobę? Zaprowadźcie mnie i pokażcie.

Bob nie okazał zdziwienia widząc Floresa na miejscu Slaytona, zdumiała go natomiast uprzejmość nowego gubernatora, do którego poufałości był od dawna przyzwyczajony.

Lecz Flores miał w tym swoje wyrachowanie: chciał pokazać różnicę wynikającą ze zmiany sytuacji. I nie pomylił się. Bob jakoś skurczył się i drepcąc pośpiesznie ku wyjściu, odparł z szacunkiem i uprzejmie:

— Służę panu.

Weszli do dużej ciemnej kajuty przekształconej na garderobę. Dwie ściany były całkowicie zastawione szafami. Prawie połowę kajuty zajmowały wielkie rzeźbione skrzynie z czarnego drzewa dębowego, okute pozieleniałą miedzią i srebrem.

Murzyn otworzył rozsuwane drzwi szaf. Wisiały w nich uporządkowane stroje różnych epok, zawodów, narodowości — jak w garderobie dużej opery.

— Oto odzież cywilna — wyjaśnił Murzyn, wyjmując zalatujące wilgocią staroświeckie surduty z wysokimi kołnierzami, szerokimi klapami, kolorowe i jedwabne kamizele.

Flores pokręcił przecząco głową.

W następnej szafie znajdowały się bardziej współczesne stroje: smokingi, surduty, a nawet fraki.

— Nie to, nie to.

Flores zatrzymał się nieco dłużej przed szafą zawierającą mundury marynarskie. Pomaćcał tużurek z doskonałego sukna angielskiego — mundur kapitański, lecz po chwili namysłu

zamknął również tę szafę.

— Nie to, Bobie. Czy to już wszystko?

— Jest jeszcze tutaj — odparł Murzyn pokazując skrzynie.

— Proszę je otworzyć.

Bob z dużym wysiłkiem podniósł ciężkie wieko. Flores zdziwił się, nie czując woni wilgoci i rozkładu. Wieka były tak szczelne, że w skrzyniach było zupełnie sucho.

Kiedy Murzyn podniósł biały kawałek płótna, którym były przykryte ubrania, Flores mimo woli krzyknął. Oczy mu zapłonęły. W kufrze leżały drogocenne kostiumy hiszpańskie, ich krój wskazywał, że liczą co najmniej dwieście lat.

Aksamitne kamizele — malinowe, błękitne, czerwone — były haftowane złotem i ozdobione perłami. Mankiety i kryzy z najcieńszych koronek, sznury „bisette” *, „blonde” ** barwy nie bielonego płótna — wszystko to zdumiewało przepychem i subtelnością wykonania. Stroje kobiece były jeszcze piękniejsze. Długie suknie z rękawami sięgającymi ziemi, wycinane na skraju w ząbki, suknie z jaskrawych jedwabów, brokatów i aksamitów aż uginają się pod ciężarem szmaragdów, rubinów i pereł...

„Jakie to bogactwo! — pomyślał Flores. — A my żywimy się tylko rybami”.

Wybrał kilka najpiękniejszych strojów.

— Proszę je zanieść do mojego gabinetu. A pończochy i obuwie?

— Mamy tego mnóstwo. — I Bob, uginając się pod ciężarem, zaniósł wybrane stroje do kajuty Floresa.

Kiedy Flores został sam, przebrał się w ciemnowiśniową kamizelę szamerowaną złotem.

W lustrze nie poznał samego siebie. Zmienił się nie tylko zewnętrznie, ale w pewnym stopniu wewnętrznie. Skąd wzięła się ta surowa powaga, wytworne ruchy, pewne siebie spojrzenie?

Klasnął w dłonie i rzekł do Murzyna, który wlepił w niego zdumione oczy:

— Poproście tu mistress Maggie!

Murzyn pośpieszył wykonać rozkaz nowego gubernatora.

Flores nie przypuszczał nawet, jakie wrażenie wyrzuci na swej żonie. Maggie przeleżała się nie na żarty, gdy ujrzała przed sobą hiszpańskiego granda w stroju lśniącem srebrem i perłami. Nie poznała nawet śmiechu Floresa.

— Oto twój strój, przebierz się szybko — rzekł Flores podając żonie błękitną suknię.

Maggie, ubrana bardziej niż skromnie, w lekką bluzkę i krótką, połataną spódniczkę, dotknęła nieśmiało wspianiałej sukni i stanęła niezdecydowana.

— Na co czekasz?

— Ja... ja nawet nie wiem, jak to się wszystko wkłada.

Prawdę mówiąc, Flores znał się tyle co i ona na tych skomplikowanych strojach i nie był w stanie pomóc Maggie. Lecz wrodzony instynkt kobiety pomógł jej w znalezieniu właściwego zastosowania każdej części stroju. Kiedy Flores poprawiał końce szarfy i przymierzał przed lustrem szpadę ze złotą rękojęścią, Maggie była już ubrana.

Spoglądali na siebie ze zdumieniem, nie wierzyli własnym oczom, byli sobą zachwyce- ni.

Istotnie stanowili piękną parę. Smagły, opalony Flores wyglądał w nowym stroju niezwykle efektownie.

„Tam do licha! Przecież Maggie jest piękna! Gdzie ja miałem oczy?” — pomyślał.

— Teraz można rozpocząć uroczystą audiencję — rzekł na głos i kazał Murzynowi wezwać wszystkich mieszkańców wyspy.

To było również nowością w życiu wyspy. Slayton bowiem nie wpuszczał nikogo do

* Koronka niciana.

** Cienka koronka z surowego jedwabiu.

swojego gabinetu.

Gdyby mieszkańcy innej planety przybyli nagle na Wyspę Zaginionych Okrętów, nie wywołałoby to większego wrażenia niż to zaproszenie nowego gubernatora. Nawet historyk Lüders rozdziawił usta ze zdumienia.

Kiedy wszyscy się zebrali, Flores przemówił w następujący sposób:

— Obywatele! Wyspiarze! Przyjaciele! Nie powodowała mną pycha, gdy wkładałem ten strój, lecz chęć podniesienia splendoru sławnej Wyspy Zaginionych Okrętów... Podniesiemy ten splendor jeszcze wyżej. Do wykonania moich zamierzeń potrzebni mi będą pomocnicy. Pan, panie O'Hara — i Flores spojrzął badawczo na Irlandczyka — otrzymuje nominację na mojego sekretarza osobistego. Podczas zebrań i uroczystości będzie pan występował w tej kamizeli; od dziś jest do pana dyspozycji. — I Flores pokazał piękny ciemnobłękitny strój.

O'Hara zaczerwienił się mocno, a Flores zadowolony stwierdził, że to bardzo pochlebilo Irlandczykowi.

„O jednego rywala mniej” — pomyślał nowy gubernator.

— Pan Bocco zostaje mianowany... — Flores potarł czoło — również moim sekretarzem. Oto pana strój dworski.

Bocco ukłonił się z szacunkiem.

„O drugiego rywala mniej — stwierdził Flores. — Kto jeszcze pozostał? Lüders? On nie jest niebezpieczny, jednak na wszelki wypadek...”

— A pan, panie Lüders, pana jako człowieka nauki mianuję... hm... doradcą do spraw kolonii. Do pańskiego tytułu odpowiednia będzie kamizela z czarnego aksamitu wyszywana srebrem.

Rzecz zdumiewająca! Nawet Lüders, który dotychczas mniej od innych zwracał uwagę na swą odzież i chodził w szmatach, był widocznie również mile pochlebiony. Ale nominacja zdziwiła go bardzo.

— Dziękuję za zaszczyt, ale co my mamy wspólnego z koloniami, kiedy jesteśmy odcięci od całego świata?

— Tak, lecz możemy rozszerzyć nasze posiadłości i wówczas będziemy mieli kolonie.

Wyspiarze porozumieli się wzrokiem. Czy przypadkiem złota kamizela nie pozbawiła rozumu ich nowego gubernatora?

Lecz Flores był spokojny i pewien siebie.

— Wiecie — ciągnął dalej — że obok naszej wyspy, w odległości najwyżej dwóch kilometrów, znajduje się mała wysepka zatopionych okrętów. Wysepka znajduje się bardzo blisko, lecz dotychczas nie byliśmy na niej, chroniły ją sargassy. Obecnie zorganizujemy wyprawę i przyłączymy wysepkę do naszych posiadłości.

Pomysł Floresa spodobał się wszystkim i wyspiarze głośno wyrazili swe uznanie.

— Jeszcze jedna rzecz. Nie powinniśmy pościć i skąpić sobie, skoro jesteśmy tak bogaci. Wszyscy mieszkańcy wyspy otrzymają nowe stroje, na dzień powszedni i od święta. Rozdam również wszystkim naboże, będziemy polowali na ptaki; sądzę, że ryby przejadły się każdemu. Żeby nam ptactwo lepiej smakowało, upieczemy chleba i wypijemy beczkę dobrego hiszpańskiego wina.

— Hura! Niech żyje gubernator Flores! — zawołali zachwyceni wyspiarze, a najgłośniej — O'Hara i Bocco.

Kiedy Flores i Maggie pozostali sami, Maggie popatrzyła na męża zakochanymi oczami i powiedziała:

— Wiesz, nie przypuszczałam nawet, że...

— Że co?

— Że będziesz umiał tak...

— Dobrze rządzić? — I zawsze posępny odludek Flores roześmiał się serdecznie.

III. Palacz opium

Lekka niebieska mgła zasnuła Wyspę Zaginionych Okrętów. Wśród mgły majaczyły jak upiory połamane maszty i żelazne kominy parowców.

Staruszek Bocco i Chińczyk Hao-Szen siedzieli na pokładzie starej brygantyny. Chińczyk, podwinawszy pod siebie nogi i złożony dłoń na kolanach, siedział bez ruchu jak posązek i wpatrywał się w wysoki maszt.

Bocco naprawiał sieć i z nudów wypytywał Chińczyka o jego ojczyznę i bliskich. Wreszcie zapytał Chińczyka, czy był żonaty.

Przez twarz Chińczyka przesunął się jakby cień.

— Nie, nie byłem żonaty — odpowiedział i dodał nieco ciszej: — Miałem narzeczoną, dobra była z niej dziewczyna.

— No i dlaczego nie ożeniłeś się?

— Nie wolno nam było — nosiliśmy to samo nazwisko...

— Krewna?

— Nie. Po prostu to samo nazwisko. Tak nakazuje prawo.

Bocco nieostrożnym pytaniem obudził w duszy Chińczyka jakieś dalekie wspomnienia. Chińczyk poruszył się i wstał z miejsca.

— Pójdę sobie — powiedział.

— Dokąd cię ciągnie? Pójdiesz znowu palić swój narkotyk? Siedź tutaj.

Lecz Chińczyk niepewnym, chwiejnym krokiem ruszył przez mostki na oddaloną barcę. Bocco pokiwał głową.

— Chłopak zginie marnie. Jak on już teraz wygląda!

Bocco nie mylił się. Hao-Szen poszedł palić opium. Chińczyk znalazł kiedyś na jakimś starym statku zapas tego jadowitego narkotyku i od tego czasu zaczął namiętnie palić opium. Twarz mu pobladła, poólkła jak słoma, oczy zapadły się głęboko, były znużone, straciły wyraz, ręce zaczęły mu drżeć. Kiedy dowiedziano się o jego nałogu, zabroniono mu kategorycznie palić w obawie przed pożarem. Kapitan Slayton w swoim czasie nakładał na Hao-Szena surowe kary, zamykał go w ładowni, morzył głodem, żądając, by Chińczyk oddał zapas opium, lecz nie potrafił złamać jego oporu. Raczej można go było zabić, niż zmusić do oddania opium. Hao-Szen dobrze ukrył narkotyk i kiedy kontrola nieco słabła, znów palił.

Hao-Szen przyszedł na starą barcę, stojącą ukośnie, prawie pod kątem 45 stopni. Za tą osłoną, ukrywającą go przed oczami wyspiarzy, urządził sobie palarnię tuż nad wodą.

Drżącymi z podniecenia rękami przygotował wszystko niezbędne do palenia i chciwie zaciągnął się słodkawym dymem.

Stopniowo mgła zaczęła przybierać złocisty odcień. Kłęby złotych obłoków zwijały się w długą wstęgę i oto wstęga przekształca się w rzekę, wielką, błękitną rzekę. Żółte pola, żółte skały, domek wydrążony w skale z trzepoczącym na wietrze papierowym smokiem przy wejściu. Ojciec hebluje deski przed domem, chińskim zwyczajem do siebie, a nie od siebie. Po rzece płynie rybak, stojąc na rufie i obracając wiosłem. Wszystko jest takie bliskie, znane, drogie! Nad rzeką kwitną irysy, piękne liliowe irysy.

Kiedy odurzenie minęło, była już noc. Mgła rozplynęła się. Tylko pojedyncze strzępy jak widma płynęły szybko na północ. Było cicho. Rzadko rozlegał się plusk ryby. Zza horyzontu podnosił się czerwony księżyc. Księżyc nie odbijał się w wodzie. Gronorosty jak matowe szkło lśniły słabym odblaskiem. Tylko gdzieniegdzie, w małych „przerębłach” — w miejscach wolnych od gronorostów — woda zapalała się księżycowym światłem.

Niedaleko od wyspy, po gronorostach przesuwiała się sylwetka, rysująca się wyraźnie na tle wschodzącego księżyca. Chińczyk przetaił oczy i zaczął przypatrywać się. Jakaś znana po-

stać. Oczywiście, przecież to jest zmarły kapitan Slayton. Nie ma tylko na sobie tużurka. Ale przecież zmarli nie odczuwają nocnego chłodu. Dlaczego włączy się tutaj? Czego mu potrzeba? Chińczyk zaczął szczerkać zębami.

Rankiem Hao-Szen szeptał na ucho swemu przyjacielowi Bocco:

— Kapitan chodziła. Slayton chodziła w nocy po wodzie. Sam widziałem. Źle pochowaliście nieboszczyka. Bardzo niedobrze jest tak pochować człowieka. To teraz chodzi. Stanie się coś złego! Źle będzie, m-m-m...

Bocco kiwał głową, patrzył z litością na Chińczyka i myślał: „Przepadł, biedaczysko, zupełnie zwariował przez to przekłete zielsko”.

Po kilku dniach powtórzyła się ta sama rozmowa. Chińczyk znów widział martwego kapitana spacerującego po morzu. Bocco nie wytrzymał.

— Obrzydłeś mi z twoim nieboszczykiem! Wiesz co, będę z tobą razem dyżurować tej nocy. I uprzedzam cię, jeżeli ty zobaczysz, a ja nie zobaczę — będziecie musieli jak dwa nieboszczyki spacerować razem po morzu! Wrzucę cię do wody, zobaczysz!

Noc była ciemna. Niebo zawlokły gęste chmury. Kropił deszcz, Bocco kłął okrywając się połatanym płaszczem.

Koło pierwszej w nocy Bocco spostrzegł w ciemnościach cień człowieka. Było tak bardzo ciemno, że nie mógł poznać sylwetki. Lecz coś podobnego do człowieka istotnie szło po wodzie i znikło w mroku.

Bocco poczuł, że mu drętwieją ręce.

— Widzisz? — szepnął Chińczyk chwytając go za ramię roztrzęsioną dłonią.

— Ciszej!

Przerażeni przesiedzieli aż do rana.

Kiedy wzeszło słońce, Bocco westchnął z ulgą. Wkrótce wieść o widmie kapitana Slaytona obiegła całą wyspę i dotarła do Floresa. Flores nie wierzył w duchy, lecz wiadomość o wędrującym upiorze Slaytona podziałała na niego jak przecucie grożącego niebezpieczeństwa.

„Dlaczego oni widzieli właśnie Slaytona? A może go żałują? Może mają mi za złe, że wrzuciłem Slaytona do morza zamiast spróbować pomóc mu? A przecież Slayton był na wpół martwy. Albo... e... głupstwa! Po prostu ludzie szaleją z nudów. Trzeba jak najprędzej dać im jakąś rozrywkę” — myślał Flores.

Wieczorem potajemnie zawezwał Bocca i prosił, by zaprowadził go na miejsce, w którym widzieli widmo. Lecz widmo nie zjawilo się ani tej, ani następnej nocy. Flores odzyskał humor.

— No, widzicie! Przecież mówiłem, że to jest złudzenie. Szkoda czasu na takie głupstwa! Proszę przyjść do mnie jutro na naradę. Musimy ułożyć plan ekspedycji. Nie zapomnijcie ubrać się w oficjalne mundury — jakoś dawno nie wkładaliście ich.

— Oszczędzam — odpowiedział Bocco dobrodusznie. — Takie bogactwo!

— Starczy nam do końca życia, Bocco!

IV. Wyspa, która znikła

Już pod wieczór „Napastnik” znalazł się w strefie wolnej od sargassów. A kiedy rankiem następnego dnia państwo Huttlingowie wyszli na pokład, ujrzeli, że dokoła statku rozpostarła się błękitna gładzista oceanu, na której powierzchni widać było gdzieś tam niewielkie plamy sargassów.

— To dziwne, czyżbyśmy tak bardzo zboczyli na południe? — zapytał Huttling profe-

sora Thompsona oglądającego jakąś małą rybkę, która wpadła w sieć.

— Płyniemy na samym skraju ciepłego prądu w miejscu, w którym on walczy z zimnym. Te zimne prądy właśnie odsunęły w bok część gronorostów. Jutro skręcimy na północ, w samą gęstwinię sargassów.

— Jaka dziwna ryba! — zawołała Vivian. — Popatrz, Regie.

Głowa ryby posiadała szeroką, niewielką tarczę owalnego kształtu, złożoną z płytek przypominających dachówki; dolna część ryby była ciemniejsza od górnej.

Thompson wpuścił ją ostrożnie do dużej miski z wodą. Przewróciła się natychmiast na grzbiet i przywarła tarczą do dna miski.

— Niech pan spróbuje podnieść ją — zaproponował Thompson.

Huttlings wziął rybę za ogon i usiłował ją podnieść, lecz na próżno: ryba jak gdyby przyrosła do dna miski. Thompson roześmiał się.

— Widzi pan, jaka to jest dziwna ryba! To remora czyli podnawka. W starożytności krążyły o niej całe legendy, jakoby przylepiwszy się do podwodnej części statku mogła go rzekomo zatrzymać. Proszę popatrzeć. — I Thompson z wysiłkiem oderwał podnawkę od dna miski.

— Panie profesorze, na morzu widać całą gromadę żółwi — zameldował asystent Thompsona, Müller. — Czy pozwoli mi pan zapolować na nie przy pomocy tej małej rybki? Widziałem, jak to robią tubylcy w Afryce.

Thompson wyraził zgodę, a Müller umieścił na ogonie podnawki kółko połączone z mocną linką i wrzucił rybę do wody. W przezroczystej wodzie widać było wszystkie jej ruchy. Po kilku bezowocnych próbach uwolnienia się z więzi, podnawka podpłynęła do dużego żółwia, który spokojnie spał sobie na powierzchni oceanu. Podnawka przysała się do tarczy brzusznej żółwia. Müller pociągnął linkę. Żółw zaczął rzucać się na wszystkie strony, lecz w żaden sposób nie mógł pozbyć się podnawki i wraz z nią znalazł się po minucie na pokładzie statku.

— Brawo! — zawołała Vivian klaszcząc w dłonie.

Na pokładzie zjawił się Simpkins. Dopiero co wstał i mrużył oczy przed słońcem. Pykając fajeczkę popatrzył obojętnie na żółwia i wycedził:

— Zupa żółwiowa to całkiem niezła rzecz. A co to za pijawka?

— To nie pijawka, tylko podnawka. A żółw, panie Simpkins, nie pójdzie do kuchni na zupę, lecz zasili nasze zbiory.

— Spójrzcie, jakie one są śliczne! — zawołała znów Vivian, wskazując na morze.

Nad falami latały ryby. Całymi gromadami wyskakiwały z wody i przelatywały w powietrzu po kilkadziesiąt metrów, używając do lotu przednich płetw przekształconych jak gdyby w skrzydła.

Pasażerowie statku zapatrzili się na to widowisko.

— Dactylopterus, „latające ryby” — wyjaśnił profesor Thompson.

— Czy wszystkie ptaki pochodzą również z oceanu? — spytała Vivian.

— Ocean jest kolebką życia organicznego na ziemi. Widzi pani teraz latające ryby, lecz istnieją również takie, które chodzą po lądzie i nawet włączają na korzenie drzew. Są to przodkowie zwierząt ziemnowodnych i ptaków.

— Wszystko to jest bardzo ciekawe — odezwał się Simpkins obojętnym tonem — ale wydaje mi się, że wybraliśmy się nie tylko na poszukiwanie żółwi i podnawek, lecz również na Wyspę Zaginionych Okrętów. A tymczasem skręcamy coraz bardziej na południe i już opuściliśmy strefę sargassów. Wkrótce nastąpi okres deszczowy — i tak już dość często pada — więc kiedy zajmiemy się wyspą?

— Cierpliwości, Simpkins. Dziś zbaczamy na północ i z każdą godziną będzie pan bliżej swego celu.

Simpkins wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ech, ci panowie uczeni!”

— i wsunąwszy ręce do kieszeni zaczął wpatrywać się w morze, spluwając za pokład.

— A tu mamy rekina! — zawołał z ożywieniem. Widocznie również na morzu interesowały go wyłącznie elementy przestępcze. — Oho, jaki wielki! Ale dlaczego jest biały?

— Tak, to ciekawy okaz — rzekł Thompson — typowy przedstawiciel Morza Sargasowego. Gronorosty nie przepuszczają światła słonecznego i tutejsze rekiny nie „opalają się” tak jak ich bracia, mieszkający na otwartych miejscach; skóra tutejszych rekinów pozbawiona została barwnika.

Rekin płynął obok statku. Miał Szybkie, energiczne i piękne ruchy.

Marynarze przygotowali już sznur i smarowali tłuszczem żelazny hak.

— Dlaczego rekin nie pożera tych małych rybek, które się kręcą koło niego? — spytała Vivian.

— Jest tam wśród nich ryba-pilot, nierozłączny towarzysz rekina.

Tymczasem zrzucano hak z przynętą. Pierwsza zauważyła ją ryba-pilot. Obwąchała przynętę i szybko popłynęła do rekina, usiłując zwrócić jego uwagę na zdobycz.

— Patrzcie ją, jaka prowokatorka! — przetłumaczył Simpkins całe wydarzenie na język praktyki kryminalnej.

Rekin odwrócił się, spostrzegł zdobycz i połknął chciwie hak.

— Niech to licho, przecież to była prawdziwa prowokacja ze strony ryby-pilota! — zawołał Simpkins.

Rekin szarpnął się i tak mocno pociągnął sznur, że dwaj marynarze upadli na pokład i statek przechylił się lekko. Rozpoczęła się walka. Marynarze to dawali luz, to znów skracali sznur, ciągnąc opadającego z sił drapieżcę. Upłynęła prawie godzina, zanim został wciągnięty na pokład. Zmęczony walką leżał jak martwy.

— Aha, wpadłeś ptaszku! — powiedział z triumfem Simpkins zbliżając się do niego.

— Założyłbym się — powiedział Huttling — że pan żałuje, iż rekin nie ma rąk.

— Dlaczego?

— Bo włożyłby pan na nie kajdanki.

— Jeszcze jedna podnawka! — zawołała zdumiona Vivian, ujrawszy rybę, która przysała się do brzucha rekina.

— Normalna rzecz — odparł Thompson. — One tak często robią i mają z tego potrójną korzyść: że tak powiem, bezpłatny przejazd, ochronę przed innymi drapieżcami, jaką daje rekin groźny dla wszystkich mieszkańców morza, i jakieś okruchy z obfitego stołu żarłocznych rekinów.

— Słowem, wszędzie jest to samo — zauważył Simpkins — koło dużych przestępców zawsze kręcą się złodziejaszki wykonujące drobne polecenia.

— Jeszcze trochę czasu, panie Simpkins, a napisze pan rozprawę naukową: „Świat przestępczy mieszkańców morza” — rzekł Huttling z uśmiechem.

Simpkins zbliżył się do rekina i nagle chwyciwszy podnawkę zaczął ją ciągnąć.

— Zobaczmy, czy się utrzymasz?

Rybka jakby przyrosła do brzucha rekina. Wówczas Simpkins szarpnął ją mocno. Rekin nieoczekiwanie zadrżał wielkim ciałem i uderzył Simpkinsa ogonem z taką siłą, że Simpkins wywinął w powietrzu koziołka, przeleciał przez burtę i wpadł do morza.

Profesor Thompson przerażony krzyknął do marynarzy:

— Natychmiast rzućcie mu linkę!

Huttlinga zdziwił ten niepokój i pośpiech uczonego. Simpkins był nieprzeciętnym pływakiem, a kąpiel w ciepłej, prawie gorącej wodzie nie groziła przeziębieniem.

Lecz Thompson obawiał się czegoś innego. Wiedział, że rekiny najczęściej pływają stadami. Tam gdzie ukazał się jeden, mogą się za chwilę znaleźć inne.

Jego obawy były całkowicie uzasadnione. Nie wiadomo skąd, ukazały się nagle liczne rekiny. Zbliżały się szybko do Simpkinsa, który jeszcze ich nie widział. W tym czasie statek

oddalił się od niego o kilka metrów.

— Prędeż, Simpkins, prędeż! — wołano z pokładu.

Kapitan kazał zatrzymać maszyny, a marynarze nie czekając na dalsze rozkazy, w gorączkowym pośpiechu spuścili szalupę na wodę.

— Czego się denerwujecie? Przecież ja pływam jak worek! — zawołał Simpkins, który nie zdawał sobie jeszcze sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Lecz widząc spojrzenia skierowane gdzieś poza niego, na morze, rozejrzał się dokoła, ścierpł ze strachu i zaczął rozpaczliwie pracować rękami i nogami. Ale przemoczona odzież krępowała bardzo swobodę ruchów.

Kiedy szalupa z trzema marynarzami podpłynęła do Simpkinsa, rekiny znajdowały się tuż obok detektywa. Jeden dał nurka pod Simpkinsa, przewrócił się na grzbiet i rozwarł szeroką paszczę wypełnioną kilkoma rzędami zębów, lecz jeden z marynarzy wsadził w nią wiosło, które rozleciało się na kawałki. I to uratowało Simpkinsa. Inny marynarz pomógł mu wleźć do szalupy.

Rozwścieczone drapieżniki, widząc, że zdobycz wysliznęła się im, zaatakowały szalupę, próbując ją przewrócić. Niewiele już do tego brakowało. Szalupa kręciła się, przechylała, nabierając wody. Marynarz bronił się kawałkiem wiosła, dwaj inni wiosłowali zaciekle. Wreszcie z wielkim trudem przybili do burty i weszli na pokład „Napastnika”.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Simpkins ciężko dyszał. Spływała z niego woda tworząc kałuże na pokładzie.

— Dziękuję panom — odezwał się w końcu. — Pójdę się przebrać. — I omijając z daleka rekina, leżącego na pokładzie, człapiąc mokrymi butami zszedł do kajuty.

Kolekcja naukowa Thompsona wzrastała szybko. Iglicznie i koniki morskie, rybki sargassowe, latające ryby, jeżówki, rogacze, kraby, krewetki, mięczaki, zgrabne hydrofily, kładokoryny i sprzągle w postaci preparatów w słojach ze spirytusem zapełniały laboratorium i sąsiednie kajuty.

„Napastnik” zawrócił na północ i popłynął przez gęsty dywan z gronorostów.

Nie bacząc na częste deszcze Thompson niezmiernie zajęty był badaniem Morza Sargassowego. Huttling pomagał mu w pracy i w ten sposób czas mijał niepostrzeżenie. Wieczorami, po obiedzie siadali w wygodnie urządzonej kajucie i słuchali ciekawych opowieści Thompsona o mieszkańcach morza — dziwnym, niezwykłym świecie, tak niepodobnym do znanego im świata nadwodnego.

Tylko jeden Simpkins nudził się i był nieszczęśliwy. Jego organizm przywykł do stałego ruchu. Nerwowe podniecenie towarzyszące ryzykownym akcjom potrzebne mu było jak narkotyk. A w tych spokojnych warunkach czuł się chory. Ziewał, włóczył się po statku i przeszkadzał wszystkim — od kapitana do palacza; wciąż gderał, palił fajkę i wzgardliwie spluwał w morze.

Nastały pochmurne, szare dni. Czasami mgła spowijała wszystko białą zasłoną. W tej części oceanu nie groziło niebezpieczeństwo zderzenia z innym statkiem i dlatego „Napastnik” płynął nie zatrzymując się; czasami tylko, na wszelki wypadek, wyła syrena i jej głos rozlegający się wśród wielkiej ciszy wywoływał dreszcz w podróżnikach.

— Gdzie ta wyspa przepadła! — zrzędził Simpkins.

Istotnie, wydawało się, że Wyspa Zaginionych Okrętów została zmyta z powierzchni oceanu. Według wszelkich obliczeń powinna była znajdować się w tych okolicach.

„Napastnik” kręcił się w samym środku Morza Sargassowego, zmieniając kierunek, lecz wyspy nie było widać.

Mijał dzień za dniem, a dokoła było wciąż to samo szare niebo, brunatna powierzchnia sargassów, nieprzenikniona dal we mgle.

Już nie tylko Simpkins, lecz nawet Huttlingowie zaczęli się niepokoić, czy uda im się odnaleźć wyspę, nie oznaczoną na żadnej mapie.

Pewnego wieczoru zebrali się wszyscy, by omówić sytuację. Kapitan wzruszał ramionami:

— Co ja mogę poradzić! Szukamy jak ślepcy. Możemy pływać w ten sposób cały rok bez wyniku. Nasza podróż przeciąga się. Załoga jest niezadowolona. „W tym błocie można tylko łowić żaby” — gderają marynarze.

— Co pan proponuje? — spytał Huttling.

Kapitan znów wzruszył ramionami.

— Proponuję zakończyć bezcelowe poszukiwania i wrócić.

Huttling zamyślił się.

— A pańskie zdanie, profesorze?

Thompson rozłożył ręce.

— Co ja mogę powiedzieć? Każdy dzień pływania wzbogaca naukę. Ale jeśli wszyscy zdecydują, że należy wrócić, to ja oczywiście nie będę się sprzeciwiał.

— Ładnie pan broni interesów nauki! — wybuchnął Simpkins. Okazało się nagle, że to on jest najgorliwszym obrońcą nauki, po to tylko zresztą, by kontynuować poszukiwania wyspy. — Niech pan protestuje, żąda, nalega! A pan, kapitanie. Pan też jest dobry! „Bezcelowe błędzenie! Nie znajdziemy!” A czy pan wie, w jakich stronach pływamy? Może przez to samo miejsce przepływał Kolumb! I marynarze też gderali. A sądzi pan, że Kolumbowi łatwiej było odkryć Amerykę albo drogę do Indii? Wszyscy byli wówczas przekonani, że żadnej Ameryki nie ma i że statek może dotrzeć do końca świata i spaść diabłu na rogi. Lecz Kolumb nie przestraszył się i znalazł! I my znajdziemy!

Aczkolwiek ta oracja brzmiała komicznie w ustach Simpkinsa, to jego nieoczekiwane krasomówstwo wywołało pewne wrażenie i kapitan stropiony nieco, odpowiedział:

— Tak, lecz Kolumb jednak szedł w jednym kierunku, miał swoje kupieckie obliczenia i one go nie zawiodły, chociaż znalazł nie tylko to, czego szukał, a my po prostu kręcimy się w jednym miejscu. Jeśli pan będzie łaskaw i wskaże mi dokładny kierunek, to nie będę się kręcić — zakończył nieco urażonym tonem.

— Ja nic się nie znam na żegludze. Ale co się tyczy poszukiwań, to orientuję się trochę — odpowiedział Simpkins. — Każdy zawód stwarza swoje nawyki, wpływa na specjalny sposób myślenia. Dużo myślałem o tym, jak znaleźć wyspę i zdaje się, że wymyśliłem. Jest to również daleka droga, lecz doprowadzi nas prędzej do celu. Niech pan powie, panie Huttling, w jaki sposób znaleźliśmy się pierwszy raz na wyspie?

— Wybuchła burza, parowiec doznał awarii. Przecież sam pan wie o tym.

— A co było dalej?

— Okazało się, że śruba i ster zostały złamane i poniósł nas prąd.

— Otóż to właśnie! Śruba i ster zostały złamane i poniósł nas prąd. A może my sami złamiemy ster i śrubę? — zapytał Simpkins.

Vivian i wszyscy zebrani z nieukrywanym zaniepokojeniem popatrzyli na Simpkinsa.

Detektyw spostrzegł to i roześmiał się.

— Nie bójcie się, jeszcze nie zwariowałem. O sterze i śrubie powiedziałem w przenośni. Zatrzymajmy maszynę, nie ruszajmy steru i obserwujmy prąd. Oto moja propozycja. Przecież jakiś prąd poniósł nas na wyspę, prawda?

Huttling skinął głową.

— Zapamiętajmy to sobie jako punkt pierwszy. — I Simpkins zagiął jeden palec. — Skoro z zaginionych okrętów utworzyła się cała wyspa, jasne jest, że w obrębie Morza Sargassowego istnieją prądy znoszące na jedno miejsce wszystkie statki, które doznały awarii. Słuszne?

— Tak.

— To dwa — Simpkins zagiął drugi palec. — Z tego więc wynika jasny wniosek: będziemy powoli poruszać się po linii koła, zatrzymując maszynę od czasu do czasu i obserwu-

jąc, czy nie ma prądu, który znosiłby statek w głąb morza. Ten prąd zaprowadzi nas do wyspy. Na tym polega cała sztuka! — I Simpkins podniósł triumfalnie trzy palce,

Plan zainteresował nie tylko kapitana, lecz również Thompsona.

— Wewnętrzne prądy na Morzu Sargassowym?... Istotnie warto się nad tym zastanowić. Dotychczas podano tylko przepływ Prądu Zatokowego dokoła Morza Sargassowego.

— Skąd mogłyby się wziąć na Morzu Sargassowym silne prądy podwodne? — spytała Vivian.

— Żąda pani odpowiedzi na jedno z najtrudniejszych zagadnień oceanografii — odparł Thompson. — Jakie przyczyny wywołują prądy morskie? Uczni jeszcze nie uzgodnili swych poglądów w tej sprawie. Jedni tłumaczą powstawanie prądów morskich działaniem przyptyków i odpływów, inni — różnym stopniem zgęszczenia wody, wreszcie ostatnia grupa uczonych przyznaje decydującą rolę wiatrom. I chyba to ostatnie rozwiązanie jest najbardziej zbliżone do prawdy. W każdym bowiem razie, z grubsza biorąc, kierunki głównych prądów morskich odpowiadają kierunkom głównych prądów powietrznych. Lecz ściślej mówiąc, mamy do czynienia ze zbiegiem kilku przyczyn. Jeżeli Simpkins ma rację twierdząc, że w obrębie Morza Sargassowego istnieje wewnętrzny prąd zmierzający w stronę Wyspy Zaginionych Okrętów, to może on być odgałęzieniem lub odchyleniem głównego prądu — Prądu Zatokowego. Takie odchylenia powstają najczęściej wskutek pewnych przeszkód mechanicznych stojących na drodze głównego prądu.

— Jakie przeszkody mechaniczne mogą się znajdować na oceanie? — zadała Vivian nowe pytanie. — Przecież nie ma tu ani wysp, ani mielizn.

— A góry podwodne? Zapomniała pani o nich? Proszę sobie wyobrazić, że nieco dalej na wschód znajduje się pod wodą przecinający Prąd Zatokowy łańcuch górski. Proszę sobie następnie przedstawić, że w tym łańcuchu istnieje wąskie przejście — wąwóz skierowany wylotem ku wyspie, grającej z nami w ciuciubabkę. Prąd Zatokowy to ogromna rzeka, której wody płyną z szybkością dwóch i pół metra na sekundę. Cała ta masa szybko płynącej wody napiera na łańcuch górski, znajduje tylko jedno wąskie przejście i kieruje się w jego stronę. I to jest właśnie prąd wewnętrzny na Morzu Sargassowym.

— A taki prąd na pewno istnieje! W przeciwnym razie nie istniałaby również wyspa! — odezwał się Simpkins.

— Tak, zdaje się, że rada Simpkinsa jest dobra — zgodził się kapitan. — No, to spróbujmy „złamać ster i śrubę”, jak pan mówi.

— I jeśli odnajdziemy wyspę, to panu przypadnie cały zaszczyt odkrycia „Ameryki” — powiedział Huttling zwracając się do Simpkinsa.

— Do diabła z wyspą! Ja muszę znaleźć pewne dokumenty, a przy sposobności znajdę również panu wyspę.

V. Wielkie wydarzenie

Nad rezydencją gubernatora Wyspy Zaginionych Okrętów powiewała na wysokim maszcie duża flaga z błękitnego jedwabiu z wyhaftowanym brunatnym wiankiem z gronorostów i złotym orłem z rozpostartymi skrzydłami. Był to również pomysł Floresa. Z jego polecenia Maggie cały dzień haftowała flagę. Kiedy godło było gotowe, odbyła się uroczystość podniesienia flagi.

Flores w szamerowanym złotym kaftanie, otoczony „dostojnikami” pstrymi jak papugi, wygłosił odpowiednie przemówienie.

— Wyspiarze! — powiedział. — Sargassy, oderwane przez burze od brzegów swej

ojczyzny, przyniesione zostały tutaj. My wszyscy, jak te wodorosty, również oderwani zostaliśmy od ojczyzny i przeniesieni tutaj, by znaleźć nową ojczyznę, stworzyć nowe społeczeństwo. Jest nas niewiele. Nasze państwo nie jest wielkie. Lecz możemy być dumni z tego, że mamy niepodległość... Jesteśmy wolni jak ten orzeł z rozpostartymi skrzydłami. Oto jaką treść zawarłem w herbie widniejącym na naszej fladze. Niech żyją sargassy, broniące naszej wolności, niech żyje nasza wyspa! Niech żyją jej mieszkańcy!

Wyspiarze odpowiedzieli głośnymi oklaskami i okrzykami „hura”, patrząc z zachwytem na piękny sztandar trzepoczący na wietrze.

Flores chciał na ten uroczysty dzień zorganizować orkiestrę. Wśród różnych gratów zebranych przez kapitana Slaytona znalazło się kilka starych instrumentów strunowych różnego pochodzenia, ale struny dawno popękały, nowych nie można było znaleźć i Flores już chciał zrezygnować z tego pomysłu, kiedy nieoczekiwanie O'Hara przyszła myśl, by wykorzystać megafony, których było więcej niż mieszkańców wyspy. Co prawda mogły one tylko wzmacniać ludzki głos, lecz za to brzmiały donośnie jak trąby orkiestry dętej. Wyspiarze z zapałem zabrali się do nauki „muzyki” i podczas uroczystości podniesienia sztandaru wykonali „Marsz Wyspiarzy”. Była to bardzo dziwna muzyka, bowiem każdy grał hymn swojej ojczyzny, usiłując przekrzyczeć innych. Rzecz wypadła nieskładnie, lecz tak imponująco i głośno, że nawet ryby w przerażeniu rzucały się na wszystkie strony, płacząc się w gronorościach.

„Reformy” Floresa wywołały również głębsze zmiany w życiu wyspiarzy. Flores umiał ich pokłócić między sobą; wyspiarze nie stanowili już jednolitej masy od chwili, gdy zjawiała się „arystokracja”. O'Hara i Bocco przestali jadać w ogólnej stołówce, trzymali się na uboczu, zachowując się wyniośle. Zwykli obywatele odpowiadali na to pogardą i zawiścią.

— Doskonale — kpił sobie w duchu Flores — teraz mogę spać spokojnie.

Owego dnia, w którym Flores zwołał naradę w celu omówienia planu ekspedycji na sąsiednią wyspę, O'Hara i Bocco, przebrani w swe wspaniałe stroje, szli do rezydencji z poważnymi minami dostojników, witając napotkanych wyspiarzy lekceważącym skinieniem głowy.

A wyspiarze, nie głupi w istocie rzeczy, lecz nieomal dziecinniali wskutek monotonnego życia, z lękiem spoglądali na ten splendor i z szacunkiem schylali głowy.

Narada trwała dość długo. Chociaż sąsiednia wyspa znajdowała się blisko, dotrzeć do niej było trudno. Można było zbudować łódź. Ale łódź w najlepszym wypadku poruszałyby się wśród gronorostów z ogromnym trudem i bardzo wolno.

W ostateczności najprościej byłoby zbudować pływające pomosty. Ale to wymagałoby znacznej ilości materiałów budowlanych, które miały na wyspie ogromną wartość. Co prawda morze od czasu do czasu przynosiło odłamki statków, lecz używano ich bardzo oszczędnie do wypieku chleba i bardzo rzadko do gotowania gorącej stawy. Kilka starych statków już rozebrano i zbudowano mostki między okrętami i parowcami; rozebranie dalszych statków oznaczałoby zmniejszenie „terytorium państwa”.

Na dobitkę materiały budowlane potrzebne były po to, by rozwiązać kryzys mieszkaniowy. Istotnie, zaginionych statków było niewiele więcej niż mieszkańców wyspy. Lecz szło o to, że statki stały nachylone pod różnymi kątami do powierzchni morza. Jedne leżały z niewielkim przechyłem, inne — na boku, a inne znów — wywrócone do góry dnem. Mieszkać w „lokalu”, w którym podłoga pochylona jest pod kątem 45°, stale chodzić po „zboczu” pełznąć w dół, z trudem wychodząc na zewnątrz — to niewielka przyjemność. Między wyspiarzami toczyły się stale kłótnie o pomieszczenia z mniej lub więcej wyrównaną powierzchnią podłogi. By przynajmniej częściowo złagodzić kryzys mieszkaniowy, trzeba było część zapasowych materiałów przeznaczyć na mieszkania.

— Jeśli zużytkujemy deski na budowę mostu, to przecież uzyskamy dostęp na nową wyspę, do statków, na których można będzie zamieszkać — rzekł O'Hara. — Część naszej

ludności przeniesie się i problem mieszkaniowy zostanie rozwiązany. Jeśli zaś nasze nadzieje spełzną na niczym, rozbierzemy pływający most i nic nie stracimy.

Innej rady nie było, zapadła decyzja zbudowania mostu.

Wyspiarze, którzy rozsiedli się na pokładzie „Elżbiety”, w podnieceniu oczekiwali wyniku narady. Największą wartość w monotonnym życiu wyspy miała rozrywka, zmiana wrażeń. W imię tego mieszkańcy wyspy gotowi byli nawet ponieść pewne ofiary. Więc gdy dowiedzieli się o wyniku narady, przystąpili energicznie do pracy.

Zapał ogólny był tak wielki, że znaleźli się ofiarodawcy, którzy zrywali w mieszkaniu część podłogi lub „schody” — zwyczajną deskę z poprzecznymi drążkami — byle most był jak najdłuższy. Ze względów oszczędnościowych nie mógł być zbyt szeroki. Tylko jeden człowiek mógł przejść przezeń. Ale ta oszczędność przedłużała czas budowy, bowiem tylko jeden człowiek musiał stale chodzić po deski. Znalaziono jednak wyjście: wyspiarze ustawili się w łańcuchu i przekazywali sobie deski z rąk do rąk. W ciągu trzech dni zbudowano przeszło połowę mostu.

Nadeszła wreszcie uroczysta chwila: piątego dnia o zmierzchu ułożono ostatnią deskę łączącą obie wyspy.

Wyspiarze pragnęli natychmiast wyruszyć na nową wyspę, lecz musieli zrezygnować z tego zamiaru, bowiem Flores odłożył wszystko do następnego ranka.

Podnieceni wyspiarze nie zmrużyli oka przez całą noc i zerwali się przed świtem w dniu tak znamionym w dziejach Wyspy Zaginionych Okrętów.

Zebrali się w komplecie na pokładzie fregaty; pokład leżącego na boku okrętu opadał ku wodzie — tu zaczynał się most.

— Nasze wysiłki uwieńczone zostały sukcesem — powiedział Flores zwracając się do wyspiarzy. — Przy pierwszych promieniach słońca podniesiemy naszą flagę na nowej wyspie!

I wyspiarze ruszyli w drogę.

Na przedzie szedł Flores ze sztandarem, za nim Bocco, O'Hara, Lüders, a dalej szła reszta mieszkańców wyspy.

Woda chlupotała pod mostkami, deski uginały się. Kilku ludzi wpadło do wody. Wyleźli ze śmiechem oplątani gronorostami. Wielu spodobało się to niespodziewane uzupełnienie stroju. Wyspiarze nachylali się, wyciągali długie brunatne wodorosty i przystrajali się w nie. Indianin zaśpiewał smętną pieśń wojenną. Przed podróżnikami wyrosła bryła parowca transoceanicznego. Leżał na boku, zakrywając sobą nową wyspę. Obok wzniesionej nad wodą rufy stała mała barka, na którą położono ostatnią deskę mostu. Flores wszedł na barkę. Wyspa była niewielka — składała się zaledwie z dziesięciu statków. Lecz wyspiarzy spotkało małe rozczarowanie: statki te nie stały tuż obok siebie, lecz w pewnej odległości. Trzeba było również tutaj zbudować nowe mostki, by połączyć rozrzucone statki w jedną całość. Postanowiono jednak nie odkładać uroczystości. Z dużym wysiłkiem wspięli się po pochyłym parowcu i zatknęli flagę na jego szczycie.

Wyspiarze rozmieścili się na statku i wpatrywali się chciwie w nowe dla nich kształty i kontury. Żadne widowisko nie sprawiłoby takiej przyjemności mieszkańcom wielkiego miasta, ile dał wyspiarzom widok rozbitych, okaleczonych okrętów. Bodaj najbardziej ze wszystkich cieszył się z wyspy Lüders.

— Korweta z jedną odsłoniętą baterią złożoną z dwudziestu dział... początek dziewiętnastego wieku. Oho! Żaglowiec holenderski co najmniej z początku osiemnastego wieku. To dopiero dziadunio! Widzicie, dokąd go zaniósł! A oto drugi staruszek — parowiec kołowy. Urodził się tuż na początku dziewiętnastego wieku w Ameryce i nawet za młodych lat mógł wlec się z szybkością zaledwie pięciu mil morskich na godzinę — wyjaśnił Lüders.

Lecz ogólną uwagę przykuł okropny widok: cały pokład korwety „z odsłoniętą baterią o dwudziestu działach” usiany był szkieletami. Błyszczały kości wybielone przez słońce. Na

nogach szkieletów zachowały się gdzieś jakieś strzępy — zapewne resztki zetłanych butów. Za to w dobrym stanie zachowała się broń, chociaż zardzewiała: działa, szpady, kordziki...

Wyspiarze zamilkli. Każdy, puszczając wodze swej fantazji, wyobrażał sobie, jakie potworne sceny towarzyszyły zagładzie tych okrętów.

— Trzeba będzie uprzątnąć szkielety — rzekł Flores. — Znaleźliśmy tutaj sporo staków nadających się do zamieszkania. Chyba na dziś wystarczy? Przyjdziemy jutro, ułożymy resztę mostków i obejrzymy wnętrza okrętów.

Wyspiarze zaczęli niechętnie schodzić. Jeden z nich pośliznął się, stoczył się z pokładu i wpadł do wody. Ku powszechnemu zdumieniu jednak nie zanurzył się, lecz zatrzymał na powierzchni.

— Tu jest bardzo płytko! — zawołał.

Ta wiadomość zaciekała wszystkich. Wyspiarze zaczęli badać nogami grunt. Okazało się, że mieli pod nogami pokłady i szczątki zatopionych okrętów. Przy zachowaniu ostrożności można było przedostać się z jednego okrętu na drugi. Rozbiegli się po wyspie, wyrażając okrzykami swój zachwyt.

Nagle z ładowni małej, stosunkowo nowej barki rozległ się jakiś zwierzęcy ryk i w ślad za nim przerażony okrzyk Indianina wzywającego pomocy. Indianin wyskoczył z ładowni i zaczął uciekać.

— Tam... zwierzę... straszna małpa... goryl...

Wszyscy wyspiarze jak wystraszone stado skupili się w jednym miejscu, tłocząc się i kryjąc jeden za drugim. Nie obawiali się jawnego wroga. Lecz tam znajdowało się jakieś nieznanne stworzenie.

— Kto idzie ze mną? — zawołał Flores.

Bocco w obawie o to, że straci wysokie stanowisko i kamizelę, ruszył za Floresem. Za nim poszedł O'Hara.

Flores zajrzał ostrożnie do wnętrza barki. Rozległo się stamtąd warczenie. Kiedy Flores przyzwyczał się do ciemności ładowni, ujrzał, że w kącie siedzi stworzenie podobne do człowieka, nagie, z wielką kudłatą głową. Skołtunione włosy na głowie i brodzie sięgały prawie do kolan. Na palcach widniały długie, zakrzywione paznokcie.

— Kim jesteś — zapytał Flores po angielsku, a potem po hiszpańsku.

— Kim jesteś? — pytali wyspiarze w różnych językach, lecz nie było odpowiedzi. Było jednak jasne, że to nie jest goryl, lecz człowiek — bezbronny, chudy, wyczerpany człowiek... Flores skoczył na dół i wyniósł nieznanego na rękach. Nieznajomy nie stawiał oporu.

Aczkolwiek wszystko to było bardzo proste, jednak czyn Floresa dodał mu autorytetu w oczach wyspiarzy.

— Na wszelki wypadek zwiążmy naszego jeńca i chodźmy! Czas na obiad!

Rozkaz został wykonany.

Pierwsi wyspiarze z Floresem na czele już znajdowali się blisko Wyspy Zaginionych Okrętów, a ostatni byli jeszcze na Nowej Wyspie.

Nagle w odległości kilku metrów od Floresa przeleciał jakiś przedmiot, rozległ się wybuch, mostki zostały rozbite na kawałki i Flores wraz z jeszcze pięcioma ludźmi wpadł do wody. Jednakowoż Flores uczepił się jakiejś belki i kiedy ochłonął, ujrzał coś, wskutek czego omal nie stracił przytomności.

Na wyspie, tuż na skraju mostu, stał kapitan Fergus Slayton z granatem w ręku... Slayton miał długą brodę i był w brudnej podartej koszuli, lecz istotnie był to on.

VI. „Aresztować go!”

Slayton nie umarł wskutek rany odniesionej podczas ucieczki Huttlinga i jego towarzyszy. Kula przebiła mu obojczyk, lecz rana nie była śmiertelna. Kiedy Flores zrzucił go do wody, Slayton upadł na płytkie miejsce — na dno wywróconej barki. Na jego szczęście wszyscy wyspiarze poszli za Floresem i nikt tego nie widział. Z ogromnym wysiłkiem, brocząc krwią, Slayton wlaźł do ładowni ustawionego bokiem żaglowca. Statek ten przed niedawnym czasem przybił do wyspy.

„Jeżeli stracę przytomność, to umrę wskutek upływu krwi — pomyślał wówczas Slayton. — Muszę sobie zrobić opatrunek...” Zaczął przeszukiwać ładownię i znalazł kawałek starego płótna żaglowego. Zacisnąwszy zęby z bólu, ostatnim wysiłkiem świadomości i woli zrobił sobie opatrunek i stracił przytomność. Ocknął się dopiero w nocy.

Chłód orzeźwił go. W głowie kręciło mu się wskutek upływu krwi i lekkiej gorączki. Dręczyło go pragnienie. We wklęsnięciu pokładu znalazł kałużę wody deszczowej i wypił ją do ostatniej kropli. Rozjaśniło mu się w głowie. Co robić? Tutaj mogli go znaleźć. Slayton postanowił więc przekraść się na znajdującą się blisko, sąsiednią Wyspę Zaginionych Okrętów. Żaden z wyspiarzy nie był tam jeszcze. Tam byłby bezpieczny. Tylko Slayton wiedział o tym, że droga na tę wyspę wiedzie przez leżące płytko pod wodą pokłady zatopionych okrętów. I tej samej nocy przedostał się na nowe miejsce.

W różnych punktach między małą a wielką wyspą znajdowało się kilka statków, na których można było znaleźć żywność: suchary, konserwy, a nawet wino. Nie na próżno Slayton przeżył tyle lat na wyspie. Wiedział o tych ukrytych zapasach i znał drogi wiodące do nich. Nocami brodził „po morzu”, ostrożnie wymacując nogą leżące prawie na powierzchni morza pokłady i dna zatopionych okrętów. Zapełniały one prawie całe dno morza dokoła wyspy. Zabierał żywność na kilka dni, wracał na małą wyspę i nie ruszał się z niej, aż do wyczerpania zapasu.

Chińczyk spostrzegł Slaytona właśnie podczas tych nocnych wycieczek. Lecz Slayton nie widział Hao-Szena. Kiedy zaś Chińczyk zjawił się w nocy z Bocco, by popatrzeć na „cień gubernatora”, wyostrzony słuch Slaytona złowił dźwięki, szmery i szepty, które rozległy się nagle w głębokiej nocnej ciszy. Ostrożny Slayton nie wychodził z kryjówki w ciągu kilku nocy. Dlatego właśnie Flores nie zobaczył go.

Slayton nie zrezygnował z myśli o ponownym zawładnięciu wyspą. Nie uważał Floresa za niebezpiecznego rywala. Ale by przystąpić do jawnej walki, trzeba było przede wszystkim odzyskać siły. Więc odkładał wykonanie swego zamierzenia do czasu, gdy rana całkowicie się zagoi. Kiedy wreszcie wrócił do zdrowia i sił, zaczął układać plan napadu.

Plan ten był zupełnie prosty. Slayton postanowił zjawić się na wielkiej wyspie w nocy, gdy wszyscy będą spali, i skierować się do rezydencji nowego gubernatora. Najprawdopodobniej spać również będą dyżurni wartownicy na „Elźbiecie”. A jeśli nawet okaże się, że nie śpią, to ogarnie ich przerażenie na widok „martwego kapitana”. W ostatecznym razie można ich będzie zlikwidować bez hałasu przy pomocy kordzika... Ze śpiącym Floresem — Slayton nie wątpił, że Hiszpan zajął jego miejsce — nie będzie wielkiego kłopotu. A wyspiarze? Nie będą mieli podstaw do protestu — przecież on tylko obejmie z powrotem stanowisko zabrane mu zdradziecko przez Floresa.

Kiedy jednak Slayton, który ze swej kryjówki uważnie obserwował wielką wyspę, zobaczył, że rozpoczęto budowę mostu, postanowił zmienić plan: teraz będzie mógł wziąć do niewoli wszystkich mieszkańców wyspy. Odetnie im drogę odwrotu, kiedy się znajdą na nowej wyspie. W przededniu zakończenia budowy mostu Slayton przekradł się w nocy na wielką wyspę. Uzbrojony w granaty ręczne, ukrył się w ładowni nie zamieszkałej korbety

holenderskiej, stojącej w pobliżu brzegu. Wyszedł z kryjówki dopiero wówczas, gdy przekonał się, że wszyscy wyspiarze wybrali się na nową wyspę.

Szybko podszedł do miejsca, w którym zaczynał się most i ukrywszy się za grubym masztem, obserwował powrót wyspiarzy.

Po rzuceniu granatu czekał spokojnie, aż Flores odzyska równowagę.

Mógł zabić Floresa na miejscu, ale nie chciał rozpoczynać nowego okresu swojej władzy od zabójstwa.

„Niech to zrobią sami wyspiarze — pomyślał. — Flores nie ujdzie śmierci”.

I kiedy Hiszpan popatrzył szeroko rozwartymi ze strachu oczami w oczy Slaytona, były gubernator, kołysząc miarowo drugim granatem, powiedział:

— Żądam całkowitego posłuszeństwa i uznania mnie za gubernatora, w przeciwnym razie zginiesz. Mam jeszcze jeden granat.

Flores zawahał się. Po chwili namysłu odpowiedział:

— Dobrze. Zgadzam się, jeśli darujesz mi życie.

— Jak widzisz, już ci darowałem — odparł Slayton.

Ta niezrozumiała wspaniałomyślność zdziwiła Floresa.

Istotnie, czyż Slayton nie mógł zabić go od razu?

Slayton podniósł deskę leżącą na brzegu i rzucił jak kładkę między zniszczoną częścią mostku i wyspą.

Flores i wszyscy wyspiarze weszli w grobowym milczeniu na wyspę.

„Co będzie dalej? Kto zwycięży?” — myśleli patrząc z przerażeniem na Slaytona.

Slayton liczył na niezwykle wpływ, jaki zawsze na nich wywierał. Jego słowo było prawem. Ludzie drżeli przed nim ze strachu. I teraz nawet, mimo że Slayton schudł, mimo że był w podartej, poplamionej krwią koszuli, którą miał na sobie podczas ucieczki Huttlinga — był groźny, groźniejszy niż dawniej. Slayton widział, jakie wrażenie wywarł na wyspiarzach, i był z tego zadowolony.

— Zaaresztować go! — rzekł spokojnie, wskazując na Floresa.

Flores drgnął i wyprostował się nagle.

— Przed chwilą powiedziałeś, że mi darujesz życie.

— Tak, życie, ale nie wolność — odparł zimno Slayton. — A co się tyczy twojego życia, to niech tę sprawę rozstrzygną mieszkańcy wyspy na podstawie naszych ustaw. Wiesz dobrze, jakie popełniłeś przestępstwo.

Tak, Flores wiedział i znał ustawę, która za zabicie wyspiarza i usiłowanie zabójstwa przewidywała karę śmierci.

Nastąpił decydujący moment.

— Dlaczego stoicie? Aresztować go! — powtórzył Slayton, który nagle spochmurniał.

Kilku ludzi niezdecydowanie poszło w stronę Floresa.

— Stójcie, szaleńcy! — zawołał Flores. — On schwytał mnie w pułapkę, oszukał mnie. Ale ta pułapka grozi również wam. Czy chcecie znów znaleźć się pod rządami tego despoty, chcecie znów jadać surowe ryby i chodzić w szmatach?

Slayton nie wiedział o jednej rzeczy — że chytry Flores zyskał sobie na wyspie wielką popularność. Widząc, że pod wpływem słów Floresa nastroje wyspiarzy ulegają zmianie, Slayton zamierzał przerwać przeciwnikowi, lecz nagle Flores krzyknął:

— Aresztować go!

Pod Bocco trzęsły się nogi ze strachu, lecz „obowiązek przede wszystkim”, więc pierwszy rzucił się na Slaytona. W tej samej chwili zrobił to O'Hara i reszta wyspiarzy, którzy obezwładnili Slaytona, zanim zdołał rzucić drugi granat.

Slayton nie oczekiwał takiego obrotu sprawy. Zaklął szpetnie.

Flores zwyciężył.

Slaytona zaprowadzono do „więzienia” — odległej żelaznej kajuty na węglowcu — i

postawiono przed wejściem straż.

Pierwszą bitwę wygrał Flores. Lecz co będzie dalej? Slaytona nie można pozostawić przy życiu, a jednocześnie trudno jest zgładzić go jawnie i zgodnie z prawem, bo nie popełnił żadnego przestępstwa, za które można by go skazać na śmierć.

Flores przemierzał kajutę wielkimi krokami, zastanawiając się, co czynić. Bał się zostawić Slaytona żywego nawet do rana. Trzeba go zabić, to jest jasne. Ale zabić tak, by nikt się na wyspie o tym nie dowiedział. To znaczy, że razem ze Slaytonem trzeba będzie zabić wartownika, a potem... Gronorosty umieją ukrywać swe tajemnice. Wszyscy będą myśleli, że Slayton wydostał się z więzienia, zabił strażnika (można w tym celu pozostawić zwłoki strażnika na miejscu) i uciekł.

Flores postanowił tak zrobić. Ale kogo złożyć w ofierze, kogo wyznaczyć na wartownika tej nocy? Najlepiej — Chińczyka. On i tak wkrótce umrze od swojego opium. Nie ma z niego żadnego pożytku. Jest senny, słabowity, nieruchliwy. Łatwo będzie sobie z nim poradzić.

Tej nocy upiór Slaytona przestanie straszyć wyspiarzy.

VII. Staruszek Bocco

Plan Simpkinsa był trafny. „Napastnik” szybko odnalazł prąd wiodący w głąb Morza Sargassowego. Co prawda, prąd ten był dość powolny, lecz podróżnicy byli przekonani, że zaprowadzi ich do Wyspy Zaginionych Okrętów. Wiele znaków o tym świadczyło. Im dalej „Napastnik” posuwał się po tej drodze, tym częściej napotymano szczątki statków, zniszczone barki, łodzie przewrócone dnem do góry... Nad jedną z łodzi spostrzegł kapitan Murray stado ptaków; krzyczały głośno i biły się w powietrzu.

— Dzielą zdobycz. Na łodzi zapewne znajdują się trupy — powiedział kapitan.

Kiedy statek podpłynął bliżej, oczom podróżników ukazał się ponury obraz: na dnie łodzi leżały zwłoki człowieka. Ptaki tak gęsto obsiadły trupa, że prawie nie było go widać. A dokoła łodzi rojiły się rekiny, które z rozpędu uderzały w łódź, usiłując przewrócić ją i zgarnąć zdobycz.

Pewnego wieczoru, kiedy Vivian pracowała w laboratorium, pomagając Thompsonowi w wypychaniu zwierząt, usłyszała nagle okrzyk Simpkinsa:

— Wyspa! Widzę Wyspę Zaginionych Okrętów!

Wszyscy wybiegli na pokład.

Na północy, na horyzoncie, w promieniach zachodzącego słońca widać było kominy parowców i połamane maszty. Ten widok zbyt mocno utkwiał w pamięci Huttlingów i Simpkinsa, by można było o nim zapomnieć. Nawet kapitan Murray, który nigdy nie widział wyspy, nie wątpił, że dotarli do celu. W żadnym porcie nie widywało się masztów i kominów przechylonych w najbardziej fantastyczny sposób — jak gdyby potężna burza rozbiła całe to skupisko okrętów, które zastygły nagle pod jej ciosami...

Wszystkich ogarnęło podniecenie. Stali w milczeniu i nie mogli oderwać wzroku od straszego cmentarzyska...

— Pełna naprzód! — wydał rozkaz kapitan.

To energiczne wezwanie wyrwało ludzi ze smutnych rozmyślań. Nerwowe podniecenie szukało ujścia w ruchu, działaniu, pracy.

— Ciekawe, jak nas przyjmą wyspiarze? — rzekł Huttling.

— Gdyby żył Slayton, nie obeszłoby się bez walki. Ale Slayton nie żyje i to znacznie ułatwia nam sytuację. Bez względu na to, kto zajął jego miejsce, nie będzie trudno dogadać

się z następcą.

Było prawie zupełnie ciemno, kiedy parowiec zbliżył się do wyspy i zasygnalizował wyspiarzom, by przysłali parlamentariusza.

Na wyspie musiano spostrzec „Napastnika”, tym bardziej że syrena statku wyła prawie bez przerwy, maćąc ciszę.

Pasażerowie spodziewali się, że zobaczą na wyspie tłum ludzi przyglądających się niezwykle widokowi. Lecz na wyspie było bezludnie i pusto.

— Czy wszyscy tam poumierali? — zapytał zniecierpliwiony Huttling.

— Prosta rzecz — odparł Simpkins — pewnie wybuchła jakaś epidemia.

— Spójrzcie — rzekła Vivian — na wysokim maszcie powiewa flaga! Dawniej tego nie było.

— To na „Elźbiecie”, rezydencji gubernatora — powiedział Huttling.

— Nie powiedziałbym, że wyspiarze witają nas życzliwie — odezwał się Thompson.

— Nie ma co robić z nimi ceregieli — wtrącił się Simpkins. — Trzeba obudzić to mrowisko. Oddajmy wystrzał.

— Niech pan trochę poczeka — odparł Huttling.

Syrena w dalszym ciągu wyła przeraźliwie, lecz na wyspie nie widać było ani śladu życia.

— Do stu diabłów! — rozzłościł się nagle kapitan i nie pytając Huttlinga o zgodę, kazał strzelić z małej armatki. Dla wzmocnienia efektu polecił wyłączyć syrenę. Wystrzał armatni rozległ się jak grzmot wśród ciszy.

— Widzicie, poskutkowało! — zawołał Simpkins z triumfem. — Ktoś tam się pokazał.

— Tak jest, ktoś tam chodzi. Spuście szalupę i ruszajcie do brzegu — wydał rozkaz kapitan.

Marynarze szybko spuścili łódź i zaczęli zbliżać się ku wyspie.

Jakiś wyspiarz wymachując białą szmatą podszedł do szalupy i po krótkiej rozmowie z marynarzami wsiadł do łodzi. Po kilku minutach znajdował się już na pokładzie.

— Bocco! — Vivian poznała go z daleka.

I Bocco zdziwił się ogromnie, kiedy poznał starych znajomych. Miał na sobie tę samą zniszczoną odzież.

— Witam mojego narzeczonego! — zawołała wesoło Vivian. — Przecież pan był również kandydatem do mojej ręki, wówczas gdy graliście o mnie jak o fant? Pamięta pan — i podała mu rękę.

Stropiony i zakłopotany Bocco uściskał dłoń Vivian.

— Witam, miss Kingman.

— Huttling — poprawiła go Vivian z uśmiechem.

— Huttling? Przepraszam, zapomniałem.

— Nie, nie zapomniał pan. Na wyspie nazywałam się Kingman, a obecnie nazywam się Huttling — i Vivian wskazała na swego męża.

— To tak się mają sprawy! A ja nie mogłem się domyślić od razu. — Bocco westchnął. — Nie sądziłem, że zobaczę panią jeszcze kiedyś! Czy to prąd znów zaniósł was tutaj?

— Nie, przyjechaliśmy z własnej woli.

— Naprawdę? — z niedowierzaniem zawołał Bocco. — Niewesoło jest tu u nas, nie warto przyjeżdżać z własnej woli.

— Proszę nam powiedzieć, kto jest obecnie gubernatorem?

Zakłopotany Bocco rozłożył ręce i odparł wzdychając głęboko:

— Slayton. Kapitan Fergus Slayton.

Simpkins podskoczył ze zdumienia.

— Niemożliwe! Przecież on...

— Jest zdrow i cały. Slayton jest gubernatorem dziś. Wczoraj gubernatorem był Flores,

a kto będzie jutro — nie wiadomo. Tak się sprawy przedstawiają. Nic wesołego.

— Ale jak to się stało?

Bocco opowiedział o wszystkim, co zaszło na wyspie do momentu, kiedy Slayton został osadzony w więzieniu.

— A rano — zakończył Bocco — budzimy się, słyszymy gong w rezydencji gubernatora. Przychodzimy na „Elżbietę” i widzimy Slaytona. „Ja — powiada — jestem waszym gubernatorem. A Flores jest zbrodniarzem. Flores wrzucił mnie do wody. Teraz siedzi w więzieniu. Jutro stanie przed naszym sądem”. — Tak się rzecz przedstawia!

Bocco nie wiedział o wydarzeniach minionej nocy, które istotnie przybrały nieoczekiwany obrót. W tym samym czasie, gdy Flores przekradał się w ciemnościach nocy do aresztu Slaytona, by zabić rywala, Slayton chodził po wąskiej żelaznej celi jak zwierz w klatce i układał plan ucieczki. Należał on do tego typu ludzi, dla których przeszkody istnieją tylko po to, by je pokonywać.

W ciemnościach zaczął obmacywać ściany celi. Były gładkie i szczelne. Nie było ani okna, ani nawet szpary — żadnej szansy ucieczki. Wreszcie udało mu się znaleźć nad drzwiami mały okrągły otwór, przez który nie przecisnęłaby się nawet jego głowa. Podciągnąwszy się na rękach, wyrżał na zewnątrz. Obok drzwi stała jakaś postać.

— Kto stoi na warcie? — krzyknął surowo Slayton, tak jak to robił podczas kontroli nocnych posterunków.

Chińczyk, usłyszawszy znany dobrze, rozkazujący głos, drgnął. Marzył o rzece Błękitnej, a ów głos wyrwał go z marzeń. Chińczyk, zebrawszy myśli, odpowiedział:

— Hao-Szen.

— Dlaczego nie odpowiadasz od razu, kiedy cię gubernator pyta? Zasnąłeś, durniu? Otwórz zasuwę, muszę zajrzeć do aresztowanych.

Chińczykowi poplątało się wszystko w głowie. Słyszał nad sobą głos Slaytona. Nic nie widział w ciemności. I nie mógł stwierdzić, gdzie znajduje się gubernator.

Hao-Szen dawno już stracił zdolność rozumowania. Umiał tylko słuchać rozkazów. Kapitan Slayton żąda. Więc trzeba wykonać rozkaz. Otworzył zasuwę. W tej samej chwili nadszedł Flores. I wrogowie nieoczekiwanie spotkali się we drzwiach. Slayton wepchnął Floresa do kajuty.

Wywiązała się między nimi walka. Przypadkowo Slayton namacał jedwabny szalik, który rozwiązał się Floresowi. Chwycił za szalik i ścisnął przeciwnikowi gardło. Zanim się Flores opamiętał, Slayton wybiegł i zamknął drzwi na zasuwę. Następnie podszedł do Chińczyka, podniósł go do góry i potrząsając mocno, syknął:

— To ma być warta? Przystępca omal nie uciekł. Chodź ze mną.

Chińczyk oprzytomniał i uradowany, że wyszedł cało z opresji, powlókł się za Slaytonem.

W ten sposób Slayton został znów gubernatorem wyspy. A kiedy zjawił się „Napaśnik”, posłał Bocco jako parlamentariusza.

Starzec, opowiedziawszy o tych nowinach, spojrzął z lękiem na wyspę i rzekł:

— Ale zagadałem się — i nagle przybrał postawę osoby oficjalnej, oświadczając poważnie: — Gubernator Wyspy Zaginionych Okrętów kazał mi się dowiedzieć, kim jesteście i po co przyjechaliście do nas?

Huttlings zamyślił się, a potem kładąc rękę na ramieniu Bocco rzekł:

— Wie pan co, Bocco, niech pan nie rozmawia ze mną takim tonem. Pogadajmy jak starzy przyjaciele. Nie spodziewaliśmy się, że znów zastaniemy tu Slaytona. Wie pan o tym, że rozstaliśmy się z nim niezbyt przyjaźnie. Ale nie żyjemy żadnych złych zamiarów wobec mieszkańców wyspy. Przyjechaliśmy tu wraz z moją żoną i profesorem Thompsonem, by zbadać Morze Sargassowe. Przy sposobności postanowiliśmy odwiedzić pana. A skoro już przyjechaliśmy, to odwiedzimy wyspę bez względu na to, czy Slayton zgodzi się, czy nie.

Żeby jednak nie sprawiać panu kłopotu pertraktacjami ze Slaytonem, wysłamy mu depeszę drogą radiową. Przecież na wyspie znajduje się odbiornik.

Depesza brzmiała następująco:

Huttlingowie, Simpkins i profesor Thompson chcieliby odwiedzić wyspę. Zasygnalizujcie zgodę białą flagą. Huttling.

Depesza została widocznie odebrana, wkrótce bowiem rozległ się od strony rezydencji wystrzał karabinowy. Kula trafiła w szalupę i uszkodziła skraj burty.

— Krótko i jasno! — rzekł Huttling. — Wobec tego możemy się nie krępować. Dla uniknięcia rozlewu krwi wyślijmy jeszcze jedną depeszę. A ty, Vivian, zejdź na wszelki wypadek do kajuty.

„Jeżeli natychmiast nie wyrazicie zgody, każę zbombardować wyspę” — brzmiał tekst drugiej depeszy. Odpowiedzią był drugi wystrzał z wyspy.

Huttling chciał już wydać rozkaz strzelania, lecz Thompson zaproponował, by odłożyć działania wojenne do rana.

— Teraz jest już za ciemno, może lepiej będzie poczekać do rana. Wyspa nam nie ucieknie — poparł go kapitan Murray.

Huttling zgodził się. Na pokładzie została straż złożona z kilku marynarzy. Huttling zszedł do kajuty ogólnej. Kapitan Murray, Simpkins, Thompson i Bocco poszli za nim.

Vivian nalewała herbatę. Wszyscy usiedli, Bocco — na brzeżku krzesła. Niezwykłe otoczenie i nowi ludzie wprawiali go w zakłopotanie. Pił gorącą herbatę, parzył sobie usta, czerwieniał i chrząkał.

— A jednak... źle się stało — powiedział zaszepiwszy się nagle.

— Co mianowicie? — spytała Vivian.

— No właśnie to: zacznie się strzelanina. Co dobrego z tego wyniknie? Ilu ludzi można skrzywdzić!

— Więc co robić, Bocco? — spytał zdziwiony Huttling. — Przecież sam pan widział, że Slayton nie przyjął naszych pokojowych propozycji.

— Co robić? Właśnie myślę o tym, co robić. A do zrobienia jest tylko jedno. Muszę wrócić na wyspę i szepnąć na ucho naszym wyspiarzom: nie słuchajcie kapitana Slaytona, nie strzelajcie. Proszę powiedzieć pańskim marynarzom, żeby spuścili mnie na wodę... żegnajcie, dziękuję za herbatę!

VIII. Znowu im wyspie

Tej nocy na „Napastniku” nikt nie spał. Huttling chodził po pokładzie, wsłuchując się w ciszę nocy. Co będzie z Bocco? Czy wyspiarze posłuchają go? Czasami zdawało mu się, że słyszy stłumiony szum głosów, skrzypienie desek na wpół przegniłych pokładów. A może to wiatr wiejący przed świtem szumi wśród złamanych rei i masztów, szarpie strzępy żagli, kołysze statkami, a one skrzypią i jęczą jak starzy ludzie we śnie, skarżący się na swe dolegliwości? Gdyby przynajmniej była widna księżycowa noc! Jak dręczy ta ciemność!

Na godzinę przed wschodem słońca znów rozległ się hałas na wyspie. Teraz nie było wątpliwości. Coś się tam działo. Wyraźnie słychać było głosy; kilku ludzi z latarniami w ręku przebiegło przez wyspę i wróciło powoli do rezydencji gubernatora.

„Czyżby biedny Bocco zginął?” — myślał zdenerwowany Huttling.

Na chwilę przed wschodem słońca wszyscy pasażerowie „Napastnika” wyszli na

pokład. A kiedy słońce wzeszło, wydarł się z wszystkich piersi okrzyk zdumienia — na wysokim maszcie przed rezydencją gubernatora powiewała wielka biała flaga.

— Kapitan Slayton skapitulował! — zawołał Huttling.

— Popatrzcie, tam stoi Bocco — pokazała Vivian.

Bocco, drepcząc na starych nogach, kłaniał im się, wymachiwał ręką i z daleka wołał przez tubę:

— Możecie zejść na wyspę. Kapitan zgodził się.

Spuszczono szybko szalupę, w której zajęli miejsca Huttlingowie, Thompson wraz z asystentami — Tammem i Mullerem, Simpkins oraz czterej marynarze.

Bocco powitał przybyłych niskim ukłonem.

— Kapitan zaprasza państwa do swej rezydencji.

— Nic się panu nie stało, Bocco? Martwiliśmy się o pana! — rzekła Vivian ściskając jego dłoń.

— Co u was na wyspie zaszło tej nocy? — spytał Huttling.

Bocco uśmiechnął się tajemniczo i powtórzył:

— Gubernator zaprasza państwa do siebie. Sam wszystko wyjaśni.

Z głębokim wzruszeniem stanęła Vivian po raz drugi na Wyspie Zaginionych Okrętów. Szła po chwiejnych mostkach przerzuconych między statkami, przypominając sobie, że szli tak samo podczas swego pierwszego pobytu. Lecz wtedy byli ofiarami katastrofy, bezbronnymi jeńcami zmierzającymi na spotkanie nieznanej przyszłości. Obecnie znajdowali się pod ochroną „Napastnika”.

Huttling poprosił Vivian, by powróciła na statek.

— Kto wie, może Slayton zastawia na nas pułapkę?

Lecz Bocco uspokoił go:

— Nie ma się czego obawiać, nic państwu nie grozi.

Ruszyli naprzód. Huttling udzielał wyjaśnień Thompsonowi, opowiadając o różnych wydarzeniach z czasów pierwszego pobytu na wyspie. Znaleźli się wreszcie przed rezydencją gubernatora. Widać było, że czekali już na nich.

Murzyn błysnął białymi zębami w szerokim uśmiechu.

— Oto jeden z byłych kandydatów do ręki Vivian — przedstawił go Huttling z uśmiechem.

— Gubernator prosi do siebie — powiedział Murzyn.

Dobrze znanymi schodami zeszli na dół i znaleźli się w gabinecie gubernatora, który stał przy biurku i powitał ich przyjaznym skinieniem głowy.

— Serdecznie witam państwa.

— Flores! — zawołała zdumiona Vivian.

— Do usług — rzekł Flores ściskając ręce gości. — Proszę mi wybaczyć mój wygląd.

Miał siłą twarz, spuchniętą szyję, a na skroni dużą szramę, z której sączyła się krew.

— Pan jest ranny? — spytała Vivian. — Może zrobić panu opatrunek?

— Nie, dziękuję pani — odparł Flores przykładając chusteczkę do skroni. — Zwykle zadraśnięcie.

— Proszę nas nie dręczyć, Flores, niech nam pan powie, gdzie jest Slayton? Czy żyje?... — zapytał niecierpliwie Simpkins.

Flores rozłożył ręce.

— Przedwczoraj zjawił się niespodziewanie na wyspie i został przeze mnie aresztowany. W nocy poszedłem sprawdzić strażę. Koło węglowca, na którym został osadzony Slayton, rzucił się ktoś na mnie. Był to właśnie Slayton, któremu widocznie udało się wydostać z aresztu. Wywiązała się między nami walka, o jej zaciekłości mogą państwo sądzić na podstawie stanu mojego ubrania. Omal nie zadusił mnie moim własnym szalikiem. Potem... — Flores zająknął się — potem wrzucił mnie do kajuty, z której uciekł, i zamknął mnie. Co

działo się dalej, dowiedziałem się dopiero wówczas, kiedy Bocco uwolnił mnie stamtąd. Bocco sam opowie państwu o dalszych wydarzeniach.

— Udało mi się porozmawiać z wyspiarzami i przekonać ich, by nie słuchali Slaytona — rzekł Bocco. — Nad ranem Slayton zwołał wszystkich i kazał przygotować się do walki z wami — Bocco wskazał na Huttlinga. — Ale wszyscy bez wyjątku odmówili mu. Slayton krzyczał, tupał nogami. „Zabiję” — powiada. A na to ja mówię: „Co będziemy robili z nim ceregiele? Zwiążmy go!” My do niego — a on w nogi. Pobiegliśmy za nim, ale gdzie tam! Skoczył do wody i znikł. Poszliśmy szukać Floresa. Wpadłem na myśl, żeby zajrzeć na węglowiec, a on tam leży. Wypuściliśmy go i oto jest tutaj!

Simpkins z napiętą uwagą słuchał tej relacji.

— Więc Slayton żyje i znajduje się na wyspie. Ale Simpkins też jest na wyspie. Oznacza to, że Slayton będzie aresztowany — zawołał nagle.

IX. „Bogowie się mszczą”

Nazajutrz profesor Lüders zaprosił do siebie Thompsona, jego asystentów, Huttlinga i Simpkinsa. Stary uczony mieszkał na peryferiach wyspy, na hiszpańskiej karaweli. Statek miał kwadratową rufę, wieżyczki na dziobie i rufie, wysokie burty, bukszpryt i cztery proste maszty: fokmaszt, grotmaszt i dwa bezanmaszty. Na trzech tylnych masztach znajdowało się łańciskie ożaglowanie, na przednim — pozostały tylko dwie reje.

Do siedziby starego uczonego szło się po chwiejnym mostku.

— Jakie to dziwne! — zawołał Huttling wchodząc na mostek. — Więc nawet żagle mogą się tak długo zachować? Przecież ten statek liczy sobie co najmniej dwieście lat?

— Ma pełnych trzysta — odparł Lüders, który towarzyszył gościom. — Własnoręcznie odnawiałem ten skarb. Muszę się przyznać, że wyglądał dość żałośnie. Jednej rzeczy nie udało mi się dokonać: nie wyprostowałem pozycji karaweli, tak mocno ścisnęły ją i przechyliły sąsiednie statki. Mam z tego powodu pewne kłopoty z mieszkaniem. Zobaczycie państwo sami. Proszę za mną.

Goście zeszli wąskimi drewnianymi schodkami do dużej kajuty. Koło ścian stały drewniane ławy na toczonych nóżkach. Całą szerokość jednej ściany zajmowała szafa własnej roboty, zawierająca stare rękopisy i dzienniki okrętowe.

— Ostrożnie — uprzedził Lüders — ja przyzwyczyłem się już do chodzenia po pochylonej podłodze. Tu, w tej bibliotece, znajduje się ogromne bogactwo.

— Bogactwo? Jakiego rodzaju? — spytał Simpkins.

— Naukowe. Zresztą nawet nie tylko naukowe. Oto dokumenty ze statku „Sybilla”. Niejaki Sebastiano Saproso, który znajdował się w służbie hiszpańskiej, wiózł kilka beczek złota z Brazylii do Hiszpanii. Sebastiano nie dotarł do brzegów Hiszpanii. Statek został zniszczony do wyspy.

— Pan znalazł ten dokument na „Sybilli”, to znaczy, że statek istnieje jeszcze? — zapytał Simpkins.

— Tak, stoi za starym węglowcem, na południe od „Elżbiety”.

— No, a złota pan nie szukał?

— A na co mi złoto? — odpowiedział po prostu Lüders. — Może złoto zachowało się tam również. Jak stwierdza dokument, miało się ono znajdować w ładowni. Ale statek jest tak zniszczony, że szaleństwem byłoby schodzenie do ładowni. W sąsiednich kajutach — ciągnął dalej Lüders — znajdują się moje zbiory.

— Czy nie badał pan podwodnej części wyspy? — zapytał Thompson.

— Niestety, nie — odpowiedział Lüders z westchnieniem. — Mamy tu wprawdzie stroje dla nurków, ale nie umiałem naprawić pomp powietrznych. Draga i loty — to wszystko, co miałem do dyspozycji.

— Skąd Sebastiano wziął tyle złota? — zainteresowała się Vivian.

— To ciekawa historia. Sebastiano Saproso został wzięty do niewoli przez Indian ze szczepu Bororo w lasach Centralnej Brazylii. Wojownicy Bororowie postanowili zabić go i zaprowadzili na miejsce kaźni. Udało mu się wyrwać z rąk Indian. Ten awanturnik przeszedł widocznie wielką szkołę życia i zapewne był zawodowym żonglerem i akrobatą jarmarcznym. Saproso zaczął przeskakiwać nad głowami dzikusów, robił takie wołty w powietrzu, wyczyniał takie piruety i salta mortale, że wywołał niezwykły zachwyt wśród swych dręczycieli. Uczucie nienawiści do cudzoziemca ustąpiło w sercach Indian miejsca nieomal ubóstwieniu. Sebastianowi darowano życie, ale nie zwrócono mu wolności. Kilka miesięcy mieszkał wśród Indian, poznał ich prosty język i obyczaje. Często widział, jak Indianie przynosili ogromne bryły złota rodzimego i zanosili w głąb lasu jako ofiarę na cześć jakiegoś bóstwa leśnego. Saproso nie mógł się dowiedzieć, w którym miejscu znajduje się bożek, ukrywano to bowiem skrzętnie. Jednakowoż przypadek mu pomógł. Oto jak sam Sebastiano opisuje ten wypadek.

Lüders otworzył stary rękopis w na wpół zbutwiełej skórzanej oprawie, przerzucił poźółkłe pergaminowe stronicie ozdobione fantazyjnie wykonanymi inicjałami i naiwnymi rysunkami i przeczytał:

Pewnego ranka, kiedy wszyscy mężczyźni znajdowali się na polowaniu, a kobiety zajęte były rozcieraniem korzenia manioku, z którego wyrabiają napój wysokowy kashiri, znalazłem się na krańcach wioski: usłyszałem jęki płynące z szałasu, stojącego samotnie na skraju puszczy. Wszedłem do szałasu i ujrzałem dziewczynę, spętaną sieciami. Duże czarne mrówki kąsały ją boleśnie. Ciało nieszczęśliwej wiło się z bólu, twarz miała wykrzywioną, na wargach różową pianę — dziewczyna zagryzła usta do krwi — wywrócone oczy zaszyły bielmem. Wzruszony widokiem tych cierpień rozwiązałem sieć i zacząłem łapać mrówki, rozdeptywałem je i wyrzucałem z szałasu. Potem wziąłem sieć i znów nakryłem dziewczynę, która z wdzięczności zaczęła całować mnie po rękach. Pomyślałem sobie, że dziewczyna może podziękować mi w bardziej realny sposób. Powiedziałem do niej:

— Dziś w nocy, kiedy szaman uwolni cię z sieci, przyjdiesz do Błękitnego Strumienia i pójdziesz ze mną...

Dziewczyna skinęła głową i rzekła:

— Zrobię to, co każesz. Zrobię to w imię łaski, którą mi okazałeś zmniejszając moje cierpienia.

W nocy przyszła nad Błękitny Strumień i weszliśmy w głąb puszczy. Około północy znaleźliśmy się na polanie, na której środku znajdowało się wysokie wzgórze. Księżyc w pełni wiszący nad naszymi głowami wyraźnie oświetlał dużego drewnianego bożka stojącego na szczycie wzgórza. Bożek, aż do kolan znajdujących się na poziomie wzrostu człowieka, zasypany był lśniącymi bryłami rodzimego złota. Ukłoniłem się bożkowi do ziemi, niepostrzeżenie podniosłem bryłkę złota wielkości gęsiego jajka i zwracając się do dziewczyny, rzekłem:

— Teraz odejdę. Wskaż mi drogę w stronę morza.

Dziewczyna zamyśliła się i powiedziała:

— Dobrze. Sam drogi nie znajdziesz. Wkrótce przyjdą tu kaptani z ofiarami. Uciekajmy.

I pobiegliśmy. Zginąłbym dwadzieścia razy, gdyby nie pomoc dziewczyny. Ostrzegła mnie przed sidłami, zatrutymi kolcami, głębokimi dołami przykrytymi liśćmi, chroniącymi świętego miejsca: umiała znajdować strumienie i jagody jadalne. Znała każdą ścieżkę w lesie. Wyszliśmy na brzeg w momencie, gdy załoga „Sybilli”, która straciła nadzieję na mój powrót, podnosiła kotwicę i żagle gotując się do odjazdu. Kiedy mnie zobaczono, posłano po mnie

Łódź. Opowiedziałem moim towarzyszom o wszystkich przygodach, pokazałem brytkę złota i przekonywałem ich, że powinni pójść ze mną po złoto. Zgodzili się i udało się nam przynieść na statek tyle złota, że napełniliśmy nim trzy beczki po słońnie.

— Oto skąd pochodzi owo złoto — zakończył Lüders kładąc rękopis na kolanach.

— A co się stało z dziewczyną — spytała Vivian.

— Dziewczyna powiedziała Sebastianowi, że ją zabiją, jeśli wróci do domu, i pojechała z nim. Dalej rękopis opowiada o przygodach podczas pływania, o burzy, o przybyciu tutaj, o zagładzie załogi. Oto ostatnie słowa dziennika:

Straciłem rachubę czasu. Głowa mi płonie. Ręce drżą. Dokoła trupy. Nie mam siły wyrzucić martwych za burtę. Dziś przed wschodem słońca biedna dziewczyna skoła na moich rękach. Umarła spokojnie, z uśmiechem na ustach. A poprzedniego dnia wieczorem mówiła w gorączce ze strachem: „Bogowie się mszczą... Tej beczki złota...”

Na tym rękopis się urywa.

Lüders skończył czytanie, a zebrani kilka minut siedzieli bez słowa pod wrażeniem usłyszaney historii.

— Tak — odezwał się wreszcie Lüders — mam całą bibliotekę takich historii. Zebrałem ich chyba więcej niż Slayton.

— Widzę, że wzruszyła panią ta opowieść — zwrócił się Lüders do Vivian. — Jeśli państwo nie będziecie mieli nic przeciw temu, proponuję zrobienie małej wycieczki po wyspie. Zobaczycie prawie całą historię budownictwa okrętowego.

Wszyscy zgodzili się chętnie i wyszli na górę. Lüders, jak gdyby pragnął wynagrodzić sobie długoletnie milczenie — mówił bez przerwy.

— Proszę popatrzeć na tę powierzchnię wód — powiedział wskazując na bezgraniczny przestwór oceanu. — Ocean Spokojny i Atlantycki zajmują obszar dwustu pięćdziesięciu pięciu milionów kilometrów kwadratowych — obszar dwukrotnie większy od pięciu części świata razem. Nie bez podstaw ocean był od dawien dawna symbolem nieskończonej mocy, nieujarzmionej woli. Nieprzebrana jest jego dobroć i groźny jest jego gniew... Nieskończenie dużo daje, lecz może również zabrać wszystko — życie samo. Toteż nic dziwnego, że w starożytności oddawano mu hołd jak bóstwu. Lecz i to „bóstwo” pokonane zostało w tej samej chwili, kiedy człowiek pierwotny, który wpadł do wody, uczepił się przypadkowo pływającego pnia i przekonał się, że ten kawał drewna utrzymuje go na powierzchni wody. Od tej chwili rozpoczyna się historia ujarzmienia oceanu — historia żeglugi. Nadać kawałkowi drewna jak największą stateczność, nauczyć się kierować nim według własnej woli — oto na czym polegał postęp w budownictwie okrętów w ciągu wielu tysiącleci. W moim „muzeum” znajdują państwo wiele takich prymitywnych statków. Oto tam, między starym okrętem liniowym i małym parowcem, widzicie państwo kilka kłoców związanych gałazkami. Tratwa to ogromny krok naprzód w porównaniu z prostym, nieobrobionym pniem — posiada większą stateczność i ładowność... A tam, w pobliżu tratwy, wysoko podniosła dziób lekka piroga. Lecz bez wiosła i żagla mogły te statki pływać tylko z prądem. Starożytni Egipcjanie, Babilończycy, Fenicjanie znali już zastosowanie wiosła i żagla. Niestety, kolekcja moja ma dużą lukę. Mogę pokazać państwu statki zbudowane w zamierzonych przedhistorycznych czasach i które zupełnie w ten sam sposób buduje się na wyspach, zamieszkałych przez dzikie plemiona. Ale nie znalazłem tutaj ani egipskich statków, ani greckich. Omińmy ten czcigodny żaglowiec. Pokażę państwu najstarszy statek na Wyspie Zaginionych Okrętów.

Wszyscy zeszli po mostkach i po chwili zatrzymali się przed kadłubem statku o dziwnym kształcie.

— Proszę się przyjrzeć — rzekł Lüders wyciągając rękę.

Na wprost przed Vivian znajdowała się twarz półwierzęcia-półczłowieka. Ptasi nos, wielkie okrągłe niewidzące oczy, wyszczerzona lwia paszcza i włosy kobiety wywierały silne wrażenie swą brutalną, pełną wyrazu pięknnością. Twarz była wyrzeźbiona w drzewie i przy-mocowana do zaostrego dziobu wąskiego, długiego statku. Słońce, wiatr i słona woda zni-szczyły bardzo tę fantastyczną twarz pełną bruzd wyglądających jak zmarszczki. Wydawało się to oblicze równie starym i zagadkowym jak oblicze sfinksa.

— Tysiąc lat spogląda ten potwór na fale oceanu — rzekł Lüders — i mógłby nam wiele opowiedzieć, gdyby drewniany język umiał mówić. Opowiedziałby nam o nieustraszo-nych ludziach północy — Wikingach — którzy odważyli się na tym wąłym stateczku rzucić wyzwanie siwym przestworom oceanu. Mieściło się tu co najmniej siedemdziesięciu śmiał-ków. Pracowali wiosłami, ustawiali czworokątny kasztel tylny, a w przedniej części statku — mały pokład dla wojowników. W ósmym-dziewiątym wieku jeszcze nie budowano kasztelu. Te oto tarcze na kasztelu służyły do obrony wiosłarzy.

— Mnie zdumiewa jedno — rzekł Huttling — jak mógł ten północny ptak morski zalecieć tak daleko na południe? Szaleni piraci — szaleni w swej odwadze — musieli przecież jak wszyscy ludzie jeść i pić słodką wodę. Czy mogli na tej skorupie mieć zapasy niezbędne na tak daleką podróż?

— Ja również o tym myślałem — odparł Lüders. — Najprawdopodobniej jakaś silna burza zaniósła ten statek daleko na południe. I nieszczęsnych żeglarzy spotkał los wszystkich zagubionych na oceanie: głód, pragnienie, krwawa walka o ostatni łyk słodkiej wody. Żywi karmili się ciałami zmarłych towarzyszy, aż w końcu musieli wyrzucić za burtę szczątki roz-kładających się zwłok... Wytrzymał najsilniejszy. Samotny, dręczony pragnieniem, płynął jeszcze kilka dni po nieskończonej powierzchni oceanu, otoczony przez rekiny, ze stadem drapieżnych ptaków nad głową, do ostatniej chwili nie tracąc nadziei ujrzenia lądu. Wreszcie umierał również ten ostatni, a samotny statek stawał się igraszką wiatrów i błąkał się po mo-rzu tak długo, aż prąd zniósł go do naszej wyspy. Lecz tę smutną wyspę widziały tylko ślepe, drewniane oczy chimery...

...Niedaleko stąd stoją dwa statki hanzeatyckie. Zaledwie trzy lub cztery stulecia dzielą okres budowy tych statków od czasu, gdy ten stateczek pierwszy raz wypłynął na morze. Lecz spójrzcie, jaki dokonał się postęp!

Wycieczka, prowadzona przez Lüdersa, przechodząc z pokładu na pokład, zbliżyła się do statków hanzeatyckich pochodzących z XIV wieku.

— Te czcigodne statki kupieckie budowano nie tylko do celów handlowych, lecz również do walki z pirackimi statkami Normanów, które oglądaliśmy przed chwilą. Proszę zwrócić uwagę: podobnie jak statki skandynawskie, posiadają statki Hanzy wzniesienia na dziobie i rufie. Mieściły się tu katapulty, a nawet działa. Powierzchnia żagli wzrastała coraz bardziej. I wobec dużego naporu wiatru na żagle, kierowano statkami już nie za pomocą wiosła, lecz sterem mocno osadzonym na tylnicy. Te statki swobodnie żeglowały po Morzu Śródziemnym... Zmęczyła się pani? — spytał widząc roztargnienie Vivian.

— Nie — odpowiedziała — po prostu zamyśliłam się.

— Nad czym?

— Nad ofiarami morza, nad tymi wszystkimi tragediami.

— W miarę postępu w budownictwie okrętów było tych ofiar i tragedii coraz mniej, mistress Huttling. Proszę popatrzeć na tę portugalską karawelę. Właśnie na takim statku Kolumb wyruszył w podróż do nieznanych krain. W istocie rzeczy te karawele zamykają „bohaterski” okres żeglugi morskiej. Wiek dziewiętnasty przyniósł zastosowanie pary jako nowej potężnej siły napędowej. Podróże morskie stawały się bezpieczniejsze i... nudniejsze. Jeśli się pani nie zmęczyła, to przejdziemy na zachodni brzeg naszej wyspy. Dziwnym zbie-giem okoliczności prąd przenosił tam prawie wyłącznie statki parowe. Zobacz tam pani dzia-dka parostatków — mały parowiec kołowy „Savannah”, zbudowany w latach trzydziestych

dziewiętnastego wieku. Ma on zaledwie trzydzieści metrów długości. A w latach czterdziestych ubiegłego stulecia zbudowano już pierwszy parowiec śrubowy z żelaza. Stanowi on zaczątek współczesnego budownictwa okrętowego.

Vivian nie chciała urazić Lüdersa, lecz chodzenie po chwiejnych mostkach i pochyłych pokładach wyspy zmęczyło ją. Przy tym nie interesowała się zbytnio historią budownictwa okrętowego. Jej mąż był inżynierem budowy okrętów. Miał wiele książek z tej dziedziny i dużo modeli.

— Czy nie odłożylibyśmy spaceru na cmentarzysko parowców? — zapytał Simpkins, który chciał jak najszybciej wrócić do kajuty i przemyśleć plan, jaki dojrzał mu w głowie.

— Proszę bardzo — zgodził się Huttling. — Mamy jeszcze sporo czasu i zdążymy bez pośpiechu obejrzeć wszystkie godne uwagi zakątki wyspy.

— Dobrze — rzekł rozczarowany nieco Lüders.

Odprowadził gości i pożegnawszy się z nimi w połowie drogi, wrócił do siebie...

— Tę Wyspę Zaginionych Okrętów — rzekła Vivian do męża w drodze powrotnej — można by nazwać Wyspą Okropności. Wątpię, czy na kuli ziemskiej można znaleźć inne miejsce, gdzie na tak małym obszarze skupiłoby się tyle ludzkich cierpień...

A Simpkins, który został w tyle za Huttlingami, poszedł wolno na południe i długo przyglądał się na wpół zniszczonemu statkowi „Sybilli”. Tego dnia, wymawiając się bólem głowy, nie przyszedł nawet na obiad. Pochłaniała go myśl o złocie leśnego bożka. Postanowił zdobyć to złoto za wszelką cenę!

Simpkins nie mógł się doczekać nocy i natychmiast po zapadnięciu zmroku zaczął przygotowywać się do drogi. Wziął plecak, latarkę elektryczną, duży nóż i linę — z pistoletem nie rozstawał się nigdy — i wyszedł z kajuty.

Niebo usiane było wielkimi gwiazdami. W powietrzu pachniało wilgocią, zgniłym drzewem, wodorostami, odrobiną dziegciu — zwykłą wonią wyspy, silniejszą o wieczornej porze. Było cicho. Wszyscy spali, prócz dwóch wartowników przed rezydencją gubernatora. Simpkins szedł pewnym krokiem — dobrze już poznał wyspę — i wkrótce znalazł się u celu. „Sybilla” stała zaledwie w odległości dwóch metrów od zbitej masy statków tworzących wyspę. Simpkins oderwał dużą deskę z pokładu barki i przerzucił na „Sybillę”. Stąpając ostrożnie wszedł na pokład. Po pierwszym dotknięciu ręką, pękła balustrada.

„Oho, trzeba tu być ostrożnym!” — pomyślał Simpkins. Deski pokładu były na pół zgniłe. Nogi stapały po nich miękko. Simpkins podszedł do złamanego masztu, przywiązał do niego koniec liny, opasał się drugim końcem, zapalił latarkę i zaczął powoli schodzić po prawie prostopadłych schodach. Chcąc uniknąć złamania stopni, nie stawał na nich, lecz zjeżdżał całym ciałem. Podłoga wydawała się tu trochę mocniejsza. Lecz trzeba było spuścić się jeszcze niżej — do ładowni.

Simpkins znów wszedł na górę, odwiązał sznur, zszedł do wnętrza statku, przymocował sznur do słupa i podniecony, zaczął schodzić po stopniach wiodących do ładowni. Panował tam nieznośny zaduch. Podłogi i ściany pokryte były śluzem i mchem. W końcu ładowni, na opadającej w dół podłodze latarka oświetliła miejsce zalane wodą. Widocznie część ładowni była zatopiona. Wśród rozmaitych gratów okrętowych widać było szkielety.

Wyspiarze sprzątnęli je widocznie z górnych pokładów, lecz tu zapewne nikt nie dotarł.

„Tym lepiej — pomyślał Simpkins. — A no, zobaczymy!” — i zaczął oglądać beczki. Prawie wszystkie były puste. Na dnie jednej znalazł ludzkie kości; prawie we wszystkich roiło się od raków morskich, robactwa i mięczaków. Simpkins odczuwał organiczny wstręt do tych stworzeń, lecz pokonywał odrazę i szukał dalej, zbliżając się coraz bardziej do miejsca zalanego przez wodę. I tu, już stąpając w wodzie, znalazł owe upragnione beczki ze złotem. Co prawda były to dwie beczki, a nie trzy, a jedna była napełniona złotem tylko do połowy, lecz i tej reszty mogło mu wystarczyć na całe życie... Złoto było pokryte taką warstwą pleśni, że można go było nie spostrzec, lecz Simpkins wiedział, czego szukał. Z obrzydzeniem

odgarnął pleśń; nagle błysnęły wielkie bryłki złota, szlifowane przez Indian. Simpkins ciężko dyszał z przejęcia. Nappełnił plecak złotem, napchał kieszenie, wreszcie zaczął kłaść złoto za koszulę. Nieprzyjemne było dotknięcie śliskich, zimnych kawałków, lecz to było złoto, złoto! Jeszcze jeden kawałek...

Lecz Simpkinsowi nie udało się wziąć jeszcze jednego kawałka. Przegniła podłoga zawaliła się pod ciężarem człowieka obładowanego złotem. Simpkins poczuł, że zanurza się w wodzie. Ledwie zdążył uchwycić się skraju podłogi. Rozległ się nowy trzask — to beczki ze złotem wpadły do wody. Trudno było trzymać się przegniłych desek rozłazących się pod rękami. Złoty ciężar ciągnął go nieuchronnie na dół. Simpkins czuł, że ginie. A gdyby tak pozbyć się części złota... Nie, nie! Wydostanie się, wydostanie za wszelką cenę! Trzeba pociągnąć za sznur. Simpkins chwycił sznur obiema rękami. Latarka, którą miał zawieszoną na piersi, zaczepiła o deski podłogi, urwała się i spadła do wody... Ciemność. Zaklął i pociągnął za sznur. Gdzieś rozległo się trzeszczenie. Widocznie nie wytrzymał również zgnity słup, do którego sznur był przywiązany. Simpkins runął do wody i spostrzegł, że latarka, która spadła na dno statku, świeci dalej. W tym słabym świetle ujrzał gronorosty, długie ryby, podobne do węzów, a w pobliżu — ruchliwe macki ośmiornicy.

Nogi Simpkinsa dotknęły dna statku, stojąca woda zamknęła mu się nad głową. Zaczął gorączkowo ściągać z siebie plecak ze złotem i wyrzucać złoto z kieszeni. W ciągu trzydziestu sekund pozbył się dwóch trzecich ładunku i dzięki ogromnemu wysiłkowi wydostał się na powierzchnię. Zaczął znów oddychać, lecz ciężar był jeszcze zbyt wielki i Simpkins znów zanurzył się w wodzie. Ośmiornica zbliżała się wyciągając macki. Simpkins zaczął szybko wyrzucać złoto — do ostatniego kawałka. Światło latarki przyciągało mieszkańców morza, ryby i ośmiornice, które zaczęły spływać zewsząd. Po wyrzuceniu ostatniego kawałka złota, Simpkins, który stał się lżejszy, znów wypłynął. Tym razem udało mu się chwycić za wystające odłamki desek i wdrapać się na podłogę. Tu, ogarnięty potwornym strachem, krzyknął przeraźliwie.

Gdzieś daleko, na drugim końcu statku, rozległ się nagle głos człowieka. Simpkins już chciał krzyknąć drugi raz, lecz nerwowy skurcz zdławił mu gardło. Poznał głos kapitana Slaytona, chociaż nie mógł odróżnić słów. Slaytonowi coś odpowiedział Chińczyk. Jeśli Slayton znajdzie go tutaj — pomyślał Simpkins — to zguba pewna. Bezszelestnie, jak wąż, poczołgał się po podłodze i ukrył między beczkami. Głosy ucichły. Tak przeleżał do rana.

Kiedy słaby promień światła przedostał się z góry, Simpkins cicho poczołgał się na pokład, wyszedł nie zauważony przez nikogo i mokry, przygnębiony, rozbity, dotarł do swojej kajuty.

X. Tajemnica kapitana Slaytona

Na pokładzie „Elżbiety” siedziały w wyplatanych fotelach Maggie i Vivian. Vivian trzymała na kolanach koszyk z pomarańczami, a dokoła uwijali się czworonożni mieszkańcy wyspy — małpy. Jedna siedziała na oparciu fotela i z zachwytem gryzła wielką pomarańczę. Druga, przykucnąwszy koło Vivian, grzebała w koszu, wybierając najbardziej soczysty i dojrzały owoc. Trzy inne, robiąc komiczne grymasy, kręciły się dokoła młodej kobiety i czekały na nowe dary.

— Zejdź stąd, Gillie — powiedziała Maggie do małpy siedzącej na oparciu fotela i zwracając się do Vivian, dodała: — On panią obryzga sokiem pomarańczowym. — Chodź do mnie, chłopczyku! — Maggie zdjęła małpę z fotela i wzięła ją na kolana.

— I co było dalej, Maggie? — spytała Vivian.

Maggie ciągnęła dalej opowieść o swym życiu na wyspie po wyjeździe Huttlingów. Vivian słuchała uważnie, karmiąc małpy.

Nagle spytała z lękiem:

— Kto to jest?

Maggie spojrzała we wskazanym kierunku. Do „Elżbiety” zbliżał się jakiś człowiek w ubraniu z płótna żaglowego, z włosami sięgającymi ramion i wielką brodą.

— To jakiś nowy? Nigdy go nie widziałam.

— To jest „dziki człowiek” — odparła Maggie. — Tak nazwali go wypiarze. Chciałam pani opowiedzieć również o nim, ale sam przypomniał o sobie. Znaleźliśmy go na Nowej Wyspie. Było z nim dużo kłopotów. Bał się wszystkich, krył się po kątach i siedział tam jak wilczek. Jadał tylko surowe ryby, połykając całe kęsy jak zwierzę. Był brudny, zły, posepny, nieufny. Od czasu kiedy znalazł się u nas na wyspie, nikt nie słyszał od niego słowa. Jest niemy. Nie wiadomo dlaczego odnosi się z zaufaniem tylko do starego Bocco. Bocco namówił go, żeby się umył i włożył to ubranie. Ale nie udało się ostrzyc mu włosów ani obciąć paznokci.

— Czy jest niebezpieczny? — spytała Vivian przyglądając się nadchodzącemu.

— Nie, jest bardzo spokojny. To dziwne, że idzie tutaj. Zapewne pani suknia, rzecz tak niezwykła na wyspie, przyciągnęła jego uwagę.

Dziki człowiek wszedł na pokład, zbliżył się do siedzących kobiet i zaczął bacznie patrzeć prosto w oczy Vivian. Vivian nie wytrzymała natarczywego spojrzenia. Strach ją ogarnął.

— Chodźmy do kajuty — powiedziała do Maggie. I zostawiwszy małpom koszyk z pomarańczami, na który rzuciły się krzykliwą gromadą, Vivian poszła do kajuty. Maggie ruszyła za nią.

— Jakie dziwne wrażenie sprawia ten tubylec!... Ale nie... Ma białą skórę i rysy twarzy Europejczyka. To jest raczej zdziaczały biały człowiek. Dlaczego tak dziwnie popatrzył na mnie?

Vivian poruszona do głębi chodziła tam i z powrotem po kajucie.

— Przypomina jeden z tych zaginionych okrętów — ciągnęła dalej. — Tak jak te zmurszałe ruiny był kiedyś młody, żył pełnią życia...

— Nie trzeba się tak przejmować! Niech się pani uspokoi. Może pani coś zagra. Tak stęskniłam się za muzyką! — powiedziała Maggie chcąc zwrócić myśli Vivian w innym kierunku.

— Dobrze, zagram coś — rzekła Vivian.

Podeszła do fortepianu, pochyliła głowę i po chwili namysłu zagrała Sonatę Patetyczną Beethovena.

Nagle ktoś wszedł do kajuty. Vivian przerwała i ujrzała przed sobą twarz nieznajomego. Okolona skołtunionymi włosami wyglądała strasznie. Nieznajomy miał szeroko otwarte oczy, dyszał ciężko, a dolna szczęka trzęsła mu się konwulsyjnie.

W jaki sposób wszedł tutaj? Maggie siedziała odwrócona do drzwi plecami, muzyka zagłuszyła kroki idącego.

Vivian zerwała się z miejsca, oparła się o fortepian i ledwie panując nad sobą patrzyła na nieznajomego. A on, nie spuszczać z niej wytężonego spojrzenia, usiłował coś powiedzieć.

— Be-bee... ho!... — jego zachrypnięty głos przypominał beczenie kozła.

I nagle, jak gdyby zapomniawszy o Vivian, nieznajomy nachylił się nad fortepianem, rozcapierzył długie, wygięte palce i zaczął chciwie oglądać klawisze, jak sęp gotujący się do zagłębienia szponów w ciele ofiary. Potem stała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Nieznajomy zasiadł do fortepianu i zaczął grać.

Była to straszna muzyka, nieartykułowana jak jego mowa. Długie paznokcie przeszkala-

dzwały mu w grze. Nieznajomy krzyczał niecierpliwie, przerywał na chwilę, odgryzał kolejny paznokiec i grał dalej.

I mimo to, że jego gra była potworna, można w niej było rozpoznać Sonatę Patetyczną Beethovena. Nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek uczył się kiedyś muzyki.

Oszołomiona Vivian odeszła na bok, usiadła na fotelu i zasłuchała się. — I rzecz zdumiewająca — muzyka wkrótce porwała ją całkowicie... W jej oczach odbywał się przełom w duszy człowieka. Im dłużej nieznajomy grał, tym grał lepiej, frazy muzyczne były coraz wyraźniejsze. Odzwyczajone palce istotnie odmawiały mu posłuszeństwa, mimo to jednak z każdą chwilą coraz lepiej radził sobie z instrumentem. Mimo rażących błędów popełnianych przez nieposłuszne ręce, rozbrzmiewały fragmenty o niezwyklej plastyce.

Była pora obiadu. Huttling usłyszawszy grę na fortepianie wszedł do kajuty, by zawołać Vivian, i stanął jak wryty przy drzwiach. Vivian dała mu znak ręką, prosząc, by nie przerywał.

Pozostali członkowie ekspedycji, nie mogąc się doczekać Huttlingów, również zeszli do kajuty. Najpierw przybył Thompson i jego asystenci, następnie zjawił się Flores, Lüders, a na końcu Simpkins. Detektyw był przygnębiony. Lecz tym niemniej z ogromnym zainteresowaniem, uważniej niż inni, obserwował nieznajomego. Zebrani milczeli i słuchali wstrzymując oddech.

A obcy grał dalej. Po zakończeniu jednej sonaty, zaczynał grać drugą, trzecią, czwartą. Twarz mu się rozjaśniła, w oczach ukazał się błysk myśli, a na ustach pojawił się smutny uśmiech. Nagle przerwał frazę muzyczną w połowie taktu, pochylił się i upadł jak martwy.

Pół godziny leżał nieprzytomny. Kiedy zaczęto się już niepokoić, czy uda się go ocucić, otworzył oczy. Znajdował się widocznie pod urokiem muzyki. Następnie usiadł na sofie, przyjrzał się wszystkim i widząc kobiety zapiął kołnierzyk koszuli.

Muzyka wywarła na niego niezwykle wpływ. Zaczął mówić, chociaż nie mógł sobie przypomnieć swego imienia i przeszłości. Stawał się bardziej towarzyski, lecz zarazem coraz bardziej onieśmielony. Pozwolił sobie ostrzyć włosy, obciąć paznokcie, zgolić brodę i wąsy.

Kiedy ubrany w jeden z garniturów Slaytona, wygolony, uczesany i umyty zjawił się w kajucie ogólnej, był zupełnie innym człowiekiem.

„Do kogo on jest podobny? — myślała Vivian przyglądając się nieznajomemu. — Gdzie ja widziałam taki nos, taki podbródek? A raczej niezupełnie taki. On ma bardziej prawidłowe rysy twarzy”. — Nagle przypomniała sobie coś i aby sprawdzić to przypuszczenie, zwróciła się do Simpkinsa:

— Prawda, że on jest podobny do kapitana Slaytona?

Nie wiadomo dlaczego słowa te podziały silnie na Simpkinsa.

— Ehe — odrzekł z ożywieniem. — Więc jednak nie nadaremnie przyjechałem na wyspę!

Kiedy nieznajomy wyszedł z kajuty, Simpkins zwracając się do Huttlingów powiedział:

— Sądzę, że teraz można wyjawić wszystkim tajemnicę kapitana Slaytona. Ona właśnie sprowadziła mnie na wyspę. Znalazłem tu więcej, niż oczekiwałem. Nie mogę powiedzieć, że już wszystko jest dla mnie jasne, lecz mam w ręku główne nici zbrodni Slaytona. O, nadchodzi Flores... Niech pan siada i posłucha. Zaciekawi pana na pewno historia pańskiego rywala.

I rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, Simpkins rozpoczął swą opowieść.

— Kiedy znalazłem się po raz pierwszy na wyspie jako rozbitek, to z zawodowego nawyku zainteresowałem się prywatnym archiwum gubernatora Slaytona. Gubernator był tak pewny siebie, że zaniechał ostrożności i przechowywał papiery w szufladzie biurka.

— Simpkins, czyżby pan?...

— Przeszukiwał cudze biurka? — Mój drogi, cel uświęca środki! Tak, robiłem to w nieobecności Slaytona. Dobrać klucz to głupstwo. Przejrzałem jego korespondencję i dowiedziałem się niezwykle ciekawych rzeczy. Resztę informacji uzyskałem na kontynencie. W

wyniku moich poszukiwań powstała „sprawa obywatela Hortvana, posługującego się nazwiskiem Slayton. Jeślibym miał wyłożyć szczegóły tej sprawy stylem aktu oskarżenia, będzie to brzmiało mniej więcej następująco:

W Kanadzie, w prowincji Quebec, w mieście Montrealu mieszkał właściciel przedsiębiorstwa okrętowego Robert Hortvan, którego statki przewoziły ładunki i pasażerów po Rzece Świętego Wawrzyńca. Hortvan miał dwóch synów. Starszy nazywał się Abraham, młodszy Edward. Bracia byli całkowicie do siebie niepodobni. Młodszy, Edward, był dobrym synem, dobrym człowiekiem i wybitnie utalentowanym muzykiem.

Starszy, Abraham, prowadził lekkomyślny tryb życia. A ponieważ ojciec był wielkim skąpcem, Abraham pewnego razu wykradł pieniądze z ojcowskiego biurka. Mało tego. Kiedy kradzież została ujawniona, zwalił winę na brata. Jednak ojciec nie uwierzył Abrahamowi, który zresztą po pijanemu przyznał się do wszystkiego. A więc ojciec wydziedziczył go, zapisując cały majątek młodszemu synowi. Wkrótce starzec umarł ze zgryzoty i jak się zdaje wskutek otłuszczenia serca. Edward stał się bogatym spadkobiercą. W tym czasie ukończył konserwatorium i przygotowywał się do koncertów w Europie. Z dobrego serca oddał znaczną część spadku bratu. Lecz ten przehulał wszystko i znów został bez pieniędzy. Wówczas Abraham ułożył plan zdobycia całego majątku brata.

Otrzymawszy dzięki szantażowi kilka tysięcy dolarów od pewnego bankiera w Montrealu, puścił pieniądze w ruch. Przekupił lekarzy, kilku urzędników sądowych i uzyskał to, że Edward został uznany za chorego umysłowo, a Abrahama wyznaczono jego opiekunem. Nieszczęśliwego muzyka zamknięto w szpitalu dla wariatów, a Abraham, zagarnawszy majątek brata, wrócił do hulaszczego trybu życia. Ale wkrótce powinęła mu się noga. Nie umiał rozliczyć się przed radą opiekuńczą. A nie udało mu się dlatego, że w związku z wyborami do parlamentu znaleźli się w radzie nowi ludzie, z którymi nie zdołał ubić targu. Abrahamowi groziło ujawnienie jego wszystkich machinacji. Na dobitkę w szpitalu dla umysłowo chorych zaczął pracować nowy lekarz — który nie brał łapówek. Lekarz ten, po zbadaniu Edwarda, stwierdził, iż jest on zdrowy. Wówczas Abraham postanowił przenieść brata gdzieś dalej, aż sprawa ucichnie. Doszedł do porozumienia z pewnym lekarzem, który miał prywatne sanatorium na Wyspach Kanaryjskich. Podczas podróży rozpetęła się burza i zagnała ich na Wyspę Zaginionych Okrętów. Tylko trzy osoby zdołały uratować się w łodzi: Abraham, Edward i sanitariusz, który wkrótce zginął — zapewne Slayton pomógł mu rozstać się z tym padolem. Abraham pozostawił brata na Nowej Wyspie, gdzie się pierwotnie znaleźli, sam zaś przedostał się w nocy na łodzi na Wyspę Zaginionych Okrętów i oświadczył jej mieszkańcom, że tylko on sam ocalał. Edward, pozbawiony łodzi, nie mógł dotrzeć do wielkiej wyspy. Lecz Abraham widocznie odwiedzał go od czasu do czasu, by sprawdzić, co się z nim dzieje.

— A dlaczego nie zabił go? — zapytał Huttling.

— Testament został sporządzony w taki sposób, że na wypadek śmierci Edwarda cały majątek przechodził na własność uniwersytetu, w którym Edward studiował. Więc Slayton postanowił uczynić tak: zatrzymać brata na Nowej Wyspie do czasu, aż całkowicie zdziczeje. Wówczas choroba psychiczna Edwarda nie budziłaby wątpliwości. Oto dlaczego Slayton nigdy nie organizował wycieczek na Nową Wyspę. Zebrawszy ogromne bogactwa, znacznie przewyższające majątek brata, Abraham pozostawił Edwarda na łasce losu...

Tylko jednej rzeczy nie udało mi się ustalić: czy Edward jeszcze żyje. Teraz już znamy prawdę i możemy uratować tego nieszczęśliwca. Czy warto było w imię tego zajrzeć do cudzego biurka?

— Przecież pan nie wiedział, co pan tam znajdzie — odparł Huttling.

— Nie potrzeba mi cudzej własności, jestem człowiekiem bezinteresownym. Muszę teraz tylko złapać Slaytona. A to nie jest trudna rzecz. Już go znalazłem po żmudnych poszukiwaniach.

— Znalazł pan? Naprawdę?! — zawołali słuchacze.

— Tak, znalazłem, z narażeniem własnego życia — odpowiedział skromnie Simpkins.

XI. Woda i ogień

W tym samym czasie kiedy Simpkins śledził Slaytona, usiłując w miarę możliwości schwytać go bez przelewu krwi, Thompson ze swymi asystentami i Lüders przeprowadzali dokładne badania Morza Sargassowego. Zorganizowali kilka wypraw podwodnych opuszczając się na dno morza w skafandrach nurków.

Udało im się uzyskać dość dokładne dane o Wyspie Zaginionych Okrętów. Lüders z zapałem pracował nad wykresem i pewnego razu, gdy wszyscy siedzieli przy wieczornej herbacie, zjawił się z wielkim arkuszem.

— Proszę popatrzeć — rzekł, uroczyście rozwijając rulon. — Wyspa Zaginionych Okrętów znajduje się na podwodnym ściętym wierzchołku góry pochodzenia wulkanicznego. Dokoła wyspy — u stóp góry — głębokość sięga tysiąca pięciuset metrów, a od wierzchołka góry do powierzchni oceanu jest zaledwie sto metrów. Całą tę przestrzeń wypełniają zatopione okręty, tworząc jak gdyby piramidę.

— Pomnik nad grobem — rzekł Huttling.

— Tak, pomnik tysięcy ofiar morza. Lecz ta piramida, jak się okazało, jest jednocześnie miastem zamieszkałym przez podwodnych mieszkańców.

— Jak to, więc są jeszcze podwodni mieszkańcy wyspy? — spytała Vivian.

— Małże, sepie, ośmiornice. Wątpię, czy na kuli ziemskiej znalazłoby się inne tak wielkie skupisko tych stworzeń. Można zrozumieć dlaczego. Na wpół zniszczone statki stały się niezwykle wygodnymi mieszkaniami dla ośmiornic. Wpełzają przez dziury i wyglądają przez otwory iluminatorów czekając na zdobycz.

— Ale spuszczać się na dno w takim miejscu — powiedziała Vivian — to rzecz niebezpieczna!

— Jeszcze by! Trzeba poprzestać na wyprawach podwodnych do miejsc otwartych i trzymać się blisko jeden drugiego. Ale za to jakie się widzi ciekawe obrazy! Niedawno byliśmy świadkami niezwykle widowiska. Ośmiornica schwytała kraba i zaczęła się nim bawić. Krab stawiał opór, usiłował wyzwolić się z chwytliwych macek, lecz szybko opadł z sił. A ośmiornica długo jeszcze bawiła się wywijając nim w różne strony. Czasami puszczała swą ofiarę i natychmiast chwytowała znów.

Nie zbadaliśmy tylko jeszcze głębokowodnej części wyspy. Stwierdziliśmy między innymi, że im głębiej, tym prąd morski jest silniejszy. Widocznie właśnie ten prąd przyprawia uszkodzone statki do Wyspy Zaginionych Okrętów. Chcemy jutro zająć się zbadaniem tego prądu. Niech się pan wybierze z nami, panie Huttling, pan jeszcze nie opuszczał się na dno morza — zaproponował Lüders.

Vivian z obawą spojrzała na męża. Thompson pochwycił to spojrzenie i rzekł:

— Proszę się nie obawiać, tam nie ma ośmiornic. Opuścimy się wprost z „Napastnika” na otwartym miejscu w strojach nurków. Posiadają one zasobniki z zapasem sprężonego powietrza. Poza tym mamy liny, przy których użyciu można nas w każdej chwili wyciągnąć na powierzchnię, nie ma więc żadnego niebezpieczeństwa.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa? Wobec tego idę z panami — oświadczyła zdecydowanie Vivian. Thompson był trochę zakłopotany nieoczekiwanym obrotem sprawy. Lecz znał już charakter Vivian i nie spierał się. Huttlingowi również nie udało się przekonać Vivian.

— Przecież pani nie da sobie rady ze skafandrem — wtrącił Lüders. — Czy pani wie, że

on waży na powietrzu dwieście kilogramów?

— Lecz w wodzie będzie znacznie lżejszy! — odrzekła Vivian. — Jestem bardzo silna. Proszę się o mnie nie martwić.

Nazajutrz wczesnym rankiem Huttlingowie, Lüders, Thompson i jego asystenci przebrali się w stroje nurków.

Za każdym razem przed zanurzeniem Thompson wyjaśniał marynarzom na statku i nurkom znaczenie sygnałów.

— Powtarzam! Jedno szarpnięcie oznacza: „stoję na gruncie, czuję się dobrze!” Cztery razy: „podnieście na górę” *. Więcej niż cztery razy: „słabo mi, alarm...” No, wkładajcie skafandry.

Vivian nie mogła zrobić kroku w ciężkim skafandrze, pozostali zresztą tak samo. Opuszczono ich do wody za pomocą wyciągu. W wodzie wszyscy poczuli się lżejsi i odzyskali swobodę ruchów.

Wędrowcy opuścili się na stok podwodnej góry i trzymając się cienkich, lecz mocnych stalowych lin przymocowanych do pasów, zaczęli schodzić w dół. Na głębokości dziesięciu metrów już panował mrok. Thompson i Lüders, idący na czele, zapalili latarki elektryczne, lecz wkrótce zgasili je. Światło przyciągało mieszkańców morza. Można się było narazić na atak rekina lub ośmiornicy. Im niżej opuszczali się nurkowie, tym było ciemniej i zimniej. A jednocześnie odczuwało się coraz bardziej ruch wody skierowany gdzieś na dół, jak gdyby wśród spokojnych wód oceanu płynęła szybka rzeka i wędrowcy szli środkiem jej koryta. Coraz trudniej było utrzymać się na nogach. Nurkowie coraz mocniej ściskali linę, która rozwijała się w miarę zanurzania.

W zielonej półmgle mignęło ciemne cielsko — prawdopodobnie rekina. Drapieжник przepłynął obok wędrowców, znikł i zjawił się znów z przeciwnej strony. Wędrowcy skupili się ciasniej. Potwór morski odpłynął. Lecz nagle niespodzianie, z ogromną szybkością przemknął obok Thompsona i gdyby profesor się nie nachylił, rozdarłby go na dwie części, a w najlepszym razie przebiłby skafander i profesor zginąłby w wodzie. Thompson poznał w ciemnościach panujących pod wodą rybę-piłę. Zwrócił się do towarzyszy i wskazywał gestami grożące niebezpieczeństwo. Wędrowcy nie mogli rozmawiać ze sobą. Lüders położył się na dnie, za jego przykładem poszła reszta nurków. Ryba-piła kilka razy przemknęła nad nimi, jeden raz nawet potrąciła o linę Tamma i szarpnęła nią mocno. Na szczęście, jedno szarpnięcie, które oczywiście spostrzeżono na górze, oznaczało: „czuję się dobrze”. W przeciwnym razie podniesiono by go i znalazłby śmierć w paszczy ryby-piły.

Kilka minut nurkowie leżeli bez ruchu. Ryba, nie widząc zdobyczy, odpłynęła. Wszyscy odetchnęli z ulgą w metalowych hełmach i zaczęli ostrożnie wstawać. Lecz gdy ruszyli naprzód, prześladowca zjawił się znowu. Lüders przeklinał na czym świat stoi, chociaż nikt go nie słyszał. Sytuacja była poważna. Jak pozbyć się drapieznika? Każdy ruch do przodu był niebezpieczny, lecz nie mniej groźna była próba powrotu na powierzchnię. Co robić?

Müller wpadł na szczęśliwą myśl. W momencie gdy ryba odpłynęła na większą odległość, odszedł na bok, zapalił latarkę elektryczną i położył na kamieniach w ten sposób, że nurkowie pozostawali w cieniu, a światło padało w inną stronę. Następnie Müller wrócił, a wszyscy czekali, co będzie dalej. Podstęp się udał. Do latarki zaczęły się zbliżać najrozmaitsze ryby. Wkrótce zjawiła się tam również ryba-piła. Jej oczy oświetlone światłem nie dostrzegały nurków stojących w mroku. Za to wśród ryb, na które padało światło latarki, znalazło się sporo smacznych kasków, które ryba-piła zaczęła pożerać.

Wkrótce jednak zjawił się nowy drapieжник — cętkowany rekin — i podjął z rybą-piłą walkę na śmierć i życie. W oświetlonej przestrzeni wody drapieżniki atakowały się nawzajem. Odpływały, zderzały się i ścigały. Rekin usiłował podpląć z dołu i wpić ostre zęby w

* Dwa razy: „mało powietrza, pompujcie mocniej”; trzy razy: „dużo powietrza, pompujcie wolniej”. Thompson nie wymienił tych sygnałów, ich skafandry bowiem posiadały własny zapas powietrza.

brzuch ryby-piły. Lecz ona ruchem szybkim jak cięcie szabli unikała ciosu. Jednak po kilku starciach ryba-piła została ranna. Woda zabarwiła się krwią. Lecz rybie-piła udało się również zadać straszny cios rekinowi. Krew jak czerwona mgła lub tona pożaru wypełniła pole walki.

Nagle w górze szarpnięto linę trzy razy — sygnał niebezpieczeństwa: „podnosimy was”.

Co tam się mogło zdarzyć?

Nurkowie poczuli, że są wciągani na pokład statku. Wszyscy byli ogromnie podnieceni. Tam widocznie dzieje się coś niedobrego. Przeszło jeszcze kilka dręczących minut. Nurkowie z niezadowoleniem patrzyli w górę, jak gdyby spodziewając się stamtąd wyjaśnienia.

Kiedy znaleźli się w szalupie i zdjęli skafandry, dowiedzieli się o tym, co zaszło na wyspie podczas ich nieobecności.

— Simpkins i Flores — opowiedział kapitan Murray — zorganizowali oblężenie statku „Sybilla”, na którym, jak się okazuje, ukrywał się ostatnio Slayton z Chińczykiem. Slayton oświadczył, że się nie podda, i teraz właśnie rozpoczęła się strzelanina, słyszycie?

Istotnie, na wyspie rozległy się wystrzały karabinowe.

— My na razie zachowujemy neutralność — dodał Murray z uśmiechem.

Huttling zaczął oglądać teren walki przez lornetkę polową. Na skraju wyspy, koło „Sybilli” pod osłoną grubych masztów i nachylonych burt statków, skupili się atakujący. Oblężonych nie było widać. Od czasu do czasu padały wystrzały z obu stron.

Nagle na pokładzie „Sybilli” zjawił się Chińczyk. Był prawie nagi, wymachiwał jakimś przedmiotem.

Następnie podbiegł do transportowca stojącego obok „Sybilli” i rzucił weń granat. Rozległ się wybuch i nagle nad statkiem ukazały się wielkie czarne kłęby dymu.

— Ropa! Pali się ropa! — zawołał kapitan Murray, który pierwszy zrozumiał, czym to grozi.

Istotnie paliła się ropa, która znajdowała się w cysternie starego parowca. Płomień zaczął ogarniać burty statku. Płonąca ciecz spływała coraz niżej, rozplywała się po morzu, paląc się bez przerwy. Jak gdyby zapaliło się samo morze. A kłęby czarnego dymu wznosiły się coraz wyżej, jak nad kraterem wulkanu, przesłaniając słońce i spowijając wszystko gęstą zasłoną.

Strzelanina ucichła. Na wyspie zapanował popłoch. Syrena „Napastnika” zawyła na alarm. Tymczasem ognisty krąg rozszerzał się coraz bardziej, ogarniając znajdujące się w pobliżu statki. Chińczyk biegł nad płomieniem wzdłuż burty i krzyczał coś jak szalony.

— Żółta Rzeka! Wielka Żółta Rzeka!

Nagle w dymie ukazał się koło Chińczyka Bocco. Schwycił Hao-Szena i zaczął go taszczyć na drugą stronę statku, do mostku. Zapaliła się rufa „Sybilli”. Wśród dymu mignęła postać biegnąca na dziób statku. Był to widocznie Slayton, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi. Rozległ się wystrzał. Strzelał zapewne Flores, lecz chybił. Slayton biegł dalej, skoczył do wody i popłynął w kierunku Nowej Wyspy.

— Wątpię, czy się uratuje — rzekł Murray. — Płonąca ropa rozlała się na ogromnej przestrzeni.

Vivian była niespokojna o Maggie i jej dziecko.

Wkrótce jednak ujrzała ją wśród pozostałych wyspiarzy. Nie zwracając uwagi na pożar rozszerzający się z ogromną szybkością, mieszkańcy wyspy wpadali do mieszkań, by wyostać jakieś rzeczy.

— Prędkiej, Maggie, prędkiej! — krzyczała Vivian.

Łodzie bez przerwy przewoziły wyspiarzy. Maggie z dzieckiem znalazła się na pokładzie „Napastnika”. O'Hara przyniósł Chińczyka na rękach. Edward Hortvan przybył razem z Floresem. Flores był ponury. Zdawało się, że tylko on ze smutkiem rozstaje się z wyspą. Gdzie indziej nie uda mu się zdobyć stanowiska gubernatora.

— Gdzie jest Bocco? — spytała Vivian.
— Spóźnił się. Zaraz przyjdzie — odpowiedział O'Hara, któremu Chińczyk wyrwał się z rąk. Widać było, że nieszczęsny zwariował.

— Moje rękopisy! — krzyknął nagle Lüders schodząc szybko do odjeżdżającej łodzi.
— Co pan robi, szaleńcze! — Huttling usiłował go zatrzymać. — Prawie cała wyspa jest w ogniu.

— Nie, wiatr znosi dym na bok! — powiedział Lüders i odpłynął.
— Simpkinsa również nie ma — denerwował się Murray. — Jeżeli wiatr skieruje ropę w tamtą stronę, będzie miał odciętą drogę ratunku.

Na pokład wpadł Bocco. W ręku trzymał czerwone zawiniątko, z którego wystawał kawałek galonu jego „dworskiego” munduru...

Wiatr zmienił kierunek i płonąca ropa zaczęła zbliżać się szybko do „Napastnika”.

— Kogo jeszcze brak? — spytał Murray. — Wkrótce trzeba będzie odbić od brzegu.

— Brak jeszcze Lüdersa i Simpkinsa...

— Właśnie ktoś nadbiega!

To stary Lüders obładowany rękopisami biegł przez kładki.

Morze paliło się prawie tuż przy przeprawie, kiedy Lüders nadbiegł i runął do łodzi, lecz zerwał się natychmiast, wyławiając z wody dziennik okrętowy, który mu wypadł z rąk.

— Gdzie jest Simpkins? — zawołano z pokładu, kiedy łódź zbliżyła się do statku.

— Widziałem Simpkinsa... Och, pozwólcie mi odetchnąć, duszę się... Widziałem, jak biegł do rezydencji gubernatora. Podajcie rękę, w głowie mi się kręci...

Lüdersa podtrzymały mocne marynarskie dłonie. Płaskodenna barka — przystań wyspy zaczęła się palić.

— Kiepska sprawa — rzekł Murray. — Simpkins ma odciętą drogę odwrotu.

Poprzez gęste kłęby dymu Huttling dostrzegł wreszcie postać ludzką na pokładzie „Elżbiety”. Simpkins biegł w stronę przystani. Lecz w połowie drogi spostrzegł, że ją ogarnął płomień. Chwilę stał niezdecydowany, a następnie pobiegł bocznymi kładkami w tę stronę wyspy, gdzie jeszcze nie dotarła płonąca ropa.

„Napastnik” był gotów do odpłynięcia.

— Cumy rzuć! — skomenderował Murray. — Wsteczny bieg! Prawo na burt! Cała naprzód!

Statek okrążał wyspę płynąc tam, dokąd biegł Simpkins. Oto detektyw przybiegł na ostatni statek i usiadł czekając na pomoc. Wiatr, który zmienił kierunek, przesłonił statek gęstą zasłoną dymu, tak że z trudem można było oddychać. Z „Napastnika” szybko spuszczone łódź.

— Prędzej! Prędzej! Duszę się! — krzyczał Simpkins.

Wkrótce znalazł się na łodzi, a następnie na pokładzie statku. Simpkins miał mocno wypchane kieszenie i rozplýwał się w uśmiechu. Gdy spostrzegł badawcze spojrzenie Huttlinga, poklepał się po kieszeni i rzekł:

— To są dowody rzeczowe! Ale pójdę, przebiorę się, przesiąknę dymem...

Kapitan wydał rozkaz rozwinięcia maksymalnej szybkości. Wskutek pożaru zrobiło się gorąco nie do zniesienia. Dym dusił, a płomienie ogarniały coraz większą przestrzeń.

— Gdyby nie gronorosty, które powstrzymują rozlewanie się ropy, nie obeszloby się bez ofiar — rzekł Murray.

Po kwadransie „Napastnik” wydostał się ze strefy pożaru. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Simpkins wyszedł na pokład. Umył się, przebrał i pogwizdywał wesołą melodię. Vivian patrzyła na wyspę. Jak gigantyczny parasol, sięgający wierzchołkiem wysokich pierzastych obłoków rozplýwał się nad nią dym, mieniający się purpurą odbłasków zachodzącego słońca. A w dole kipiało płonące morze. Niby ogniste słupy padały wysokie maszty. W łunie pożaru Morze Sargassowe pokryte gronorostami wyglądało jak morze krwi...

KONIEC ŚWIATA

(Opowiadanie fantastyczno-naukowe)

I. Pod starą lipą

Trudno jest w naszych czasach być „korespondentem własnym”. Jak to się mówi, zostałem wysadzony z siodła i nie wiem, o czym mam pisać. Czy pamięta pan mój felieton, który napisałem na Boże Narodzenie? Przeprowadziłem w nim ciekawe obliczenia, ile dziesiątków milionów butelek wina i szampana wypili berlińczycy podczas świąt i ile zjedli setek milionów kilogramów wieprzowiny i gęsiny. Niemcy potraktowali to jak zniewagę. „Aha, on chce udowodnić, że nam się żyje całkiem nieźle i że wobec tego możemy bardziej punktualnie niż dotąd spłacać reparacje wojenne?” Sprawa wywołała komplikacje dyplomatyczne. Musiałem składać wyjaśnienia i przepraszać*.

— Dzięki takim felietonom dziennikarze stają się sławni — powiedział Layle, popijając kawę.

— Istnieją różne rodzaje sławy — odparł Maramballe. — Redakcja omal nie odwołała mnie do Paryża. Teraz znów znalazłem się w trudnej sytuacji. Przecież nie można stale pisać o nowych spektaklach teatralnych i wystawach obrazów!

Przyjaciele umilkli i zajęli się śniadaniem. Codziennie rano spotykali się tutaj, w Tiergartenie**, przy stoliku pod starą cienistą lipą, pili kawę i dzielili się nowinami. Maramballe — korespondent dziennika „Temps” — dwudziestopięcioletni młodzieniec z czarnymi wąsami, o żywych, wesołych oczach, niezwykle ruchliwy, beztroski i pełen radości życia oraz Layle — korespondent londyńskiego dziennika „Daily Telegraph”, skryty, oschły, wygolony, z nieodstępną fajką w zębach. Mimo odmiennych charakterów obydwaj dziennikarze byli ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni. Nawet konkurencja zawodowa nie mogła zamącić tej przyjaźni.

Layle wypił kawę, puścił kłęb dymu z fajki i powiedział:

— No cóż, niech pan teraz sobie upatrzy jakiś berliński Charming-Cross i napisze dla odmiany o biedocie.

— Dziękuję. Jeszcze zaczną mnie podejrzewać o bolszewizm, a po takim felietonie redakcja z całą pewnością odwoła mnie do Paryża.

— Wszystko zależy od tego, jak pan ujmie temat.

— Ach, obrzydło mi to wszystko! Czy słyszał pan nową śpiewaczkę murzyńską, miss Glow? Występuje w cyrku Buscha. To naprawdę jest Glow***. Z jej śpiewu bucha żar afrykańskiej pustyni. Tralalalala. Cudownie! Niech się pan koniecznie wybierze. Tylko dlaczego taki czarujący głos mieści się w takim czarnym ciele. Hej, efemerydo, niech pan pozwoli tutaj!

Młody Grek w białym garniturze i słomkowym kapeluszu, o czarnych, smutnych oczach i orlim nosie, zbliżył się do stolika, ukłonił, uchylając ceremonialnie kapelusza, i usiadł na brzeżku krzesła.

— Upał — rzekł Metaxa i wytarł mokre czoło jedwabną chusteczką.

* Fakt autentyczny, który miał miejsce w r. 1927 (przyp. autora).

** Tiergarten — wielki park w Berlinie.

*** Glow — żar, zapał, jasność (ang.).

— Jak się nazywa dziennik, w którym pan pracuje? — zapytał Maramballe mrugając porozumiewawczo do Layle'a.

— „Imera”.

— Chimera?

— „Imera”, co oznacza „dzień”. Dobry dziennik, wychodzi w Atenach, nakład sześćdziesiąt tysięcy.

— Hoho! I pan posyła tam efemerydy *. Właśnie spieraliśmy się z Layle'em — Maramballe znów mrugnął do Layle'a — jakie było pierwotne znaczenie słowa „comoedia”?

— „Komos” oznacza wesoly pochod z muzyką, śpiewem i tańcami — poważnie odpowiedział Metaxa — „ode” — pieśń. „Komedia” to utwór sceniczny zawierający satyrę polityczną albo obyczajową. Wystawienie komedii było związane z uroczystościami ku czci boga Dionizosa. — I rzuciwszy na dziennikarzy życzliwe spojrzenie zapytał:

— Czy znacie panowie ostatnią sensację? Mówią, że wczoraj zostało podpisane tajne porozumienie między Niemcami a Związkiem Radzieckim. O! Deliani! — Metaxa pożegnał się pośpiesznie i dogonił swego rodaka, który przechodził ścieżką, niosąc wielki kosz z materiałami jedwabnymi.

— Z niego nie będzie nigdy dobry dziennikarz — rzekł Maramballe patrząc za odchodzącym Grekiem.

— Dlaczego pan tak uważa? — wycedził przez zęby Layle nie wyjmując fajki z ust.

— Czy prawdziwy dziennikarz opowiedziałby o tak ważnej nowinie jak podpisanie tajnego układu między mocarstwami, skoro udało mu się pierwszemu wywęszyć coś w takiej sprawie? Czy Metaxa jest zresztą dziennikarzem?

— Metaxa przyjechał do Berlina na studia. Żeby zdobyć środki do życia, został korespondentem jakiegoś dziennika greckiego. — Ssąc gasnącą fajkę Layle ciągnął dalej: — Ale myli się pan uważając go za głupca. Metaxa jest mądrzejszy niż się wydaje i chytrzejszy od nas obydwu razem. Jeśli ujawnia, jak pan sądzi, tajemnicę dyplomatyczną, to ma w tym widocznie jakiś cel.

Maramballe zamyślił się. Gdyby tak jemu udało się pierwszemu zdobyć informacje o tajnym układzie! To by z miejsca zapewniło mu awans. Dotychczas musiał grać tylko drugie skrzypce; „akredytowanym” przedstawicielem i korespondentem dziennika „Temps” był niejaki Hermet, stary dziennikarz i działacz polityczny. Hermet pisał korespondencje na temat najważniejszych zagadnień politycznych; dla Maramballe'a zaś zostawały drobiazgi: teatr, sztuka, sport, procesy sądowe. Lecz Maramballe był ambitny; lubił przy tym żyć na szeroka stopę. Toteż nic dziwnego, że w snach widział pierwszorządne sensacje, które komunikował zdumionemu światu. Zdanie o tajnym układzie, rzucone mimochodem przez Metaxę, poruszyło go głęboko. To było coś dla niego. Gdyby mu się udało wydrzeć tę tajemnicę z ministerstwa! Maramballe spojrzał na swego towarzysza z obawą i niepokojem.

„Żeby mu tylko nie przyszło na myśl zdobycie tego diabelskiego cyrografu!”

Layle uchwycił spojrzenie Maramballe'a i uśmiechając się kącikami oczu, zapytał:

— No i co, Metaxa zabił panu klina?

— Głupstwo — odpowiedział obojętnie Maramballe. Stropił się i był zły na Layle'a za to, że odgadł jego myśli. Wykręcił się na krześle, popatrzył w roztargnieniu na aleję i nagle zdrzął. Szeroki uśmiech odsłonił jego białe zęby.

Koło ich stolika przechodziła właśnie dziewczyna w lekkim szarym kostiumie, bez kapelusza, ostrzyżona „na garsonkę”.

— Dzień dobry, panie Maramballe — odpowiedziała uprzejmie na jego ukłon. — Ojciec jedzie dziś na posiedzenie do ministra — rzekła uśmiechając się wesoło i odeszła wymachując szpicrutą.

* Efemeryda (gr.) — tu: kronika dnia.

Layle z dyskretnym uśmiechem obserwował Maramballe'a, który nie odrywał oczu od oddalającej się dziewczyny. Maramballe został wynagrodzony: odwróciła się jeszcze raz w jego stronę i skinęła głową.

— Jak na Niemkę ma nader swobodne obyczaje, prawda? — rzekł rozpromieniony Maramballe zwracając się do Layle'a. — To córka pierwszego sekretarza ministra spraw zagranicznych, Ruprechta Leera.

— Hoho!

— Typ nowej kobiety niemieckiej okresu powojennego. Strój, uczesanie, maniery, widział pan? Poza tym świetnie pływa, gra w tenisa i w polo. Ciało Walkirii i głos Lorelei! Ma tylko jedną wadę: ciężki chód. Zauważył pan? Nie ma rady! mieszkanka Berlina! Gdyby sto najpiękniejszych berlinianek przeszło po tej ścieżce w ceremonialnym marszu, powstałby hałas nie mniejszy niż podczas przemarszu kompanii żołnierzy.

— Z tym mankamentem można się pogodzić, jeśli przez serce fräulein Leer prowadzi droga do tajemnic gabinetu jej ojca — powiedział znacząco Layle.

„I po co tacy domyślni ludzie chodzą po świecie!” — pomyślał niezadowolony Maramballe.

— Dla Francuza kobieta jest zawsze celem samym w sobie — odparł pompatycznie. — Nas zbliżyła miłość...

Layle puścił gęsty kłąb dymu ze świeżo napełnionej fajki.

— ...miłość do sportu i śpiewu. Niech pan sobie wyobrazi: ona ubóstwia Ravela, Medtnera, Strawińskiego i... francuskie piosenki kabaretowe. A ja zaopatruję ją obficie w ten lekki repertuar. — Maramballe rzucił okiem na zegarek i rzekł:

— Ale czas już na mnie. Muza mnie wzywa. Idę pisać następny felieton.

— A niech pan nie zapomni o cyrku Buscha! Glow! Ogień, żar, płomień, upał i skóra błyszcząca jak buciki świeżo oczyszczone przez rodaka Metaxy.

II. Sobowtór Maramballe'a

Maramballe pisał tak lekko i swobodnie, jak żył — nie wgłębiając się i nie zastanawiając się nad tym, co mu wyjdzie spod pióra. Czasami zdumiewał redaktora i samego siebie świetnym felietonem, czasami zaś robił gafy, jak to się zdarzyło z nieszczęsnym felietonem o morzach wina i górach wieprzowiny wypitych i zjedzonych przez berlińczyków. Najtrudniejsze było dla niego jedno: zasiąść do biurka. Cała jego zbyt żywa, ekspansywna natura protestowała przeciw temu i Maramballe'owi tak trudno było zmusić siebie do zajęcia miejsca przy biurku, jak trudno jest zaprzęgnąć do dyszla nie ujeżdżonego konia.

Tego dnia wszystko odbywało się w ten sam sposób, Maramballe wysiłkiem woli zmuszał się i podchodził do biurka, lecz natychmiast wymykał się, mijał biurko, zbliżał się do okna i nucąc wesołą piosenkę, bębnił palcami po szybie. Potem otwierał okno — było mu duszno. Potem zamykał okno. Przeszkadzał mu hałas uliczny. A jednocześnie palił jednego papierosa za drugim.

Przemierzywszy nieskończoną ilość razy pokój wszerz i wzdłuż Maramballe okiełznał wreszcie swój narowisty charakter: zrobił pośrodku pokoju ostry zwrot, podbiegł do biurka z miną człowieka rzucającego się w odmęt i usiadł na fotelu z twardym postanowieniem.

Włożył do ust następnego papierosa i zapalił zapałkę. Lecz w tym momencie stało się coś, co sprawiło, że zapomniał o felietonie, i najpierw zdziwiło go ogromnie, a potem przeraziło.

Zapałka, jak być powinno, zapaliła się z sykiem, lecz Maramballe nie dostrzegł ognia,

choć słuch nieomylnie stwierdził, że zapalka zapaliła się. Zastanawiając się nad tym niezrozumiałym zjawiskiem trzymał w dalszym ciągu zapalkę i nagle krzyknął z bólu. Oparzył się w palce i rzucił zapalkę. Teraz tał dłońią bolący palec, a jednocześnie widział nad biurkiem swą dłoń trzymającą zapalkę. Przerażony oparł się o fotel i obserwował ową „trzecią rękę”, podczas gdy jego drżące dłonie spoczywały już na kolanach. Siedział tak bez ruchu pięć minut do chwili, gdy oszołomiło go nowe zjawisko. Oto ujrzał, jak zapalka zapaliła się wreszcie w upiornej ręce, jak spaliła się i ręka cofnęła się po oparzeniu palców. Słowem zobaczył to, co powinien był widzieć, kiedy zapalił zapalkę, lecz z pięciominutowym opóźnieniem. Maramballe wyciągnął rękę i zapalił lampę na biurku. Kontakt pstryknął, lecz światła nie było, nie widział również swojej ręki wyciągniętej do lampy. Poczł, że mu się włosy zjeżyły na głowie.

„Czy ja zwariowałem i to tak nieoczekiwanie?” — pomyślał czując, że mu się robi zimno. Zerwał się z fotela i zaczął chodzić po pokoju. Teraz dopiero zauważył, że przez okno wpada dziwne pomarańczowe światło. Zbliżył się do okna i spojrzł na niebo. Jeszcze przed kilkoma minutami widział letnie, błękitne, bezchmurne niebo. Teraz po pieszczącym oczy błękicie nie pozostało śladu. Niebo miało straszny, pomarańczowy kolor. Ulica utonęła w szarym półmroku, jak to bywa podczas niepełnego zaćmienia słońca. Korony drzew poczemniały, a białe ściany domów przybrały odcień błękitnawy i wyglądały, jak oblicze trupa. Maramballe odwrócił się od okna i osłupiał ze zdziwienia.

Oto ujrzał przy biurku swego sobowtóra, który wyciągnął rękę do lampy i zapalił ją. Zapłonęło błękitnawe światło pod czarnym abażurem, chociaż abażur był z zielonego szkła. Potem upiór Maramballe'a wstał zza biurka i zaczął bezszelestnie krążyć po pokoju, powtarzając wszystkie ruchy Maramballe'a sprzed paru minut. Maramballe ze strachem wpatrywał się w zielonkawą, stropioną twarz swego sobowtóra i kiedy sobowtór, chodząc po pokoju, skierował się wprost ku niemu, instynktownie odskoczył w bok.

„Halucynacja!... Biada mi, dostałem pomieszania zmysłów. Ale czy wariaci zdają sobie sprawę ze swego obłądę i rozumują tak jasno jak ja?” — myślał Maramballe obserwując swego sobowtóra, który w tym czasie, zamyślony, stanął na środku pokoju. Rzecz zdumiewająca! Ten upiór wygląda tak naturalnie! I gdyby nie zielonkavo-błękitnawy odcień jego twarzy, nie różniłby się niczym od żywego człowieka.

Czy nie rozpocząć z nim rozmowy? Ale to byłoby już zupełnym szaleństwem. Postanowił zrobić coś innego. Ostro poszedł naprzód, wprost na swego sobowtóra i... przeszedł przez niego na wylot. Teraz już nie było wątpliwości: to była halucynacja. Maramballe usiłował opanować się. Lęk minął, a jego miejsce zajęła ciekawość. Maramballe obszedł dookoła swego sobowtóra i nagle wsunął głowę w powłokę widma. Było tam zupełnie ciemno.

„Gdyby nie to, że już zwariowałem, mógłbym od tego wszystkiego zwariować po raz drugi” — pomyślał Maramballe, wysuwając się z ciemności upiora w purpurowy półmrok pokoju.

W korytarzu rozległ się nagle rozpaczliwy krzyk właścicielki hotelu, czterdziestoletniej wdowy, pani Neukirch. Frau Neukirch krzyczała tak, jakby ją kto chciał zamordować. Maramballe, zapomniawszy o swych tarapatach, wybiegł na korytarz, zrobił kilka kroków i zderzył się z niewidoczną, miękką przeszkodą. Wyciągnął ręce. Ktoś niewidzialny chwycił go za ramiona i tuż przy jego uchu rozległ się jęk pani Neukirch.

— O-oo! — I w tej samej chwili poczuł, jak upadło na niego masywne ciało frau Neukirch. Po omacku objął niewidzialną, lecz bardzo ciężką wdowę wpół i ledwie dysząc pod niepomiernym ciężarem, pociągnął nieprzytomną panią Neukirch do swego pokoju. Posadził wdowę na krzesło, lecz okazało się, że krzesła nie ma tam, gdzie je widział, i ciało frau Neukirch miękko upadło na podłogę. Nieszczęśliwa wdowa widocznie nawet nie zauważyła tego i nie wydała z siebie głosu. Maramballe znalazł po omacku fotel, poszukał na podłodze ciała pani Neukirch i wreszcie posadził niewidzialnego gościa na niewidzialnym fotelu. Potem

podbiegł do biurka i nalał szklanę wody z karafki. Mimo całej niezwykłości sytuacji zauważył, że rzeczy, których nie przesuwano z miejsca, były dobrze widzialne i bynajmniej nie upiorne. Lecz wystarczyło postawić szklanę na nowym miejscu a natychmiast znikła z pola widzenia, podczas gdy oko w dalszym ciągu widziało ją tam, gdzie stała przed paroma minutami.

„W każdym razie, w moim szaleństwie, jak w szaleństwie Hamleta, jest jakaś metoda” — pomyślał z odcieniem humoru, usiłując odnaleźć szklaną usta nieprzytomnej frau Neukirch. Zaczął odzyskiwać swój zwykły optymizm.

Wylawszy pół szklanki wody na niewidzialne rude loki i na szeroką pierś pani Neukirch, w końcu bezceremonialnie dotknął ręką jej twarzy, namacał usta i wlał w nie wodę. Ta energiczna kuracja zewnętrzna i wewnętrzna wywarła swój wpływ. Frau Neukirch czknęła — taka była pierwsza oznaka powrotu do życia. Czając w dalszym ciągu, odzyskiwała przytomność. Nagle histerycznie zawołała:

— A-a-a! Tam, tam!... Niosą mnie! Niosą mnie! O-oo!

Maramballe stwierdził, że jego sobowtór wciąga do pokoju drugą panią Neukirch. Jej posiniąta twarz odrzucona była w tył, rude włosy karbowane przy skroniach już nie były rude, lecz sine, grube nogi wlokły się bezradnie po dywanie, a sobowtór Maramballe'a ciągnął zażywnie ciało pani Neukirch jak mrówka, która wzięła na siebie zbyt wielki ciężar.

„Jak temu biedakowi musi być ciężko!” — współczuł Maramballe swemu sobowtórowi.

Lecz już się nie dziwił. Umiał wyciągać wnioski i przystosowywać się do okoliczności. A co najważniejsze — przekonał się, że nieszczęście nie spotkało tylko jego: frau Neukirch uległa temu samemu obłędowi co on, lecz w jeszcze ostrzejszej formie. Sądząc zaś z niezwykle głośnego hałasu dochodzącego z korytarza i z ulicy, szaleństwo stało się zjawiskiem powszechnym. Jak gdyby cały świat przekształcił się nagle w szpital wariatów. Ze wszystkich stron słychać było krzyki, jęki, a nawet śmiech, co do którego nie było wątpliwości, iż jest śmiechem szaleńca. Od czasu do czasu słychać było przez otwarte okno jakiś trzask na ulicy i nowe wybuchy krzyków i jęków. Maramballe mimochodem wyjrzał oknem i zobaczył straszne rzeczy: przewrócone tramwaje, szczątki rozbitych samochodów, ciemną krew na asfalcie i stosy ciał martwych i pokaleczonych ludzi; stwierdził przy tym, że krzyki rozlegają się nie tylko z miejsc katastrofy, lecz również tam, gdzie oko nic nie dostrzegało.

„Jeszcze się nie wyświetliło” — pomyślał.

Frau Neukirch wciąż jeszcze krzyczała i popłakiwała.

„Nie, to nie jest obłęd — pomyślał Maramballe — to jest raczej jakiś niezwykle katalizm, o ile tylko to wszystko razem nie jest koszmarem, obłędnym urojeniem mojej chorej wyobraźni”.

— Mój Boże, mój Boże! — zawodziła frau Neukirch. — Co się ze mną stało? Co to się dzieje?

— Niech się pani uspokoi — próbował ją pocieszyć Maramballe. — Proszę mi wierzyć, że to przejdzie. Przecież wszyscy ludzie nie mogli nagle zwariować. To nie jest obłęd, tylko po prostu... jakaś diabelska sztuka. Zaczęliśmy widzieć nie to, co jest, lecz to, co działo się przed pięcioma czy dziesięcioma minutami. ...Tak, właśnie to! — Maramballe ucieszył się, gdy mu się udało sprowadzić wszystkie zjawiska do jednej przyczyny. — Może w powietrzu zjawił się jakiś nowy gaz i zmienił właściwości naszych oczu — usiłował wyjaśnić sobie i pani Neukirch przyczynę niezwyklej zmian.

— Nie, nie — powtarzała uporczywie pani Neukirch — to jest koniec świata!... Tak, tak. To okropne!... To okropne! Wysłałam ze swego pokoju i nagle zobaczyłam siebie, szłam przez korytarz do mojego pokoju. Myślałam, że mi serce pęknie ze strachu. To oznacza, że śmierć jest blisko! W naszym rodzie wszyscy widzą przed śmiercią swego sobowtóra...

— Ale widziała pani również mojego sobowtóra. Proszę popatrzeć, widzi pani teraz, że leję pani wodę na głowę i szukam pani ust. A tymczasem, jeśli dotknie pani moich rąk, to się

okaże, że wcale nie trzymam szklanki z wodą.

— To oznacza, że pan również umrze. Wszyscy umrą... To jest koniec świata. Nie mogę żyć w tym świecie, wśród upiórów, nie mogę patrzeć na sobowtóra, który wszędzie chodzi za mną. — I wdowa wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Maramballe beznadziejnie machnął ręką.

— Czy pani słyszy te krzyki? — powiedział. — Tam giną ludzie i tam moja pomoc jest bardziej potrzebna. Niech się pani opanuje.

— Nie, nie, niech pan nie odchodzi! — zawołała frau Neukirch chwytając powietrze w miejscu, w którym widziała Maramballe'a stawiającego szklankę na stoliku.

III. W świecie upiórów

Maramballe orientując się po ciężkim oddechu frau Neukirch obszedł miejsce, w którym według jego przypuszczeń mogła się znajdować wdowa, zdjął kapelusz z wieszaka i ostrożnie wzdłuż ściany przeszedł przez korytarz, wyszedł na ulicę i natychmiast został przewrócony przez jakąś niewidzialną istotę.

— Można by zachowywać się trochę uprzejmiej — powiedział do widma podnosząc się z chodnika.

— Grzeczność to upiór w tym świecie upiórów — rozległ się jakiś głos, po którym nastąpił wybuch histerycznego śmiechu.

— Idę! Idę! Idę! — uprzedzał inny głos.

I Maramballe ustąpił z drogi.

„Publiczność zaczyna się szybko przystosowywać” — pomyślał i ruszył chodnikiem, stukając głośno bucikami i powtarzając bez przerwy jak zepsuta płyta:

— Idę, idę, idę!

Ze wszystkich stron rozległy się te ostrzegawcze głosy, a ulica huczała jak rój rozjątrzonych trzmieli.

Mimo te ostrzegawcze głosy — przechodnie co chwila wpadali na siebie.

Kolo Maramballe'a przejechał bezszelestnie przepełniony tramwaj. Maramballe już wiedział, że to jest „widmo” tramwaju, który minął go przed kilkoma minutami.

Po chwili usłyszał sygnał trąbki i ostrzegawcze okrzyki.

— Ostrożnie! Nadjeżdża karetka pogotowia!

Sądząc po dźwiękach karetka jechała bardzo wolno. Maramballe nie słyszał łoskotu niewidzialnych tramwajów — widocznie cały ruch został wstrzymany natychmiast po nastąpieniu „końca świata”. Lecz „koniec świata” wydarzył się tak nagle, że nie obeszło się bez katastrof.

Maramballe widział tramwaj, który zderzył się z autobusem. Tramwaj wykoleił się i wjechał na latarnię, a autobus przewrócił się na bok. Maramballe ostrożnie przeszedł przez ulicę i podszedł do miejsca wypadku, chcąc pomóc rannym; ale, jak się okazało, było to prawie niewykonalne. Ranni, nad którymi pochylał się ze współczuciem, byli pustym miejscem, bo zdążyli już odpłynąć na bok. Maramballe musiał się posługiwać słuchem i dotykiem. Odnalazł pod ścianami kilku rannych i zaniósł przed karetkę pogotowia. Karetka stała już widocznie od kilku minut i nie była widmem.

Maramballe czuł ciepłą krew na swoich rękach, lecz nie widział ani siebie, ani rannych. Mógł tylko przypatrywać się swemu upiórowi, który dopiero teraz szedł na miejsce wypadku.

Jakiś mężczyzna jęczał na jego rękach.

„Nieszczęśliwy — pomyślał Maramballe — w jaki sposób będą mu robić operację,

skoro potrzebna jest natychmiastowa pomoc. Przecież wykrwawi się zupełnie, zanim zostanie «wyświetlony» na stole operacyjnym”.

Słowo „wyświetlać”, zapożyczone od fotografów, podobało mu się bardzo, ściśle bowiem określało zjawisko: wszystkie rzeczy stawały się widzialne dopiero po kilku minutach, jak zdjęcie na wywoływanej kliszy.

Maramballe poczuł, że jest głodny. Mieszkał na Dorotheastrasse, o kilka minut od Tiergartenu. Lecz tym razem musiał iść dość długo, posuwając się po omacku. Przepraszał, gdy potrącił ramieniem upiora i zderzał się z niewidzialnymi żywymi ludźmi.

„Która może być godzina?” — pomyślał Maramballe, patrząc na zszarzałe słońce zachodzące na purpurowym niebie. Zwykłym gestem wyjął zegarek i spojrzął na tarczę.

„A niech to diabli, w żaden sposób nie mogę się przyzwyczaić do tego obłądu!” — zawołał patrząc w pustkę.

Obejrzał się i zobaczył duży zegar na rogu ulicy. Wskazówki pokazywały piątą. Maramballe zrobił tylko kilka kroków naprzód, znów popatrzył na zegar i zatrzymał się zdumiony. Wskazówka minutowa wskazywała już pięć minut po piątej. Jeszcze kilka kroków naprzód i na zegarze było dziesięć po piątej, jak gdyby czas zaczął płynąć z niewiarygodną szybkością. Maramballe'a tak zainteresowało to dziwne zachowanie się zegara, że postanowił go sprawdzić cofając się wstecz. O dziwo! Czas również jak gdyby się cofnął. Pięć po piątej. Punktualnie piąta. Maramballe cofnął się jeszcze o metr i ujrzał, że zegar wskazuje za pięć minut piątą.

Maramballe gwizdnął.

„Znakomicie! Spacerując tam i z powrotem mogę według życzenia rozporządzać czasem: odwiedzić przeszłość, zajrzeć w przyszłość i wrócić do teraźniejszości. Ale dlaczego nie widziałem mojego zegarka? Czy może dlatego, że w kieszeni jest ciemno?” — Jeszcze raz wyjął zegarek i przysunął bardzo blisko oczu. Po upływie zaledwie dwóch-trzech sekund ujrzał cyferblat i wskazówki pokazujące dwadzieścia minut po piątej. Podszedł do wielkiego zegara ulicznego, który wskazywał kwadrans po piątej.

Korzystając z tego, że nikt go nie widzi, wdrapał się po słupie aż pod tarczę zegara i przekonał się, że teraz zegar uliczny wskazuje również dwadzieścia po piątej.

— Zaczynam teraz coś nie coś rozumieć — powiedział Maramballe, który wołał rozmawiać ze sobą samym na głos, niż wołać cały czas „idę, idę”. — Moje oczy widzą to, co działo się mniej więcej przed pięcioma minutami w odległości metra, przed dziesięcioma minutami — w odległości dwóch metrów i tak dalej. Zjawisko to jest zbyt konsekwentne, więc nie jest obłądem.

Widocznie zaszło coś dziwnego w samej przyrodzie.

Kiedy wreszcie dotarł do restauracji, spotkało go rozczarowanie. Lokal był nieczynny. Maramballe był stałym gościem i udało mu się wyprosić u właściciela restauracji tylko suchy wczorajszy pasztecik.

— Jeśli tak dalej pójdzie, zdechniemy wszyscy z głodu — rzekł Maramballe.

— To są ostatnie dni — westchnął właściciel restauracji. — To jest koniec świata.

„I ten mówi to samo” — pomyślał Maramballe, przypomniawszy sobie panią Neukirch, a następnie zapytał:

— Czy pan Layle był dziś na obiedzie?

— Jak zwykle. Ale czuje się bardzo źle. Przygnieciono go mocno w autobusie. Wygląda na chorego.

— Przecież pan nie mógł go widzieć — zdziwił się Maramballe.

— Oczywiście, ale zobaczyłem go po odejściu. Kto by pomyślał, panie Maramballe, że dożyjemy...

Lecz Maramballe już go nie słuchał. Wszystko w porządku. Właściciel restauracji widzi tak samo jak on, jak wszyscy.

— Ile płacę za pasztecik?

Musiałby czekać co najmniej pięć minut, by zobaczyć beznadziejny gest właściciela restauracji. Lecz sama intonacja głosu bez oznak zewnętrznych jasno świadczyła o przygnębieniu właściciela restauracji w Tiergartenie. Słowa mówiły jeszcze jaśniej.

— Po co wspominać o rachunkach, panie Maramballe! — powiedział smutno restaurator. — Nie wezmę ze sobą do grobu ani pasztecików, ani zapłaty za nie. Niech pan je na zdrowie. Przepraszam, że nie mogę pana niczym więcej poczęstować. Nie mogłem nawet przyrządzić obiadu dla siebie. Połowa pieczystego była surowa, a druga połowa przypaliła się — i restaurator jeszcze raz chrząknął beznadziejnie.

— Czy telefon działa? Muszę pomówić z Laylem.

— Nic nie działa. Wszystko bierze w łeb. Służba się upiła, piwnica z winami spustoszo-
na. Wszystko zostało zrujnowane. Ja ...ja chyba też się upiję, jeśli te łotry pozostawiły przynajmniej kroplę wina...

IV. Zagadka światła

Maramballe powracał do domu na Dorotheastrasse. Nie wątpił już więcej, że jest zdrowy. „Nie ja jestem chory, lecz cały świat” — myślał i nie mógł się zdecydować, czy to jest lepiej, czy gorzej. Cieszył się bardzo z odzyskania pewności, że ma zdrowy rozsądek. Jednak sytuacja była katastrofalna. „Nie, byłoby lepiej, gdybym ja zwariował. Lekarze wyleczyliby mnie na pewno, ale czy uda im się wyleczyć cały świat, który zapadł na dziwną chorobę — to jest wielkie pytanie”.

Po powrocie do pokoju włączył szybko odbiornik radiowy, przypuszczając, że przynajmniej tą drogą dowie się czegoś o przyczynach niezwyklej katastrofy, jakiej doznał świat. I nie pomylił się.

Mówiła stacja Koenigswusterhausen *.

...Tylko panowanie nad sobą i dyscyplina mogą uratować miasto przed paniką, która grozi najstraszniejszymi skutkami. Obywatele muszą ściśle przestrzegać nowych przepisów ruchu ulicznego, pamiętając, że naruszenie ich grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem. W mieście ogłoszony został stan oblężenia. Wszystkie próby pogwałcenia spokoju karane będą bezlitośnie na miejscu przestępstwa.

„Chciałbym zobaczyć, jak oni będą łapać „przestępców” — pomyślał Maramballe.

...O przyczynach, które spowodowały katastrofę w skali światowej, najwybitniejsi uczeni Berlina komunikują, co następuje. Uczeni stwierdzili, że szybkość światła zmalała. Zamiast trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, światło zaczęło poruszać się z szybkością zaledwie jednego metra na sześć minut pięćdziesiąt osiem sekund. Jak wiadomo, otaczające nas przedmioty widzimy dzięki temu, że odbijają naturalne światło słoneczne lub sztuczne. Odbicia te przechodzą obecnie każdy metr w czasie około siedmiu minut. Należy wspomnieć, że fizycy i astronomowie już dawniej stwierdzili, iż szybkość światła jest zmienna. Zmniejsza się ona prawie o cztery kilometry rocznie. Przy zachowaniu tej normy, szybkość światła mogłaby zmniejszyć się do zera dopiero za siedemdziesiąt pięć tysięcy lat. Ta daleka przyszłość, nie może, rzecz jasna, wzbudzać niepokoju. Zmniejszenie o cztery kilometry rocznie było w pra-

* Wielka radiostacja pod Berlinem.

*kytce nieodczuwalne i mogło mieć wpływ tylko na obliczenia astronomów wówczas, gdy sprawa dotyczyła pomiarów ogromnych przestrzeni „lat astronomicznych” *. Dlatego uczeni nie uważali za potrzebne ogłaszanie swych obserwacji o zmniejszaniu się szybkości światła.*

Co się tyczy przyczyn nagłego zahamowania szybkości światła, to uczonym nie udało się jeszcze znaleźć zadowalającego wyjaśnienia. Według zdania jednych, zmniejszenie szybkości światła zaobserwowane w ubiegłych latach jest pozorne: nie zmniejszyła się szybkość światła, lecz zwiększyła się jednostka wymiaru czasu — sekunda — wskutek zwolnienia dobowego obrotu kuli ziemskiej. Jednak przeciw tej hipotezie wysuwano również dawniej zastrzeżenia; zwalnianie obrotów kuli ziemskiej obserwuje się periodycznie, to znaczy, że ziemia czasem zwalnia, a czasem przyspiesza do normy swój dobowy obrót dokoła osi, podczas gdy szybkość światła umniejszyła się równomiernie. To zaś, co widzimy obecnie, ostatecznie obala tę hipotezę: gdyby zmniejszenie się szybkości światła było pozorne i zależało od zwolnienia obrotów ziemi, oznaczałoby to takie zwolnienie, które odbiłoby się i na zwiększeniu siły ciężkości (wskutek zmniejszenia się siły odśrodkowej), czego jednak nie zaobserwowano.

Można tylko przypuszczać, że słońce w swym ruchu weszło wraz z całym systemem słonecznym planet w takie regiony przestrzeni kosmicznej, gdzie szybkość światła jest mniejsza. Może to zależeć albo od właściwości eteru kosmicznego, albo od odmiennej krzywizny przestrzeni — mówiąc ogólnie, od niejednorodności i niestałości głębin międzygwiazdnych.

Należy wreszcie wspomnieć, że zmiana barw nastąpiła dlatego, iż wskutek zwolnienia światła całe widmo przesunęło się jak gdyby z prawej strony na lewą: barwa niebieska zmieniła się na ciemnopomarańczową, zielona na prawie czarną, i tak dalej. Zjawyły się również nowe barwy ultrafioletowe i znajdujące się bardziej na prawo od nich. Lecz nieuzbrojone oko odczuwa je jako ciemne lub wcale na nie nie reaguje.

Nauka nie jest w stanie wpłynąć na tego rodzaju zjawisko kosmiczne jak zmniejszenie się szybkości światła. Możemy jednak przystosować się do nowych warunków życia. Na szczęście, to gwałtowne zmniejszenie się szybkości światła nie postępuje naprzód. Szybkość światła jest na razie wielkością stałą. Nie pozostaje więc nam nic innego, jak przystosować się do nowych warunków i żywić nadzieję, że całe to zjawisko ma charakter przejściowy.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę!

„Zamknięte” drzwi zaskrzypiały i do pokoju wtargnął ciężki oddech zażywej frau Neukirch.

— Dobry wieczór, panie Maramballe — rozległ się jej głos, tak smutny, jak gdyby przed chwilą pochowała swego małżonka.

— Dobry wieczór, frau Neukirch. No i widzi pani, wszystko jest w porządku. Przed chwilą podano przez radio, że ogólnie biorąc nie stało się nic strasznego. Małe nieporozumienie ze światłem. Słońce zjechało w krzywiznę i promień świetlny nie może się przedostać przez eter. Niech pani siada, tylko nie obok krzesła. Zdaje się, że krzesło stoi tutaj.

— Dziękuję panu. Ja też słuchałam radia, ale nic nie rozumiałam. A pan wyjaśnił mi wszystko tak prosto. Ile jest w tym świecie niezrozumiałych zjawisk!... Właśnie chciałam pana spytać, panie Maramballe... Na przykład gaz. Zagotowałam wodę i zakręciłam kurek kuchenki gazowej. Ale gaz pali się dalej, chociaż nie syczy. Niech mi pan powie, czy licznik to wykaże? Przecież ja nie jestem winna temu, że gaz pali się dalej, chociaż kurek jest zamknięty.

* Rok astronomiczny — przestrzeń, którą światło przebywa w ciągu roku.

V. Teczka nr 174

Minęło kilka dni i ludzie zaczęli się powoli przystosowywać do nowych warunków życia. Frau Neukirch pogodziła się z istnieniem swego sobowtóra; kucharze w restauracjach nauczyli się jakoś przyrządzać potrawy „na słuch, smak i węch” i obsługiwać gości. Podjęty został na nowo ruch uliczny, chociaż odbywał się bardzo wolno; w takim samym zwolnionym tempie zaczęła pracować poczta, telegraf i telefon.

Maramballe i Layle siedzieli przy śniadaniu na swoim stałym miejscu pod gęstwiną lip w Tiergartenie.

— A jednak należy oddać sprawiedliwość Niemcom: ich niezwykle talenty organizatorskie ujawniły się szczególnie w dniach kataklizmu. Berlin był pierwszym miastem na świecie, w którym życie wróciło szybko do normy — mówił Maramballe zwracając się do Layle'a, o wyglądzie sprzed pięciu minut. Zresztą między rzeczywistym a widmowym Layle'em nie było wielkiej różnicy. Layle bowiem był mało ruchliwy, w przeciwieństwie do Maramballe'a, którego gesty i słowa nie miały z sobą żadnego związku. Maramballe śmiał się serdecznie, podczas gdy jego sobowtór w skupieniu spożywał śniadanie lub zapalał papierosa.

— Chciałbym jednak wiedzieć, jak się to wszystko skończy?

— Trzeba żyć, bez względu na to, jaki będzie koniec — odparł Layle. — Przed nadejściem roku tysięcznego ludzie oczekiwali końca świata i wielu bogaczy zapisało swe bogactwa kościołowi. Lecz koniec świata nie nadszedł. Musieli wtedy na drodze sądowej żądać zwrotu swych bogactw. Podobno we Włoszech jedna taka sprawa wciąż jeszcze jest rozpatrywana.

— Tak, i u nas we Francji zdarzył się podobny wypadek, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, w 1499 roku. Słynny astrolog Steffler przepowiedział na ten rok powtórzenie się potopu biblijnego i mer Tuluzy Aurixal zapobiegliwie zbudował sobie arkę Noego. Nie było jednak ani potopu, ani nawet zwykłej powodzi. Niestety — powiedział smętnie Maramballe, chociaż jego widmo rozparte na krzesle śmiało się bezdźwięcznie — teraz zdarzyło się coś w rodzaju końca świata.

— Człowiek mądry powinien ze wszystkiego wyciągać zysk dla siebie — usłyszeli nagle jakiś głos.

— Hej, kto nas podsłuchuje? Trzeba teraz mieć się na baczności.

Niewidzialny przybysz odpowiedział:

— Czy mam trąbić jak samochód? To nie moja wina, że panowie mnie nie widzą.

— A, efemeryda! Dzień dobry. Niech pan siada na tym krzesle. Nie było ruszane z miejsca od przeszło dziesięciu minut.

Jednak Metaxa, zanim usiadł, ostrożnie namacał krzesło. Ten środek ostrożności stawał się już przyzwyczajeniem.

— Upał — powiedział Metaxa.

— Ciekawa rzecz, pan jest Grekiem i stale skarży się na upał — rzekł Maramballe.

— W Grecji jest jeszcze gorzej. — Metaxa umilkł na chwilę, potem ciągnął dalej: — Teczka z aktami numer sto siedemdziesiąt cztery znajduje się u pierwszego sekretarza ministra, Leera.

— Co to za akta? — spytał Maramballe.

— Układ o tajnym porozumieniu między Niemcami a Rosją — odpowiedział Metaxa.

Maramballe poczuł na twarzy kłęb dymu z fajki Layle'a.

— No i co jeszcze? — zapytał Maramballe.

— Nic. Zakomunikowałem tylko panom pewną nowość. Sądziłem, że może panów zainteresować. Jest jeszcze jedna nowina. Lejtnant baron von Blittersdorf oświadczył się pannie

Wilhelminie Leer.

— Przecież panny Leer nie ma w mieście! Skąd pan wie o tym wszystkim? — zawołał podniecony Maramballe. Wiadomość ta zaskoczyła go; zaczerwienił się mocno i był bardzo zadowolony, że Layle i Metaxa nie widzą jego twarzy. Lecz przypomniawszy sobie, że jednak ją zobaczą, usiłował przybrać jak najbardziej obojętną minę.

— A ludzie będą zawierać małżeństwa nawet w dniu końca świata — wycedził Layle. — Pana to martwi, Maramballe?

— Ani trochę — spieszenie odpowiedział Maramballe. — Nie miałem zamiaru żenić się z panną Wilhelminą. Zresztą, powiem otwarcie, ja nie bardzo wierzę w tę wiadomość. Wilhelmina... panna Leer powiedziała mi dziś przez telefon, że w chwili, kiedy się zaczęły dziać te dziwne rzeczy, znajdowała się za miastem i nie mogła dotychczas wrócić, wskutek zatrzymania całej komunikacji. Panna Leer przyjedzie dopiero dziś o szóstej wieczór. Więc w jaki sposób Blittersdorf mógł się jej oświadczyć? W każdym razie powiedziałyby mi o tym.

— Blittersdorf oficjalnie poprosił o rękę panny Leer jej ojca, Ruprechta Leera.

— No, to niech się Blittersdorf ożeni z Ruprechtem Leerem — roześmiał się Maramballe, chociaż w głębi serca przejął się bardzo energicznymi poczynaniami swego rywala.

Lejtnant Blittersdorf był od dawna kandydatem do ręki Wilhelminy, chociaż cieszył się większą sympatią pana Leera niż panny Leer.

Wilhelmina nie odmówiła zdecydowanie lejtnantowi, lecz odpowiedziała na jego oświadczenia, iż nie myśli na razie o wyjściu za mąż.

Maramballe nie kłamał zapewniając, że nie ma zamiaru żenić się z panną Leer, chociaż Wilhelmina bardzo mu się podobała. Tak daleko jego plany nie sięgały. Dzięki życzliwości panny Leer i dzięki temu, że bywał w domu Leerów, dowiadywał się wcześniej niż inni dziennikarze różnych nowin dyplomatycznych. Co prawda, nie udawało mu się dowiedzieć czegoś ważnego, sensacyjnego: drzwi do gabinetu Ruprechta Leera były przed nim szczelnie zamknięte. Jednak była to miła i pożyteczna znajomość. I oto teraz może nastąpić zerwanie tego kontaktu. Zazdrosny i impertynencki lejtnant baron Blittersdorf, wychowanek armii cesarskich Niemiec, nie będzie tolerował Maramballe'a. Poza tym Wilhelmina po ślubie zamieszka u męża i wskutek tego straci dla Maramballe'a połowę uroku.

„Niech to diabli, trzeba się zdecydować na jakąś większą akcję — myślał Maramballe. — Tak, Metaxa dał mi wyraźny impuls. Akta numer 174!... Co prawda, świat zajęty jest obecnie czymś innym. Ale co będzie, jeśli «koniec świata» skończy się tak nieoczekiwanie, jak się zaczął? A lepszej okazji się nie znajdzie; trzeba skorzystać z sytuacji i zdobyć ten sensacyjny dokument. I niech sobie wtedy Wilhelmina wychodzi za mąż za swojego barona, jeśli ma na to ochotę...”

— Wszystkie te układy straciły teraz wszelki sens i wartość — powiedział lekceważąco Maramballe.

Wyjął zegarek z kieszeni, podniósł go do oczu, poczekał, aż się tarcza ujawni, i wstał.

— Czas na mnie. Ile płacę? — zwrócił się do kelnera, który przyniósł kawę Metaxie.

Kelner zrobił rachunek.

— Cztery marki. I jeszcze jedna marka za pasztecik, który pan skonsumował owego dnia, kiedy restauracja była zamknięta. Gospodarz prosił, żeby panu przypomnieć o tym małym długu...

Maramballe wyjął portfel, przeliczył pieniądze „wywołując” je przed oczami i podał kelnerowi.

— Proszę. Widzę, że pańskiemu szefowi odechciało się umierać.

Maramballe pożegnał się i odszedł terkocząc automatyczną grzechotką, która przy każdym jego kroku wydawała niezbyt głośny, lecz charakterystyczny dźwięk. Przechodnie, którzy jeszcze nie zdążyli zaopatrzyć się w ten nowy wynalazek, oznajmiali o sobie monotonnym — „idę, idę”.

Na wszystkich skrzyżowaniach ulic głośniki przypominały o przepisach ruchu ulicznego.

Tłum na chodnikach szedł powoli i karnie, trzymając się prawej strony. Policjanci na skrzyżowaniach od czasu do czasu dawali sygnał trąbką, zatrzymując ruch tramwajów i pojazdów, by piesi mogli przejść na drugą stronę ulicy.

Samochody i tramwaje poruszały się również bardzo wolno, dając bez przerwy sygnały dzwonekami i syrenami. Dźwięki te były przytłumione, by uniknąć wzajemnego zagłuszenia. Na ulicy zrobiło się o wiele ciszej niż dawniej. Mieszkańcom miasta szybko zaostrzał się słuch.

Nikogo już nie wprowadzał w błąd widok cichego upiornego tramwaju stojącego na przystanku. Wszyscy wiedzieli, że widzialny tramwaj dawno już odjechał. Lecz kiedy słychać było szum nadjeżdżającego niewidzialnego tramwaju, pasażerowie, orientując się dzięki dzwonekowi, po omacku znajdowali wejście i przestrzegając ściśle kolejki wchodzili do wagonu. Na szczęście słupki oznaczające przystanki, domy, jak wszystkie przedmioty nieruchome, były dobrze widzialne, chociaż były „przestarzałym” odbiciem przedmiotów.

VI. Zabawa w ciuciubabkę

Nie bacząc na stan obłączenia i wszystkie środki ostrożności, przestępcy dokonali kilku napadów rabunkowych. Dlatego we wszystkich domach zachowywano specjalną ostrożność, by razem z lokatorami nie przedostawali się do domów złodzieje, korzystający z chwilowej niewidzialności.

Kiedy Maramballe podszedł do domu Leera i zadzwonił, portier ostrożnie uchylił drzwi trzymając je na łańcuszku i wpuścił Maramballe'a dopiero wtedy, gdy poznał jego głos. Maramballe z trudem przecisnął się przez uchylone drzwi i poczuł, że portier dotknął lekko jego pleców, by się przekonać, czy nie ma kogoś za nim, i natychmiast zamknął drzwi.

— Czy panna Wilhelmina wróciła? — zapytał Maramballe.

— Przed chwilą — odparł portier.

Maramballe udał się po schodach zasłanych czarnym chodnikiem — przed „końcem świata” chodnik był czerwony — wszedł do wielkiego salonu i rozejrzał się dokoła.

Wilhelmina w stroju podróżnym, z małą walizką w rękę, stała przed otwartymi drzwiami gabinetu Leera i rozmawiała z ojcem. Ścisłej mówiąc, poruszała bezdźwięcznie wargami. Potem ojciec tak samo bezdźwięcznie powiedział jej coś, pogłaskał po policzku i wszedł do gabinetu zamykając drzwi za sobą. Wilhelmina szybko poszła do swego pokoju, przez drzwi na prawo.

Maramballe był w kłopotcie. Wiedział, że widzi to, co się działo przed kilkunastu minutami. Ale czy Wilhelmina wróciła już do salonu?

Z kłopotu wybawił go głos Wilhelminy, który rozległ się w jadalni. Wilhelmina zaśpiewała coś, a potem, usłyszawszy widocznie zbliżające się kroki, przerwała i spytała:

— Kto to?

— Dzień dobry, panno Wilhelmino — rzekł Maramballe przechodząc ostrożnie do jadalni. — Witam panią po powrocie.

— To pan Maramballe, dzień dobry! — Panna Leer poszła na spotkanie gościa.

— Jakie to ciekawe, nieprawda? Cały świat bawi się w ciuciubabkę. Gdzie pan jest?

I ze śmiechem kręciła się dokoła niego, jak gdyby nie mogąc go znaleźć. A Maramballe bezradnie podnosił ręce, chwytając powietrze.

— Za pięć minut, kiedy pan się ujawni, będę się śmiała z pańskiej głupiej miny — kpiła sobie panna Leer. — Oto jest moja ręka, niech pan trzyma — zlitowała się wreszcie nad nim. Usiedli przy stole.

— Nie widzieliśmy się już tak dawno! — rzekł Maramballe. — Działo się to jeszcze w starym świecie, kiedy ludzie widzieli terażniejszość, a nie przeszłość. Jak pani spędziła czas u panny Alicji?

— Znakomicie — odpowiedziała Wilhelmina. — W pierwszej chwili przestraszyliśmy się bardzo. A potem doszliśmy do wniosku, że to jest nawet interesujące. Ale wie pan, to już zaczyna być przykre. Żegnaj tenisie! Nie będziemy już mogli grać w tę cudowną grę!

— Są „gry” o wiele ważniejsze — rzekł Maramballe. — W wielu fabrykach przerwano pracę. Jeżeli to potrwa dłużej, nadejdą straszne czasy.

— Wymyślą na to jakiś sposób — odparła beztrąsko Wilhelmina. — Nauczą się pracować po ciemku. Przecież niewidomi pracują. I w ogóle niech mi pan nie psuje humoru. Niech pan sobie wyobrazi, że grałyśmy u przyjaciółki w ping-ponga. To było coś niezwykle śmiesznego!

— Tak, to prawda, ludzie przystosowują się do wszystkiego. Dziś po raz pierwszy czynne będą nawet teatry. W operze grają dziś „Fausta”.

— Wyobrażam sobie, co się będzie działo. Mamy abonament w operze. Niech pan wieczorem wstąpi po mnie, to pojedziemy do opery, do naszej łoży.

— A ja chciałem zaproponować pani miejsce na parterze, to jest bliżej sceny — jeśli tylko pani raczy zejść tak nisko.

— Raczę zejść — odpowiedziała Wilhelmina. — Chodźmy na parter. Ale jak muzycy będą odczytywać nuty?

— Soliści i orkiestra wykonają swą partyturę z pamięci. Znają ją doskonale. Oczywiście wrażenie wzrokowe nie będzie odpowiadało słuchowemu. Ale z tym trzeba się pogodzić.

— A co będzie z naszą muzyką i śpiewem, panie Maramballe?

— Będziemy odczytywać nuty jak krótkowidze i nauczymy się ich na pamięć.

— Czy przyniósł pan nowe piosenki?

Przyniosłem — odpowiedział Maramballe obserwując jak „widmo” Wilhelminy wchodzi do jadalni, ubrane w różowe kimono. Dopiero teraz Maramballe dowiedział się, w co jest ubrana siedząca obok niego Wilhelmina.

— Proszę mi je dać — dziewczyna wyciągnęła rękę.

— Proszę bardzo — odparł Maramballe wchodząc niepostrzeżenie do salonu.

— Gdzie pan jest?

— Tutaj, czy pani mnie nie widzi? — roześmiał się Maramballe powtarzając jej zabawę w chowanego.

Trzeba powiedzieć, że ta zabawa bardzo mu się podobała. Zaczął biegać po salonie, a Wilhelmina goniła go. Maramballe bawił się doskonale. I kiedy nagle Wilhelmina złapała go na środku pokoju, Maramballe objął ją i mocno pocałował.

Wilhelmina wyrwała się z jego objęć.

— Pan oszalał!

W tej samej chwili usłyszeli dobrze znane, utykające kroki lejtnanta Blittersdorfa. Lejtnant odniósł podczas wojny ranę w nogę i od tego czasu utykał.

Z wesołości Maramballe'a i Wilhelminy nie zostało śladu. Lejtnant zjawił się niby posąg Komandora i młodzi stanęli zakłopotani jak don Juan i donna Anna. Co prawda Komandor nie mógł jeszcze nic widzieć. Mógł tylko usłyszeć podejrzany hałas. Ale minie kilka minut i cały obraz „postanie wywołany”. Jedyne sposobem ratunku — to wyprowadzenie lejtnanta z tego pokoju, zanim przeszłość nie stanie się widzialną „teraźniejszością”.

Wilhelmina, tak samo jak Maramballe, wiedziała już dobrze o tym, że im bliżej przedmiot się znajduje, tym szybciej się ujawnia.

Pobiegła więc śmiało w kierunku zbliżających się kroków, wzięła lejtnanta za rękę i usiłowała poprowadzić go dokoła pokoju, ku drzwiom wiodącym do gabinetu ojca.

— To pan, jak to dobrze się składa! — szczebiotała popychając przyjaźnie lejtnanta. — Ojciec bardzo się ucieszy, że pan przyszedł. Chodźmy do niego...

— Zdaje się, że przeszkodziłem — rzekł pochmurnie Blittersdorf. — Witam, panno Wilhelmino — i lejtnant zatrzymał się, by pocałować ją w rękę. Dziewczyna przyspieszyła tę ceremonię i znów pociągnęła za sobą lejtnanta w stronę zbawczych drzwi.

— Dlaczego mnie pani prowadzi taką okrężną drogą? — zapytał Blittersdorf zatrzymując się ponownie.

— Bo przyjechałam przed chwilą i rozstawiłam walizki na podłodze, moglibyśmy się przewrócić. Ach, jak pan wolno się porusza! — strofowała Wilhelmina lejtnanta.

— A może ojciec pani jest zajęty?

— Skądże, chodźmy...

A oto drzwi niosące ratunek... Wilhelmina szybko zapukała, otworzyła drzwi nie czekając na odpowiedź ojca, nieomal wepchnęła lejtnanta do gabinetu i rzuciwszy kilka słów, poszła „sprzątnąć walizki”, zamykając szczelnie drzwi za sobą.

— Gdzie pan jest? — zapytała szeptem po powrocie do salonu.

— Tutaj — tak samo cicho odpowiedział winowajca, don Juan.

— Niech pan natychmiast odejdzie... wstrętny!

Lecz Maramballe nie śpieszył się. Ogarnęła go niepohamowana chęć zobaczenia całej sceny zabawy w ciuciubabkę, sceny, która już zaczynała się ujawniać: Maramballe to zbliżał się, to oddalał. Kiedy podchodził bliżej, wydarzenia działy się w przyspieszonym tempie, jak gdyby ktoś kręcił szybciej taśmę filmową. Kiedy zaś cofał się, ruchy grających w chowanego stawały się wolniejsze. Wreszcie, cofając się z szybkością większą od szybkości światła, widział wszystko w odwróconej kolejności. Wilhelmina również zapaliła się do tego „filmu”. Opamiętała się jednak i zapytała cicho:

— Pan jest jeszcze tutaj?

— Tak — odpowiedział Maramballe wzdychając słodko.

— Niech pan już sobie idzie, szalony człowieku!

— Zaraz, tylko popatrzę na najciekawszą scenę.

Maramballe, poruszając się w różnych kierunkach, znalazł moment pocałunku i zaczął powoli — z szybkością światła — cofać się w stronę drzwi. A upiorna para jak gdyby zastygła w pocałunku.

— Zdumiewające! — powiedział Maramballe. — A jednak pojedziemy do opery!

Maramballe usłyszał, jak Wilhelmina niecierpliwie tupnęła nogą.

— Idę, idę! — I Maramballe wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Na jego spotkanie szedł schodami groźny cień Komandora — lejtnanta Blittersdorfa. Jego rude, puszyste wąsy sterczały do góry jak wąsy Wilhelma II.

— Fe, przekłete widmo! — zaklął Maramballe. I demonstracyjnie przeszedł przez widmo lejtnanta, trącając ramieniem swego rywala.

Kiedy Maramballe wyszedł, Wilhelminę ponownie ogarnął niepokój. Wiedziała, ile niebezpiecznych niespodzianek kryje w sobie nowy porządek rzeczy. Podeszła cicho do zamkniętych drzwi gabinetu ojca i dotknęła ich ręką. Obawy Wilhelminy sprawdziły się: drzwi były otwarte. To oczywiście sprawka lejtnanta. Otworzył je prawdopodobnie po wyjściu Wilhelminy z gabinetu. Szło teraz o to, czy odbicie sceny zabawy w ciuciubabkę dotarło do lejtnanta, siedzącego w gabinecie ojca. Wilhelmina stanęła z boku i przymknęła drzwi. Lecz gdy po kilku minutach znów podeszła do drzwi gabinetu, okazało się, że ktoś je znów otworzył. Czy miała stanąć przed drzwiami i zasłonić własnym ciałem ujawnioną scenę? Lecz przecież nie mogła „zasłonić” odbicia, które znajdowało się już przed nią. Zrozpaczona poszła do swego pokoju i zamknęła się na klucz.

Wilhelmina denerwowała się nie bez powodu.

Lejtnant, podejrzewając, że coś jest nie w porządku, wziął się na sposób. Po przywitaniu się z Leerem, postawił fotel przed drzwiami i otworzył je. Wkrótce zaczęła się ujawniać cała scena zabawy w ciuciubabkę. Wówczas lejtnant zaczął mówić z ojcem Wilhelminy na temat Maramballe'a.

— Nie śmiem oczywiście udzielać panu rad, panie Leer, lecz wydaje mi się, że ze względu na pańskie stanowisko nie jest rzeczą właściwą, by dom pana odwiedzał dziennikarz zagraniczny. A przy tym znajomość Maramballe'a z panną Wilhelminą może spowodować niewłaściwe komentarze i zaszkodzić opinii pańskiej córki...

— Mnie również nie podobają się te wizyty! Ale co mogę zrobić? Narwana dziewczyna... Gdyby żyła jej matka — odparł Leer z westchnieniem — wszystko wyglądałoby inaczej. Ale nie wątpię, że ich kontakty posiadają całkiem niewinny charakter. Sport, muzyka...

— Całkiem niewinny? — lejtnant zaczął ciężko dyszeć. — A czy nie zechciałby pan zajrzeć do salonu?

Leer podniósł się zza biurka, podszedł do drzwi i krzyknął ze zdumienia.

Ujrzeni zakończenie gry w chowanego. Na środku salonu bezdźwięczny cień Maramballe'a całował widmo Wilhelminy. Zazdrosnym oczom lejtnanta nie uszło nawet to, że Wilhelmina niezbyt szybko oderwała swe usta od ust młodzieńca i że jej oburzenie nie było szczere.

Krew przy płynęła powoli do twarzy lejtnanta.

— Ja... zabiję go! — powiedział cichym, zdecydowanym głosem. — Wyzwę na pojedynek i zabiję.

Leer wrócił do biurka i oszołomiony tym, co zobaczył, opadł ciężko na fotel.

— Tak, to jest straszne... Wilhelmina zawiodła moje zaufanie. Ale jak pan sobie wyobraża przeprowadzenie pojedynku?

— Na widzianego czy po omacku, wszystko mi jedno. Na pistolety. Aż do skutku.

— A jeżeli on nie przyjmie wyzwania?

— Zabiję go. Teraz można to łatwiej zrobić niż dawniej.

Rozmowa nie kleiła się. Lejtnant pożegnał się wkrótce i skierował ku drzwiom.

Wilhelmina słyszała, jak odchodził, i pomyślała: „Nie pożegnał się ze mną! Gniewa się! Na pewno widział wszystko. Ale czy ojciec widział?”

W tej samej chwili rozległ się głos jej ojca:

— Wilhelmino, proszę do mnie!

Między ojcem i córką odbyła się długa i bardzo przykra rozmowa.

VII. Ostatnia schadzka

Maramballe był bardzo podniecony, kiedy podjeżdżał wieczorem do domu Wilhelminy. Czy udało się jej ukryć „ślady zbrodni”?

Zadzwoił i zapytał portiera, czy panna Wilhelmina jest w domu.

— Wyjechali! Nie przyjmują! — Odparł gniewnie portier i zatrzasnął drzwi.

Maramballe gwizdnął przeciągle.

— Kiepska sprawa! „Wyjechali i nie przyjmują”. Wygląda na to, że odmówili mi prawa wstępu...

Spodziewał się jednak, że zobaczy Wilhelminę w operze, i pojechał tam.

Przecisnąwszy się ostrożnie do drugiego rzędu, zajął miejsce i zaczął się rozglądać po łozach. Lecz łoża Leerów była pusta. „A może ona się jeszcze nie ujawniła?” — Maramballe

myślał o Wilhelminie i nie tracił nadziei.

Sąsiad z lewej strony trącił go ramieniem i wymamrotał przeproszenie.

— Nie szkodzi, niech pan nie przeprasza. Wszyscy jesteśmy ślepi, a ślepiec nie może nie potrafić drugiego — odpowiedział Maramballe z francuską rozmownością. W tym samym momencie usłyszał, jak ktoś mu szepcze na ucho:

— Przepraszam! Chciałem się tylko przekonać, czy to jest pan. Dziś, punktualnie o dziesiątej, pierwszy sekretarz Leer jedzie do ministra. Akta numer sto siedemdziesiąt cztery będą leżały na jego biurku.

— Metaxa! Jak pan tu się znalazł?

— Tak samo jak i pan — odparł Grek.

Nie było w tym istotnie nic dziwnego. Miejsca korespondentów zagranicznych znajdowały się w tym samym rzędzie. Metaxa widocznie postarał się o to, by znaleźć się w sąsiedztwie Maramballe'a.

— Proszę pana — rzekł Maramballe — dlaczego pan hipnotyzuje mnie ciągle aktami numer sto siedemdziesiąt cztery? Czego pan chce ode mnie?

— Tsss! — Nachylając się do ucha Maramballe'a Metaxa powiedział:

— Przecież sam pan wie, że na tej sprawie można zarobić. Mam swoich ludzi w domu Leera i wiem o wszystkim, co się tam dzieje. Ale trudniej mi jest przeprowadzić tę sprawę niż panu. Pan jest tam swoim człowiekiem.

Przy potoczystych, triumfalnych dźwiękach uwertury Metaxa rozwijał szczegóły swego planu.

— Poinformowałem pana o tych aktach, wskazałem panu kierunek, zarobi pan tysiące. A mnie da pan za to tylko tysiąc marek...

Mózg Maramballe'a zaczął pracować. Metaxa ma rację. Na tej sprawie można zarobić. Tak, Wilhelmina zaczęła zabawę w ciuciubabkę w nieodpowiednim czasie! Gdyby nie ten tragiczny pocałunek!... Sytuacja bardzo się skomplikowała. Czy trzeba coś dać temu Grekowi za fatygę? Maramballe postara się zdobyć tajne akta, ale nie ma zamiaru dzielić się z Metaxą.

— Po pierwsze, pan się na próżno wysila, panie Metaxa — szepnął Maramballe na ucho sąsiadowi. — Wiem lepiej od pana o wszystkim, co się dzieje w domu Leerów. I o aktach numer sto siedemdziesiąt cztery wiedziałem o wiele wcześniej, zanim pan zakomunikował mi tę „nowinę”. A po drugie, nie mam zamiaru bywać więcej w domu Leerów.

— Lejtnant nie pozwala? — zapytał zjadliwie Grek zrozumiałwszy, że Maramballe uchyla się od podziału zysków.

— To jest moja sprawa — odparł oschle Maramballe.

„Jaki brak kultury!” — oburzył się na nietaktowne pytanie Greka zapominając o tym, że sam prowadzi nieczystą grę.

Uwertura się skończyła. Ze sceny rozległ się już głos Fausta, kurtyna była wciąż jeszcze spuszczone. I dopiero kiedy Mefistofeles na wezwanie Fausta odezwał się: „I ja jestem tutaj!”, rozpoczął się spektakl dla pierwszych rzędów. Między śpiewem, grą artystów i orkiestrą nie było żadnego związku. Tylne rzędy ujrzały podniesienie kurtyny dopiero po zakończeniu pierwszego aktu. — „A ostatnią odsłonę galeria będzie oglądać jako niemą scenę, po zakończeniu opery... Przepadła opera!”

W środku drugiego aktu Maramballe wyszedł ostrożnie i skierował się ku drzwiom. Oglądając się na scenę widział jak gdyby powtórzenie odsłony w odwróconej kolejności. Ale to już go nie interesowało.

Wrócił do domu i zadzwonił do Wilhelminy.

Zastał ją, lecz rozmowa nie sprawiła mu szczególnej przyjemności.

— Ojciec i lejtnant widzieli wszystko — opowiadała. — Miałam bardzo przykrą rozmowę z ojcem. I byłoby najlepiej, panie Maramballe — tu głos Wilhelminy zadrżał — gdyby pan nie pokazywał się w naszym domu przynajmniej przez jakiś czas, aż się wszystko

uspokoi.

Zabrakło jej siły woli, by zerwać z nim z miejsca.

Maramballe, usłyszawszy ten wyrok z ust Wilhelminy, wpadł w wielką rozterkę.

Zerwanie w takim momencie, kiedy jak nigdy dotąd pragnął znaleźć się w domu Leerów! Jutro już będzie za późno. Akta numer sto siedemdziesiąt cztery zostaną pogrzebane w kasie pancерnej lub wpadną w ręce jakiegoś Metaxy. Nie wolno zwlekać. Maramballe'em targały najsprzeczniesze uczucia. Pocałunek jak mocna trucizna przeniknął mu do serca i zdawało mu się, się podczas rozmowy telefonicznej w głosie Wilhelminy dźwięczał smutek. A może ona go kocha? W tym momencie miał wrażenie, że i on kocha ją do szaleństwa. Z niespodziewanym wybuchem namiętności zaczął błagać Wilhelminę, by pozwoliła mu przyjść po raz ostatni, „pożegnać się na zawsze”.

W sportowym sercu Wilhelminy zachowały się widocznie jakieś resztki sentymentalizmu. Wzruszył ją szczery ton Maramballe'a. Zawahała się, a Maramballe, wzdychając i jęcząc do słuchawki, usiłował ją przekonać.

— Chcę tylko popatrzeć... Ostatni raz!

— Ale ojciec nakazał portierowi, żeby pana nie wpuszczał — wyznała zrozpaczona Wilhelmina.

— To nie ma znaczenia! — odparł Maramballe, ożywiony nową nadzieją. — Wejść od strony ogrodu, a pani otworzy mi drzwi...

— Ale w ogrodzie są dozorczy. Przecież pan wie, że teraz wzmocniono wszędzie straż.

— Dozorcom na pewno nie powiedziano, żeby mnie nie wpuszczali. Ostatecznie, przekradnę się koło nich... Byle tylko popatrzeć!

— Więc zgoda. Ale niech pan prędko przyjdzie, zanim ojciec nie wróci.

Maramballe rzucił słuchawkę i zaczął się uwijać po pokoju, szukając rękawiczek i kapelusza.

— „Boże wszechmocny, Boże miłości, wysłuchaj modlitwy mojej” * — zaśpiewał i pognał przez korytarz, omal nie przewracając pani Neukirch.

Maramballe pomyślnie ominął dozorców i niepostrzeżenie wszedł do domu Leerów. Skierował się do salonu i stanął, kaszlnąwszy cicho.

— Jestem tutaj — odpowiedziała szeptem Wilhelmina — przy fortepianie.

Maramballe zrobił kilka kroków i nagle zatrzymał się niezdecydowany. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążył ułożyć sobie planu działania. Czy ma odegrać rolę niepokieszonego kochanka, czy też korzystając ze sposobności przedostać się do gabinetu, zabrać teczkę i uciec. Kobieta czy pieniądze? W ciągu kilku sekund toczył ze sobą walkę. W końcu doszedł do wniosku, że Wilhelmina i tak jest dla niego stracona, i dlatego należy zdobyć teczkę z aktami numer sto siedemdziesiąt cztery.

Nawet powziąwszy tę decyzję nie mógł posunąć się zbyt daleko w wiarołomstwie wobec Wilhelminy. Byłoby to zresztą wielką nieostrożnością.

„Obrazić kobietę to rzecz nie tylko brzydka, ale i niebezpieczna. Kobiety umieją się mścić”. Maramballe wybrał drogę pośrednią. Wbiegł do gabinetu, nachylił się nad oświetlonym biurkiem, znalazł akta numer sto siedemdziesiąt cztery, wsunął pod kamizelkę i wybiegł do salonu. Wszystko to trwało pół minuty.

— Więc gdzie pani jest? — zapytał nieco głośniejszym głosem.

— Tutaj — odpowiedziała cicho Wilhelmina.

— A mnie się przywidziało, że pani mówi do mnie z gabinetu, i wszedłem tam. Nie może sobie pani wyobrazić, jak mi jest przykro z powodu tego, co zaszło!... Nie, nie tak. Jestem zachwycony tym, co zaszło między nami, lecz przykro mi, że nasz figiel został ujawniony... Ja... — Maramballe chciał powiedzieć „kocham panią”, lecz poczuł, że teczka wy-

* Słowa Walentego z opery „Faust” Gounoda.

suwa mu się spod kamizelki, więc położył dłoń. nieco niżej pod sercem i przyciskając kamizelkę, mówił dalej: — Będę zawsze pamiętać o pani... — „A może ona nagle powie, że mnie kocha?” — pomyślał przerażony. — „Nie, teraz nie czas na czułości”. — I odnalazłszy jej rękę, z szacunkiem ucałował czubki chłodnych palców.

— Żegnaj, Wilhelmino!

Dziewczyna poruszyła się i westchnęła. Może była niezadowolona z jego zbyt grzecznego postępowania i objawów szacunku? Maramballe w obawie, że Wilhelmina da wyraz swoim uczuciom, które mogłyby go zatrzymać i odegrać fatalną rolę, westchnął ciężko, odszedł od Wilhelminy i szepnąwszy jeszcze raz „Żegnaj”, pobiegł do drzwi.

Triumfował. Oto wreszcie na jego piersi leżała sensacja, która wprawi świat w zdumienie, a jemu da szansę ogromnego awansu. Droga do wielkiej kariery dziennikarskiej stała przed nim otworem.

VIII. Pościg

Maramballe tak zatopił się w marzeniach, że zapomniał o niezbędnej ostrożności i przebiegając przez ogród, z rozpędu wpadł na kogoś. Runął na ziemię wraz z nieznanym.

— Stój! Kto to? — rozległ się głos dozorczy.

Maramballe, przyciskając lewą ręką drogocenną teczkę, usiłował wstać, zakrywając twarz prawą ręką: nie zapomniał o wywołaniu. Na szczęście w ogrodzie było ciemno. Dozorca złapał go za nogę i wzywał kolegów na pomoc. Maramballe uwolnił się kopnięciem drugiej nogi w rękę, która go przytrzymała. Zerwał się i pobiegł.

Powstał hałas. Rozległy się gwizdki alarmowe, okrzyki, że wszystkich stron nadbiegali ludzie. Maramballe ruszył pędem do bramy ogrodu, obalił jeszcze jednego dozorcę i wybiegł na ulicę, zasłaniając twarz wolną ręką. Za kilka minut jego postać wyświecili się i ścigający pobiegną za widmem. Teraz mogli biec tylko za tupotem uciekających nóg. Maramballe musiał „zatrzeć ślady”, przebiegając przez jakąś zaciemnioną przestrzeń. Postanowił skierować się do pobliskiego Tiergartenu. Wbiegł na chodnik, wdarł się w tłum przechodniów i wbrew wszelkim przepisom ruchu ulicznego, pobiegł naprzód, przewracając ludzi. Pochylił głowę i jak miażdżący taran przebijał się przez tłum, zostawiając za sobą krzyki, jęki, wrzaski i przekleństwa. Przewróceni przechodnie stanowili barierę zatrzymującą prześladowców. Ułatwiało to sytuację Maramballe'owi, lecz z drugiej strony pasmo dźwięków było również ułatwieniem dla prześladowców, wskazując im kierunek pościgu.

W tym czasie w półmroku ogrodu wyświeciła się sylwetka jego postaci, a policjanci, którzy nadbiegli, skorzystali ze świeżego, ciepłego śladu i pośpieszyli za widmem uciekającego człowieka. Nie mogli podczas pościgu ustalić, czy mają wciąż jeszcze do czynienia z widmem, czy już z żywym człowiekiem i dlatego musieli przez cały czas chwytać urojonego przestępcę, lecz ich ręce natrafiały tylko na pustkę. Udało im się zresztą kilka razy kogoś złapać. Część ścigających zatrzymała się ze schwytanymi widmami, czekając na wyświecenie. Lecz spotkało ich rozczarowanie: pierwszym zatrzymanym był jakiś staruszek, drugim — pastor. Tylko dwóch młodych ludzi zaprowadzono do komisariatu, by przeprowadzić rewizję i stwierdzić tożsamość. Wszystko to utrudniało pościg, ale tym niemniej trwał on dalej.

Wkrótce Maramballe usłyszał charakterystyczny głos syreny. Był to powszechnie znany sygnał policji ścigającej przestępcę. Na głos syreny ruch na chodnikach zamierał. Przechodnie przyciskali się do murów domów, by dać drogę idącemu szybko oddziałowi policji.

Maramballe przeciął ulicę, dobiegł przez wolny od tłumy chodnik do narożnika i skręcił. Tutaj ruch uliczny jeszcze trwał. Tuż przy chodniku jechały wolno samochody, jeden za

drugim. Maramballe przysłuchał się, wybrał najbliższy samochód, wskoczył na stopień i wtargnął do wozu. W samochodzie rozległy się przerażone głosy kobiet.

— Przepraszam najmocniej — powiedział Maramballe, przekonawszy się, że nie zna tych głosów. — Omal nie wpadłem pod wasz samochód i musiałem do niego wskoczyć.

Zdarzały się istotnie takie wypadki i pasażerowie samochodu, słysząc uprzejmy głos przepraszającego Maramballe'a, uspokoili się.

Kiedy samochód znalazł się przed Tiergartenem, Maramballe wyskoczył cicho i pobiegł przez trawnik w półmrok drzew, omijając oświetlone ścieżki. Kluczył jak zając, a jedno oświetlone miejsce przebiegł odwrócony tyłem, by zmylić ślad.

Odgłosy pościgu zostały daleko w tyle, lecz Maramballe w dalszym ciągu krążył po parku. Przebiegł całą lewą stronę Tiergartenu aż do ogrodu zoologicznego. W jakimś zupełnie ciemnym zakątku natknął się niespodzianie na młodą spokojną parkę. Maramballe podszedł z tyłu do młodzieńca siedzącego na ławce i zanim ten się zorientował, zerwał mu z głowy melonik i włożył swoją kraciatą czapkę — czapka już się wyświetliła i zapewne była znana ścigającym.

Następnie zniknął w mroku drzew, przelazł przez pusty kiosk, wyszedł z parku i okrężną drogą udał się w przeciwną stronę miasta, do parku Treptow.

Po dłuższej włóczędze po ciemnych zakątkach tego parku doszedł do wniosku, że ostatecznie zatarł za sobą ślady. Mimo to postanowił nie wracać do domu z cenną teczką. Jeśli ktoś z prześladowców zdołał go rozpoznać, to policja na pewno przeprowadzi rewizję w jego pokoju. Gdzie ukryć na jakiś czas akta numer sto siedemdziesiąt cztery? U Layle'a. Nic lepszego nie można wymyślić. Znajomy Layle'a, urzędnik ambasady angielskiej, ustąpił mu swego pokoju na okres letni. Co prawda, gmach ambasady znajdował się na końcu Unter den Linden, obok Tiergartenu, całkiem blisko miejsca przestępstwa. Lecz za to eksterytorialność ambasady stanowiła najlepszą ochronę przed wtargnięciem policji. Czy jednak Layle zgodzi się ukryć w swym pokoju taki dokument? Można obejść się bez jego zgody! I kiedy Maramballe podjeżdżał do gmachu ambasady, miał już plan gotowy.

IX. Późna wizyta

W ambasadzie znano Maramballe'a — nieraz bywał u Layle'a. Więc bez specjalnych trudności udało mu się przedostać na „terytorium angielskie”.

Layle był w domu.

Maramballe przygotował się do szybkiej akcji. Przed naciśnięciem dzwonka wyjął teczkę i przytrzymał ją za plecami. W momencie gdy Layle otworzył drzwi, Maramballe podszedł do łóżka, podniósł materac i umieścił pod nim swój skarb. Wszystko to było zrobione z takim wyliczeniem, by Layle nie spostrzegł podrzuconej teczki, gdy wyświetli się scena przybycia Maramballe'a. „Teczka może poleżeć spokojnie pod materacem kilka dni. A kiedy wszystko się ułoży, wydostanę ją stamtąd w taki sam sposób” — pomyślał Maramballe.

Po schowaniu teczki przysiadł na brzegu łóżka.

— Uff, jestem okropnie zmęczony! — powiedział opierając się o wezgłowie.

— Gdzie pan usiadł? — usłyszał głos Layle'a. — Na łóżku? Niech pan siada tutaj, na fotelu.

— Dziękuję panu, muszę odsapnąć. Wolę siadać na łóżkach. Fotele są ostatnio zdradliwe. Nigdy nie wiadomo, czy stoją na miejscu, czy nie. Już kilka razy padałem siadając na urojony fotel. A łóżko zawsze stoi na tym samym miejscu. Łóżko to solidna rzecz! — Maramballe poklepał czule miejsce, w którym leżała teczka z aktami.

Na jakimś zegarze miejskim wybiła północ.

Layle milczał wyczekująco.

Trzeba było wymyślić przyczynę nieoczekiwanej wizyty.

— Jestem tak podniecony, że nie mogę usiedzieć w domu — powiedział Maramballe — i przyszedłem do pana, by zwierzyć się z moich obaw. Byłem dopiero co w Towarzystwie Astronomicznym. Słuchałem referatu pewnego astronoma. Otóż przepowiada on, że szybkość światła zmniejszy się jeszcze bardziej. Światło przebywać będzie jeden metr w ciągu dwunastu godzin i trzech sekund! Wyobraża pan sobie, co to będzie? Całą noc po ulicach i w instytucjach będą się bezszelestnie popychać dzienne cienie, a w dzień Berlin będzie wyglądać jak pustynia... Światło elektryczne trzeba będzie zapalać wczesnym rankiem, żeby paliło się wieczorem, a gasić w ciągu dnia. Niech pan sobie wyobrazi, co się będzie działo nocami w Reichstagu? Oświetlona sala i widma działaczy politycznych, decydujących o losach milionów ludzi... My, korespondenci, będziemy musieli słuchać w dzień, a fotografować w nocy te widma. Albo weźmy na przykład bank. Jak pan otrzyma pieniądze, jeżeli kasjer zobaczy pana i pańskie dokumenty dopiero za kilka godzin? I jak stwierdzić, że pan rzeczywiście otrzymał pieniądze, a nie stare numery „Berliner Tageblatt”. A przemysł! Przemysł zostanie zupełnie unieruchomiony. Będziemy się czuli tak, jak gdybyśmy oślepli. Cały świat oślepie. To będzie katastrofa, zagłada, koniec, śmierć...

Maramballe tak się zapalił, że nastraszył samego siebie tymi groźnymi obrazami. Lecz poruszywszy się na łóżku, przypomniał sobie o drogocennej teczce i, by jeszcze bardziej odwrócić uwagę Layle'a, zakończył patetycznie:

— Jak nędzne i znikome wydają się wobec światła — ściślej mówiąc, wobec umierającego światła — wszystkie „wielkie” sprawy, przemysłne porozumienia dyplomatyczne i tajne układy!

Layle, jak prawdziwy Anglik, słuchał spokojnie, nie przerywając gościowi. Zdawało się tylko, że kłęby dymu płynące z nieodstępnej fajki stały się gęstsze.

— Jaki to astronom mówił o tym? — zapytał.

— No ten, jakże się on nazywa, mam to nazwisko na końcu języka. Coś jak Schwarzbrot czy jak Butterbrot, w żaden sposób nie mogę zapamiętać tych niemieckich nazwisk.

— Dziwne — wycedził Layle przez zęby.

— Te wiadomości utrzymywane są w tajemnicy, żeby nie denerwować szerokiego ogółu.

— Dziwne. Ja też byłem na posiedzeniu Towarzystwa Astronomicznego — ciągnął dalej Layle.

„Że ten angielski dragal łązi wszędzie tam, gdzie nie trzeba!” — pomyślał ze złością Maramballe.

— I wszyscy uczeni twierdzili jednogłośnie, że według ich obserwacji szybkość światła wzrosła w ciągu minionej doby o dalsze cztery sekundy na metrze.

— No i zrozum człowieku tych uczonych! — Maramballe rozłożył szeroko ręce. Usiłował zachować obojętną minę, lecz w duszy ucieszył się niezwykle z nowej wiadomości. Wraz z każdą sekundą przyspieszenia szybkości światła i powrotu do normalnego życia zwiększała się wartość „teczki-nicości”, na której siedział.

W obawie, że Layle zada mu dalsze pytania, związane z przebiegiem posiedzenia Towarzystwa Astronomicznego, Maramballe zmienił temat.

— Pocieszyl mnie pan. Bo niech pan sobie wyobrazi, siedzę w operze. Walenty śpiewa „Boże wszechmocny, Boże miłości”, tymczasem na scenie Mefistofeles zajęty jest jeszcze odmładzaniem Fausta. Ale czas już na mnie.

Maramballe niepostrzeżenie poprawił materac, pożegnał się z Layle'em i odszedł. Nie zatroszczył się bynajmniej o to, że ukrywając tajny dokument w pokoju przyjaciela naraża go na poważne niebezpieczeństwo.

X. Zaginione dokumenty

Wilhelmina słyszała hałas, który powstał w ogrodzie po odejściu Maramballe'a, lecz zrozumiała to po swoim. Widocznie Maramballe nie chciał podać swego nazwiska, by nie skompromitować jej jeszcze raz swą tajną wizytą.

„Tak, on jest szlachetny — myślała kołyszając się na bujaku. — I jaki był niezwykle opanowany! A może on mnie kocha?...”

Zdawało się, że w sercu Wilhelminy, mistrzyni w wielu dziedzinach sportu, dziewczyny z krótko ostrzyżonymi włosami i w sukience ledwie zasłaniającej kolana — zaczęły się budzić, uśpione od wieków, uczucia jej sentymentalnych babek i prababek, które nosiły peruczki i krynoliny.

Tajna schadzka... Nieszczęśliwy kochanek... Surowy ojciec... Rywal... Wszystko jak w powieści!

„Ojciec nie zgodziłby się oczywiście na nasze małżeństwo. No cóż, tym lepiej. Uciekła-bym z Ludwikiem, tak jak moja prababka Karolina uciekła z pradziadkiem... Nizza, Sorrento, Algier”...

Marzenia przerwał tupot czterech nóg. Nieomal wrogo przyjęła to wtargnięcie dwudziestego wieku w jej fantastyczny świat romantycznych rojeń — zwłaszcza gdy poznała charakterystyczne utykanie lejtnanta.

Wilhelmina wiedziała, że znów stanie się przedmiotem „napaści”. Po fatalnym pocałunku ojciec długo i rozwlekle pouczał ją o moralności, o zasadach dobrego tonu, o swym stanowisku służbowym, o jej obowiązkach wobec niego, o lekkomyślności i na zakończenie oświadczył, że będzie spokojny dopiero wówczas, kiedy ona wyjdzie wreszcie za mąż za lejtnanta.

„Nie można znaleźć lepszego męża. Lejtnant nie jest jeszcze stary, ma doskonałą opinię u przełożonych, wyrobione stosunki, jest bliskim przyjacielem następcy tronu... — Ojciec zniżył głos, chociaż byli sami w gabinecie, i ciągnął dalej: — Republika nie potrwa długo. Naród niemiecki jest za monarchią. Niemcy powinny znów stać się cesarstwem. To jest nieuniknione. Powinnaś więc zrozumieć, jakie perspektywy otworzą się wówczas przed baronem Blittersdorffem!... Powinnaś mu być wdzięczna za to, że nie zrezygnował z twojej ręki po tym, co zaszło. Ale baron w rozmowie ze mną domagał się, żeby ślub odbył się jak najprędzej, i ja rozumiem go doskonale”.

Wilhelmina nic wówczas nie odpowiedziała i w milczeniu poszła do swego pokoju. Była zbyt dumna, by się usprawiedliwiać i dziękować lejtnantowi za jego „wspaniałomyślność”. A ojciec długo jeszcze przekonywał jej „widmo”, zanim się przekonał, że córka już dawno opuściła gabinet.

I oto teraz idą, przychodzą po odpowiedź... Kroki rozlegały się coraz bliżej. Słysząc już było głos ojca i lejtnanta. Wilhelmina chciała uciec do swego pokoju, lecz przypomniawszy sobie, że ucieczka zostanie ujawniona, pozostała na miejscu.

— Czy to pani, czy pani widziadło, panno Wilhelmino? — usłyszała głos lejtnanta, który wszedł do salonu.

— Widziadło — odparła. — Widziadło prababki Karoliny. Czy nie widzi pan loków i krynoliny?

Wilhelmina, jak wszystkie kobiety jej sfery, umiała doskonale ukrywać uczucia pod maską naturalnej swobody. Kłamstwo uważane było w jej świecie za dowód dobrego wychowania.

Lejtnant, wyteżając swoją niezbyt wielką inteligencję, usiłował być dowcipny. Wywiązała się wesoła pogawędka, a ojciec Wilhelminy przeszedł do swego gabinetu.

— Wilhelmino, czy nie ruszałaś papierów na moim biurku? — rozległ się zaniepokojony głos Leera.

— Nie, nie wchodziłam do gabinetu — odparła.

— To dziwne — mruzczał Leer szukając na biurku teczek. Następnie wyszedł z gabinetu i rzekł drżącym głosem:

— Zginęła mi z biurka teczka z dokumentami... Bardzo ważne poufne dokumenty...

— Po prostu nie możesz ich znaleźć — powiedziała spokojnie Wilhelmina, chociaż w jej sercu poruszyło się jakieś niewyraźne, nie sprecyzowane jeszcze, lecz przykre uczucie.

— Chodźmy, pomożemy ojcu szukać — zwróciła się do lejtnanta.

Zaczęli we troje przeszukiwać biurko, ale teczek z aktami nie było.

— A może schowałeś akta do kasy? — zapytała.

— Skądże znowu — odpowiedział ojciec podrażnionym tonem. — Dokumenty leżały tutaj, z brzegu, w żółtych teczkach. Czy nie przychodził do nas ktoś obcy?

Wilhelminie zrobiło się słabo. „Maramballe! Czyżby to on?... Maramballe wszedł do gabinetu, wybiegł tak pośpiesznie, uciekł przed dozorcami... To mógł zrobić tylko on...”

Nigdy jeszcze Maramballe nie był tak bliski katastrofy jak w tym momencie. Gdyby Wilhelmina wymieniła jego nazwisko, wszystkie rachuby związane z teczką numer sto siedemdziesiąt cztery wzięłyby w łeb, a Maramballe znalazłby się w więzieniu. Lecz na jego szczęście w sercu Wilhelminy nie umilkły jeszcze głosy jej romantycznych babek i Wilhelmina odpowiedziała „nie”, zanim uświadomiła sobie ogrom wiarołomstwa „nieszczęśliwego kochanka”. Ale słowo się rzekło. Lecz nie zdążyła jeszcze powiedzieć „nie”, gdy w jej sercu wybuchła burza. Więc Maramballe oszukał ją jak prowincjonalną kozę! Grał rolę nieszczęśliwego kochanka po to, by wykorzystać jej zaufanie dla swych niecznych zamierzeń... Zawahała się znów, już chciała wymienić jego nazwisko.

Tymczasem Leer zaczął dzwonić na służbę. Dowiedział się od dozorców o pościgu za nieznanym w ogrodzie. Ów człowiek mógł przedostać się do domu tylko przez drzwi prowadzące do ogrodu. Ale kto mu je otworzył? Tego nie można było stwierdzić. Zadzwoił telefon. Z dyrekcji policji zakomunikowano, że przestępca udało się uciec. Wilhelmina nie wiedziała, czy ma się martwić, czy cieszyć. Była tak wściekła na Maramballe'a, że z zadowoleniem przyjęłaby wiadomość o jego aresztowaniu. Lecz z drugiej strony ujawniłoby to jej mimowolny udział w przestępstwie. Oczywiście nikt by jej nie podejrzewał o to, że świadomie pomagała przestępcom. Lecz jaka hańba, jaki wstyd zostać tak oszukaną!

Zdenerwowanie Wilhelminy doszło do punktu kulminacyjnego. Obrażona duma kipiała w niej, jeszcze chwila — i przestanie panować nad sobą. Kiedy ojciec powiedział tragicznym głosem: „Więc w moim domu znajdują się zdrajcy?” — Wilhelmina nie wytrzymała:

— Ojczy, muszę z tobą pomówić.

W tej samej chwili wszedł do pokoju nowy świadek — kucharz, który oświadczył, że ma coś ważnego do zakomunikowania.

— Proszę mówić — powiedział niecierpliwie Leer.

— Do naszej kuchni — zaczął kucharz swą opowieść — przychodził często jakiś Grek, handlujący jedwabiami. Sprzedawał je bardzo tanio. Moja żona oraz pomywaczka i żona portiera chętnie kupowały u niego. Ten Grek był również dziś wieczorem. Kiedy postawił kosz na podłodze i rozłożył materiały, kobiety zaczęły wybierać. Trwało to kilka minut. Nagle zgasło światło. Zdarzało się to teraz często, więc nie zwróciliśmy szczególnej uwagi. Tylko żona portiera roześmiała się i powiedziała, że tym razem światło zgasło w nieodpowiednim momencie. Spróbowałem przekreślić kontakt i po paru minutach światło zapaliło się znów. Ale Greka w kuchni już nie było, a kosz z jedwabiami stoi do tej chwili. Myśleliśmy, że Grek wyszedł na podwórze i wróci, ale nie wrócił dotychczas.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

— Dopiero przed chwilą dowiedzieliśmy się o zaginięciu dokumentów, wasza ekscelen-

cjo. A o Greka nie martwiliśmy się, Grek nie odda za darmo kosza z jedwabiami.

— Możesz odejść, Karolu. — A kiedy kucharz poszedł, Leer powiedział: — Tak, to jest możliwe. Z kuchni można przejść do jadalni, a z jadalni do gabinetu. Zbrodniarz mógł niepostrzeżenie wyłączyć światło w kuchni, potem przedostał się tutaj, porwał dokumenty i uciekł nie zauważony. Miał na to dość czasu. Ale co oznacza wobec tego zajście w ogrodzie? Kto był tam?

— Ten sam przestępca-Grek — wyraził przypuszczenie lejtnant. — Usiłował widocznie przejść przez ogród i wyjść na Budapesterstrasse, natknął się na dozorcę, który podniósł alarm.

— A może to był jeden z uczestników kradzieży? — powiedział Leer. — Niech pan będzie łaskaw, panie lejtnancie, pojechać do szefa policji i niech mu pan przekaże moją prośbę o podjęcie poszukiwań przestępcy przy pomocy wszystkich sił, jakie ma do dyspozycji. Chodzi o sprawę państwowej wagi.

Baron stuknął po wojskowemu obcasami i pożegnawszy się pośpiesznie, odszedł. Kiedy ucichły jego utykające kroki, Leer znużony opadł na fotel.

— Chciałaś mi coś powiedzieć, Wilhelmino?

— Tak... — Wilhelmina chciała wyznać, że w ich domu był Maramballe. Ale opowiadanie kucharza spowodowało, że nie była już pewna tego, czy Maramballe ukradł dokumenty. I nie opowiedziała ojcu o potajemnej wizycie Maramballe'a. Lecz wciąż jeszcze była głęboko wzburzona. Urażona duma domagała się zemsty.

— Ojczce, zgadzam się wyjść za mąż za pana lejtnanta.

Romantycznym wspomnieniom o prababce Karolinie został położony kres.

XI. Niespokojna noc

Maramballe miał niespokojną noc. Zastanawiając się nad wydarzeniami minionego dnia, doszedł do wniosku, że wciąż jeszcze grozi mu niebezpieczeństwo. Co prawda udało mu się zatrzeć ślady. Ale nie wszystko poszło tak gładko, jakby tego pragnął. Jego ucieczka zapewne postawiła na nogi cały dom. Z całą pewnością stwierdzono już zniknięcie teczki i Wilhelmina zrozumiała, co było celem jego ostatniej wizyty. A wówczas... wówczas Wilhelmina, rzecz jasna, wyda go. Maramballe spodziewał się lada chwila przybycia policji. Dobrze przynajmniej, że udało mu się ukryć skradzione dokumenty w doskonałym schowku. Maramballe nie rozbierał się tej nocy. Chodził cicho po pokoju, czujnie nasłuchując. Układał plany ucieczki. Jedno okno jego pokoju wychodziło na ulicę, drugie — na mały ogród. To właśnie okno upatrzył sobie na drogę odwrotu.

Maramballe otworzył je. Noc była duszna. Na ciemnoniliowym niebie świecił pomarańczowy księżyc jak chiński lampion zawieszony nad szaroniebieskim dwupiętrowym domem. Od czasu do czasu rozlegał się grzmot. Zbliżała się burza. Czujne ucho Maramballe'a wyłowiło jakieś szmery w ogrodzie pod oknem.

„Może to jest zasadzka?” — pomyślał przestraszony.

Nagle domem wstrząsnął potężny łoskot gromu, chociaż na niebie nie było widać ani jednej chmurki. W tej samej chwili rozległ się szum deszczu. To było bardzo dziwne: słyszało się szum, nie widząc ani deszczu, ani chmury nad głową. Szumiał wiatr, lecz zdawało się, że drzewa w ogrodzie stoją bez ruchu. Nie zakołysał się ani jeden liść.

Kiedy zagrzmiał grom i zaszumiał deszcz, rozległ się w krzakach pod oknem szelest i jak gdyby przytłumione głosy.

Deszcz skończył się tak samo nagle, jak się zaczął. W ciszy, która nastąpiła, Marambal-

le usłyszał wyraźne ostrożne kroki na korytarzu. Ktoś zatrzymał się przed jego drzwiami i cicho zapukał.

Maramballe wstrzymał oddech.

„Policja!”

Nie miał wyjścia. Pod oknem znajdowała się zasadzka, w korytarzu — oddział policji. Nie wątpił w to. Lecz miał więcej szans na wymknięcie się wrogom w ogrodzie niż w wąskim korytarzu.

Wyskoczył więc przez okno i upadł na czyjeś szerokie ramiona. Usłyszał krzyk kobiety i poznał głos czcigodnej wdowy Neukirch.

— Co to? Kto to? Co się pani stało? — rozległ się drugi męski głos, należący bez wątpienia do puzonisty, który był sąsiadem Maramballe'a.

Widocznie pani Neukirch i puzonista wyszli na spacer do ogrodu, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Maramballe ześliznął się z potężnych ramion pani Neukirch i przerażony pobiegł do Tiergartenu.

Trwała tam bezdźwięczna burza. Nie było wiatru, lecz drzewa zginały się, jak gdyby pod naporem straszliwego huraganu; drżały liście, z których spływały strumienie; żółte błyskawice przecinały chmury. Deszcz lał jak z cebra, lecz był to upiorny deszcz — ani jedna kropla nie spadła na Maramballe'a.

Chłód nocy orzeźwił go i pomógł uporządkować myśli. A więc w ogrodzie pod jego oknem nie było zasadzki. Kto wobec tego pukał do drzwi?

Maramballe wałęsał się całą noc po parku i dopiero o świcie zdecydował się wrócić do domu.

— Pan wychodził? — spytał zdziwiony portier otwierając drzwi.

— Tak — odparł Maramballe. — Czy o mnie nikt nie pytał?

— W nocy był jakiś pan. Nie chciałem go wpuścić, lecz powiedział, że przychodzi w bardzo pilnej, niecierpiącej zwłoki sprawie i że pan na niego czeka.

— Czy nie zauważył pan, jak on wyglądał?

— Miał kapelusz nasunięty na oczy i podniesiony kołnierz. Zdaje mi się, że miał czarną brodę, a mówił z cudzoziemskim akcentem.

„Kto to mógł być?” — myślał Maramballe przechodząc ostrożnie korytarzem. Nocne strachy minęły, lecz mimo to nie był jeszcze zupełnie spokojny.

— Dzień dobry, frau Neukirch! — powitał Maramballe głośny oddech gospodyni.

— Dzień dobry! — odpowiedziała gniewnie, trzasnąwszy drzwiami.

Maramballe wszedł ostrożnie do swojego pokoju. Nie było w nim nikogo.

XII. „Dramat dźwiękowy”

W Reichstagu zakończyło się przed chwilą posiedzenie, na którym omawiano sytuację w przemyśle. Kilku ministrów wygłosiło przemówienia. Według ich informacji w przemyśle sytuacja nie wyglądała tak źle, jak można było przypuszczać. Rozwiązano problem przystosowania maszyn do „ślepej” metody pracy. Szeroko stosowano chronometraż; wprowadzono „normy czasu” dla różnych procesów produkcyjnych, ustawiono zegary z dzwoneczkami, bijącymi nie tylko co minutę, lecz w niektórych wypadkach co ćwierć minuty.

Oczywiście ten oficjalny obraz pomyślności nie odpowiadał prawdziwemu stanowi rzeczy, który nie był zachęcający — lecz istotnie nie można go było nazwać katastrofalnym.

Wbrew przypuszczeniom najgroźniejsza okazała się sytuacja w rolnictwie. Nawet mini-

ster referujący sprawę nie mógł ukryć poważnych obaw. „Czas nasłonecznienia nie zmniejszył się — mówił minister — aczkolwiek wschód i zachód słońca nie odpowiadają teraz jego obecnemu położeniu: widzimy słońce po wzejściu dopiero wówczas, kiedy jego promienie wyświetlą się — jak to się dziś mówi — to znaczy dotrą do powierzchni ziemi i do naszego wzroku. Rekompensatę stanowi to, że słońce świeci jeszcze pewien czas po faktycznym zachodzie. Niestety jednak polega na tym, że wskutek zwolnienia szybkości światła pada na powierzchnię ziemi w jednostce czasu znacznie mniej promieni świetlnych. Zostało ono jak gdyby rozrzedzone. Można było zaobserwować, że niektóre barwy znikły, a inne zmieniły się; wreszcie zjawiły się nowe barwy lub ich kombinacje. To musiało również wywrzeć wpływ na wzrost zbóż i kultur przemysłowych. Niektóre, na przykład len, widocznie pod wpływem promieni ultrafioletowych, zaczęły rosnać niezwykle szybko i wysoko, były jednak słabe jak anemiczne dzieci. W ogóle trawy dojrzewały znacznie wolniej. Ale nie trzeba ulegać panice. Damy sobie radę z tymi kłopotami. Nasi chemicy, uczeni, agronomowie pracują energicznie nad uzyskaniem środków przyspieszających dojrzewanie roślin. Ogrzewanie korzeni, elektryfikacja gleby, nowe nawozy sztuczne mają ziemi pomóc. Możemy być spokojni o urodzaj przyszłego roku. Całe zagadnienie polega na tym, czy będzie można uratować zboża znajdujące się na pniu i zebrać urodzaj bieżącego roku. Miejmy nadzieję, że to nam się uda. Nadzieję tę wiążemy nie tylko z działalnością naszej nauki. Przygotowałem na zakończenie optymistyczną, radosną wiadomość. Obserwacje nad światłem dokonane dziś rano wykazały, że szybkość światła wzrosła o dalsze cztery sekundy”.

Na ławach posłów prawicowych rozległy się oklaski.

— Trzeba wyrazić ministrowi podziękowanie za dodatkowe cztery sekundy — rozległ się jakiś ironiczny głos z lewej strony.

— A teraz na obiad — trącił Maramballe Layle'a.

Ruszyli do Tiergartenu w towarzystwie Metaxy, który oświadczył, że chce im zakomunikować coś bardzo ważnego.

— Pan ma zawsze jakieś nowości — powiedział śmiejąc się Maramballe.

Kiedy dziennikarze podeszli do swego stałego miejsca pod starą, rozgałęzioną lipą i zasiedli przy okrągłym marmurowym stoliku, rozległy się za węglem pawilonu jakieś kroki i Maramballe usłyszał nagle głos lejtnanta.

— Panie Maramballe! Pan obraził osobę, której honoru muszę bronić. Żądam satysfakcji.

— Pojedynek? W dwudziestym wieku? Co za anachronizm! — roześmiał się nieco wymuszonym głosem Maramballe. — Nikogo nie obraziłem i nie mogę uznać pańskiego prawa do obrony „pokrzywdzonych”.

— Wobec tego zmuszę pana do uznania tego prawa i do przyjęcia mojego wyzwania!

Tu nastąpił dramat dźwiękowy.

Ktoś kogoś uderzył. Słysząc było upadek ciała i okropny krzyk. Nowe ciosy, jeszcze jeden upadek i czyjeś stłumione jęki.

— A więc dobrze! — rozległ się groźny głos lejtnanta, który po chwili odszedł.

Goście siedzący przy sąsiednich stolikach i przypadkowi przechodnie niecierpliwie oczekiwali rozpoczęcia „seansu”. I kiedy miejsce bójki zaczęło się wyświetlać, rozległ się śmiech ze wszystkich stron.

Wszyscy obecni zobaczyli, że Maramballe rozmawiający z lejtnantem odstał nagle w bok, a ciężkie uderzenia posypały się na Metaxę. Metaxa, otworzywszy usta, z których przed paroma minutami wydobywały się okrzyki, upadł śmiertelnie przerażony na ziemię. Niezwłocznie po tym Layle, nie wyjmując fajki z ust, schylił głowę, przysłuchując się widocznie oddechowi napastnika, i nagle, według wszelkich zasad boksu, zadał lejtnantowi silny cios w szczękę, po czym lejtnant runął na ziemię. Gdyby nawet Layle widział lejtnanta w chwili zadawania ciosu, nie mógłby tego lepiej zrobić.

Maramballe był zdumiony. Nie spodziewał się po „lodowatym” Layle'u tak szybkiej reakcji.

— Dlaczego jednak wtrącił się pan do bójki? — spytał.

— Ja też bronielem pokrzywdzonego — odpowiedział Layle, puszczając kłęby dymu. — Jeśli teraz ten pan zechce się pojedynkować, będzie miał do czynienia z trzema: z panem, bo się na pana o coś gniewa, z Metaxą, bo go pobił, i ze mną, bo ja go pobiłem. A ja nie odmówię mu satysfakcji. Lecz nie uznaję innej broni prócz pięści.

Rzecz zdumiewająca! Boks tak ożywił Layle'a, że stał się nawet rozmowny.

— Kim jest ten wojowniczy kogut? — spytał Layle.

— Ja wiem! — powiedział wszechwiedzący Metaxa. Lecz Maramballe nie dopuścił go do głosu.

— Tss!... Nie trzeba rozdmuchiwać tej historii. Jakiś policjant może nadejść niepostrzeżenie. Pan chciał nam coś opowiedzieć, panie Metaxa?

— Tak, ale chyba pan ma rację. Pomówimy w innym miejscu. To zajście może ściągnąć gapiów chcących dowiedzieć się, co zaszło, a to, co ja chcę powiedzieć panom, obejdzie się bez świadków.

I po krótkiej rozmowie na temat zbiorów dziennikarze rozstali się.

Tego samego dnia, wieczorem, Maramballe siedział w swoim pokoju przy biurku i pisał „po omacku” wielkimi literami kolejną korespondencję. Nagle usłyszał na korytarzu znane utykające kroki lejtnanta. Lejtnant usiłował widocznie zamaskować swój charakterystyczny chód i szedł bardzo wolno, lecz wyczulone ucho Maramballe'a uchwyciło utykanie pana von Blittersdorfa. Maramballe błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Zazdrosny rywal przyszedł, by się z nim rozprawić! Stawić czoło nieprzyjacielowi? Przecież lejtnant jest od niego silniejszy i może mieć przy sobie broń. Uciekać? Okno było zamknięte, a lejtnant już się zbliżał do uchylonych drzwi.

Maramballe szybko ześliznął się z fotela i dał nura pod biurko. W tej samej chwili drzwi otworzyły się, lejtnant wszedł i rozejrzał się po pokoju. Ujrzał Maramballe'a siedzącego przy biurku i pogrążonego w pracy. Lecz czy był to prawdziwy Maramballe, czy też jego widmo? Lejtnant liczył na moment zaskoczenia. Wydobyl pistolet i wystrzelił dwa razy, celując w głowę Maramballe'a. Maramballe którego lejtnant widział, nie poruszył się i pisał w dalszym ciągu. To było naturalne. Lejtnant teraz nie tyle patrzył, ile słuchał, by na podstawie dźwięków przekonać się, jakie były skutki jego strzałów. I był całkowicie zadowolony: obok biurka rozległ się krótki jęk i łoskot padającego ciała.

Sprawa była załatwiona. Lejtnant spokojnie wyszedł na korytarz i bez przeszkód wyostał się na ulicę.

Huk wystrzałów zaalarmował sąsiadów. Frau Neukirch zapukała do pokoju Maramballe'a.

— Co tu się stało, panie Maramballe?

Gdyby nie sprawa skradzionej teczki, Maramballe chętnie zavezwałby świadków i poprosił, by poczekali na wyświetlenie się sceny zamachu na jego życie. Teraz jednak uważał, że bezpieczniej będzie nie podnosić alarmu i nie zwracać na siebie uwagi. Decydującym motywem było to, że nie chciał, by uważano go za śmiesznego tchórza ukrywającego się pod biurkiem. Kiedy wyobraził sobie ujawniony obraz tej haniebnej ucieczki, postanowił zataić przed ludźmi prawdziwy sens całego wydarzenia.

— Nie stało się nic nadzwyczajnego, frau Neukirch — odpowiedział. — Po prostu przyszedł do mnie przyjaciel, pokazałem mu pistolet i wskutek nieostrożności wystrzeliłem dwa razy.

— Szczególnie teraz trzeba być ostrożnym z takimi rzeczami — powiedziała pouczającym tonem frau Neukirch. — Bardzo proszę więcej tego w moim domu nie robić.

— Może pani być zupełnie spokojna, to były dwa ostatnie naboje.

XIII. Czarna maska

Mimo „końca świata” wesele barona Blittersdorfa i Wilhelminy Leer odbyło się z niezwykłą pompą.

Lecz uroczystość zakłóciło dziwne i wysoce nieprzyjemne dla pana młodego wydarzenie.

Państwo młodzi wrócili z kościoła do domu. Zaczęło się składanie życzeń. I nagle wszyscy usłyszeli, że Wilhelmina krzyknęła; w tłumie gości powstało zamieszanie.

Kiedy się ten moment wyświetlił, zebranych zaskoczył niesłychany postępek: jakiś młody mężczyzna w czarnej masce podszedł do oblubienicy, objął ją dość bezceremonialnie i mocno pocałował w usta. Następnie poszukał ręki pana młodego i włożył w nią jakąś kopertę. Wreszcie wykonał szeroki gest ręką i odszedł.

Pan młody, który widział tę scenę wraz ze wszystkimi gośćmi, wpadł w taką wściekłość, że stracił panowanie nad sobą i rzucił się na widmo, przewracając staruszkę-radcę. Ta scena wyświetliła się również. Wielu gości nie mogło powstrzymać uśmiechu. Lecz wszyscy udawali, że nic nie widzieli. Gości zaproszono do stołu i uroczystość trwała dalej. Składano życzenia, ale brzmiały one jak kpiny; wznoszono toasty, zasłaniając ironiczny grymas serwetką. Lejtnant uśmiechał się sztucznie i usiłował zachowywać się swobodnie, lecz nie mógł spędzić z czoła posępnych zmarszczek, a kąciki ust drżały mu nerwowo.

— Czy on nie jest podobny do nieboszczyka biorącego udział we własnym pogrzebie? — szeptały złe języki wskazując na zakłopotaną, lecz uśmiechniętą szeroko twarz lejtnanta.

Wszystkich interesował list, który nieznamy wręczył lejtnantowi, a najbardziej zaciekawiony był sam Blittersdorf. Po obiedzie przeszedł do oranżerii i rozerwawszy kopertę wyjął jej zawartość, przysunął pod oczy, przyjrzał się i bardzo szybko schował.

— Co było w tej kopercie, którą pan otrzymał od nieznanego — usłyszał lejtnant głos Leera.

Zaskoczony Blittersdorf drgnął.

— W kopercie? Nic. Drobnostka. To figiel — odparł głośno, by go wszyscy słyszeli. — Proszę sobie wyobrazić, że to był żart mojego brata. Trzeba powiedzieć, że żart niezbyt udany, ale mój brat zawsze był lekkomyślny i ekscentryczny.

— Pański brat? Nie słyszałem nigdy o tym, że pan ma brata — powiedział zdziwiony Leer. — A dlaczego pański brat nie zdjął maski i nie został u nas?

Leer poczuł nagle, że lejtnant ściska mu rękę. Zrozumiał ten gest i zamilkł.

— Mój brat podróżował po Afryce i dopiero co powrócił. Zapewne jutro złoży nam wizytę.

Legenda o bracie rozeszła się między gośćmi, ale nie zyskała wiary.

XIV. Koniec „końca świata”

Maramballe przebudził się, otworzył oczy i mimo woli zmrużył je natychmiast. Tak silne było światło. Zwrócił głowę do okna i ujrzał między dwoma wysokimi domami pasmo błękitnego nieba.

Zerwał się szybko z łóżka i zaczął wymachiwać rękami. I, o dziwo! Widział je w momencie, gdy się poruszały! Wziął krzesło, postawił na środku pokoju i ujrzał mebel tam, gdzie go przeniósł. W świetle nie było już więcej sobowtórów i widm! Odbicia świetlne rze-

czy zwały się z samymi rzeczami. Nie ulegało wątpliwości: światło odzyskało swą normalną szybkość. Może była ona trochę mniejsza od trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, ale to mogło interesować tylko astronomów. W życiu praktycznym, w zakresie zjawisk ziemskich, różnica wynosząca cztery kilometry lub nawet kilkadziesiąt kilometrów była zupełnie nieodczuwalna.

Maramballe'a ogarnęła szalona radość, jak gdyby wrócił z ponurej krainy cieniów do ziemi ojczystej — do błyszczącego świata realnych przedmiotów, błękitnego nieba, zielonych drzew.

Maramballe zaśpiewał wesoło i zaczął tańczyć po pokoju. Tę radosną pieśń powrotu do życia podjęli mieszkańcy jego domu, przechodnie na ulicy, całe miasto, cały świat. Ze wszystkich stron rozlegały się podniecone, wesołe głosy. Jak gdyby świat obudził się po długiej i ciężkiej chorobie, której towarzyszyła maligna i koszmary, i poczuł nagle, że jest zdrowy i rześki. Ludzie śpiewali, śmiali się gratulowali sobie nawzajem. Kierowcy i motorowi, nie czekając na oficjalne pozwolenie, puścili samochody i tramwaje na pełny bieg. Wyły syreny, dzwoniły dzwonki, dźwięki, hałasy i szum wypełniły miasto, które wrzało jak kipiący kocioł.

— To wspaniałe! Zdumiewające! Urocze! — krzyczał Maramballe. Nie obawiał się już, że wezmą go za wariata. Nie przestrzegając żadnych środków ostrożności usiadł na fotelu i uderzył pięścią w oparcie.

— To jest rzeczywistość, a nie widmo! Królestwo upiórów skończyło się!

Tak, królestwo upiórów skończyło się, a w tej samej chwili nastąpiło przewartościowanie wszystkiego. Przemysłne kombinacje polityczne i układy międzynarodowe — jawne i tajne — znów odzyskały swą wartość i sens.

Maramballe natychmiast przypomniał sobie o teczce numer 174, która wciąż jeszcze spoczywała pod materacem Layle'a.

„Teraz chyba trudniej będzie wyciągnąć ją stamtąd bez zwrócenia uwagi — pomyślał. — Lecz mimo to jakoś ją wydostanę. Muszę się pośpieszyć. Łatwo mogą znaleźć teczkę. Wystarczy, by Layle lub służąca przypadkowo podnieśli róg materaca i natychmiast ją zobaczą”.

Maramballe ubrał się szybko i poszedł do Layle'a.

Anglik powitał go jak zwykle spokojnie. Nawet koniec „końca świata” nie poruszył go. Jak zawsze w skupieniu palił fajkę przyglądając się uważnie gościowi przez kłęby dymu. Maramballe'owi wydawało się, że tym razem Layle nieco więcej mrużył wyblakłe oczy, które jak gdyby ironicznie się uśmiechały.

Ten prawie nieuchwytny uśmiech zaniepokoił go trochę, lecz Layle odezwał się wreszcie, a Maramballe słuchając go opanował się i zaczął się również uśmiechać.

— Słyszał pan oczywiście o wydarzeniu, które miało miejsce podczas wesela barona Blittersdorfa i Wilhelminy Leer?

„Więc to wywołało cień uśmiechu na tym kamiennym obliczu” — pomyślał Maramballe i odpowiedział naiwnie:

— Nie, nie słyszałem.

Layle popatrzył na niego z niedowierzaniem, lecz opowiedział szczegółowo o nieznanym w masce, który pocałował Wilhelminę.

— W ten sposób ktoś zemścił się na pańskim rywalu — zakończył Layle. — Niech się pan przyzna, że tym incognito w masce był właśnie pan?

Maramballe zrobił zdziwioną minę, lecz nie wytrzymał i roześmiał się beztrąsko.

— Przed panem nic się nie ukryje!

— I lejtnant oczywiście wie, że to był pan?

— Tak jest.

— Przecież on pana teraz zabije. Po takim żarcie dalsze pozostawanie w Berlinie grozi panu niebezpieczeństwem.

— Nie, on mnie nie zabije. Lejtnant będzie musiał przełknąć tę zniewagę — odparł Maramballe.

— Zdaje się, że lejtnant nie należy do ludzi, którzy potrafią w milczeniu znieść taką zniewagę.

— Toteż nie zniósł. Pan wie, że lejtnant zabił mnie dwoma strzałami w głowę. Lecz na jego nieszczęście, zabił tylko mojego sobowtóra — moje widmo. Mógł się o tym przekonać z całą pewnością, widząc jak słodko prawdziwy Maramballe pocałował jego młodą żonę.

— Lejtnant poznał pana pod maską?

— Zapewne. Poza tym otrzymał ode mnie „wizytówkę” — moje życzenia.

— Aha! To ta tajemnicza koperta, która tak zaintrygowała wszystkich? Co w niej było? Mówią, że lejtnant odmówił informacji w tej sprawie nawet Wilhelminie i jej ojcu.

Maramballe znacząco poruszył brwiami, wstał i zaczął chodzić po pokoju zbliżając się niepostrzeżenie do łóżka.

— Wyjaśnię panu wszystko. Lejtnant wszedł do mojego pokoju tak niespodziewanie, że istotnie mógłby zabić mnie na miejscu. Lecz usłyszałem i rozpoznałem jego kroki i zdążyłem odskoczyć w bok. Kule przeleciały tak blisko koło mnie, że poczułem podmuch powietrza. By wprowadzić lejtnanta w błąd jęknąłem. — Maramballe uważał za niepotrzebne podanie drobnego szczegółu o tym, jak schował się pod biurkiem. — Dalszy przebieg sprawy wyglądał następująco: lejtnant po dokonaniu zbrodni szybko odszedł. A ja, po uspokojeniu sąsiadów, przygotowałem aparat fotograficzny, który jak zwykle mam naładowany, i poczekałem na wywołanie sceny. W ten sposób sfotografowałem wydarzenia w ich następstwie: siebie siedzącego przy biurku i lejtnanta, strzelającego do próżnego fotela.

Pan rozumie, że kiedy wyświetlił się „upiór” lejtnanta, to mnie już na fotelu nie było, chociaż lejtnant, w momencie gdy strzelał, widział moje odbicie. Te kolejne zdjęcia są niezbitym dowodem zbrodni lejtnanta — usiłowania zabójstwa. Jeśli ten zamach nie zakończył się prawdziwym morderstwem, to tylko dzięki „sztuce z końcem świata”, która pozwoliła mi w ostatniej chwili uniknąć niebezpieczeństwa. Dla spotęgowania wrażenia połączyłem dwa negatywy: jeden przedstawiający mnie siedzącego na fotelu i drugi — przedstawiający lejtnanta strzelającego do mnie. A ponieważ urządzenie pokoju było nie zmienione, powstał w ten sposób pełny obraz usiłowania zabójstwa.

Maramballe usiadł na brzegu łóżka, spuścił ręce i kołysząc się, niepostrzeżenie wsunął palce pod materac.

— I tę fotografię ofiarował pan lejtnantowi?

— Trzy zdjęcia: moje, jego i jedno zdjęcie „syntetyczne”. Teraz zapewne rozumie pan wszystko. Lejtnant jest uprzedzony, że posiadam dokument, który go może w każdej chwili postawić w stan oskarżenia, jeśli podejmie jakieś kroki przeciwko mnie. A to nie jest przyjemne, by prosto z wesela iść do więzienia.

— Lejtnant ma ogromne stosunki. Może zatuszować całą sprawę.

— Wątpię. Przecież mógłbym opublikować zdjęcia w prasie zagranicznej. Taki skandal, nawet jeśli się nie skończy procesem, może dotkliwie zaszkodzić lejtnantowi. Mało tego. Kopie zdjęć mogę dostarczyć również Wilhelminie, która dowie się, że jej mąż jest zbrodniarzem. To może nie tylko zepsuć ich stosunki, lecz także da Wilhelminie broń przeciw mężowi. Będzie go miała w ręku.

Maramballe wciąż głębiej wsuwał palce pod materac, lecz ku swemu przerażeniu nie mógł namacać teczek. Layle siedział lekko zwrócony bokiem i kurzył fajkę.

— I pan będzie go miał w ręku. Tylko patrzeć, jak pan zostanie przyjacielem domu — powiedział ironicznie Layle.

— To... się okaże... — powiedział strapiony nieco Maramballe.

Teczka znikła... Lecz Maramballe nie tracił jeszcze nadziei, iż została przypadkowo przesunięta i w dalszym ciągu wiercił się na łóżku.

— Dlaczego pan natychmiast nie złoży w sądzie tych zdjęć?

— Mam ku temu pewne powody.

Layle zwrócił się gwałtownie w stronę Maramballe'a i patrząc mu prosto w oczy powiedział:

— Niech pan nie szuka, teczki tam nie ma.

Maramballe'owi wydało się, że szybkość światła zmniejszyła się nagle do zera. Pociemniało mu w oczach.

— Co? Teczka?... Jakiej teczki?... — wybełkotał jękając się.

— Oczywiście tej, którą pan położył pod materacem.

— Nie kładłem żadnej teczki!

— Tym lepiej — odparł spokojnie Layle. — To znaczy, że teczka sama przyszła do mnie i że mogę nią dysponować.

— Panie Layle — zaczął go błagać Maramballe — drogi przyjacielu, niech mi pan ją zwróci! Porwałem ją z domu Leera z narażeniem życia.

— Niech pan posłucha, panie Maramballe — rzekł Layle — jest pan moim przyjacielem i postąpił pan zdradziecko, podrzucając mi skradzione dokumenty...

— Znajdowałem się w sytuacji bez wyjścia... ścigano mnie i nie wiedziałem, czy udało mi się zatrzeć ślady... Pańskie mieszkanie... eksterytorialność.

— Pan mógł skompromitować nie tylko mnie, lecz również ambasadę angielską. Dlaczego pan nie skorzystał z eksterytorialności waszej ambasady, która znajduje się o parę kroków dalej? Nie ma na to usprawiedliwienia! Skoro akta numer sto siedemdziesiąt sześć znalazły się w moich rękach, to trudno, przypało.

— Akta numer sto siedemdziesiąt sześć? — zapytał Maramballe. — Przepraszam, pan się myli! Akta numer sto siedemdziesiąt cztery.

— Nie mam żadnych akt numer sto siedemdziesiąt cztery — odparł Layle.

— Pan kłamie!

— Cooo? — Layle zacisnął suchą, żylastą pięść pokrytą piegami. — Ja kłamie? Jeśli nie cofnie pan swoich słów, to przeleci pan natychmiast z terytorium ambasady angielskiej na terytorium ambasady francuskiej — powiedział tonem groźby.

Ich przyjaźń nie wytrzymała poważnej próby.

Maramballe'a tak rozżłościło zachowanie się „przyjaciela”, że gotów był bić się z nim: rozsunął łokcie, zacisnął pięści i stanął w pozycji bojowej.

Lecz w tej samej chwili rozległy się w odbiorniku radiowym słowa, które pohamowały przyjaciół — wrogów. Oto usłyszeli:

— Halo! Halo! Komunikat specjalny! Słuchajcie! Słuchajcie! „Koniec świata” skończył się, lecz może się powtórzyć!

„Tego jeszcze brakowało!” — pomyślał Maramballe, usiadł w fotelu i zaczął słuchać komunikatu.

— By zrozumieć, co spowodowało zmniejszenie się szybkości światła, należy sobie przede wszystkim uprzytomnić istotę światła.

Maramballe'owi nie chciało się wcale słuchać wykładu naukowego w rozstrzygającym momencie walki o teczkę numer 174... Ale... „koniec świata” może się powtórzyć!

A jeśli się powtórzy, to wszystkie dokumenty dyplomatyczne tracą swą wartość. Na wszelki wypadek trzeba się jednak dowiedzieć, jakie są szanse na nowy „koniec świata”... I Maramballe zaczął słuchać nudnych informacji, które dotyczyły najistotniejszych spraw życiowych. Layle oparł się w milczeniu o biurko i również słuchał.

— Istnieją obecnie — mówił spiker — dwie teorie światła: atomowa i falowa. Teoria atomowa utrzymuje, że każde źródło światła stanowi coś w rodzaju baterii, ostrzeliwującej otaczające ją ciała huraganowym ogniem, przy czym pociski wysyłane są równomiernie we wszystkich kierunkach i biegną po liniach prostych. Ich szybkość jest wielkością stałą i równa

się w próżni trzystu tysiącom kilometrów na sekundę. W wypadku zaś, gdy światło przechodzi przez inne środowisko — powietrze, szkło — szybkość jego, aczkolwiek bardzo duża, jest trochę inna.

Kiedy atomy światła trafiają w jakiś cel materialny, nie wybuchają jak pociski artyleryjskie, lecz albo zatrzymują się w nim (absorpcja światła), albo odbijają się od niego rykoszetem (odbicie światła), albo wreszcie przedostają się do wnętrza i rozchodzą się dalej, lecz w nieco odmiennym niż pierwotny kierunku (załamanie światła). Tak, ogólnie biorąc, zapatrywał się na istotę światła Newton. Te poglądy dominowały w ciągu wieku, lecz zostały wyparte przez teorię falową, o której powiemy później, a która obecnie odrodziła się w tak zwanej kwantowej teorii światła (od łacińskiego „quantum” — ilość).

Zgodnie z teorią kwantową „atomy światła” są cząstkami materialnymi i różnią się od zwykłej materii tylko tym, że nie posiadają jej wytrzymałości, „wieczności”, która jest cechą wszystkich atomów materialnych. Atomy światła „rodzą się” kosztem nadmiaru energii tego atomu, który je wyrzuca. „Żyją”, czyli istnieją w czasie swego lotu od atomu, który je wyrzucił, do innego atomu i wreszcie „umierają”, czyli znikają, przekształcając się w energię tego ostatniego.

Zastanówmy się teraz, jakie przyczyny mogły wywołać zmniejszenie się szybkości światła, biorąc za podstawę atomową teorię światła. Przypuśćmy, że między słońcem a ziemią zjawiała się w przestrzeni kosmicznej jakaś przeszkoda w postaci gazu lub jakiegoś innego nieznanego nam stanu silnie rozrzedzonej substancji materialnej. Gdyby ta substancja absorbowwała atomy światła, nasza ziemia znalazłaby się w ciemnościach. Światło tak samo nie dotarłoby do naszej planety, gdyby zostało odbite przez ową przeszkodę. Wreszcie, w wypadku załamania światła, jego promienie mogłyby zmienić kierunek, ale nie szybkość. Pozostaje jedna hipoteza, którą wskazywaliśmy: zmniejszenie szybkości światła podczas przechodzenia przez nieznaną nam przeszkodę. Jakiego rodzaju jest ta przeszkoda, nie zdołaliśmy wyjaśnić. Być może, jest to jakaś mgławica szczególnego rodzaju. I jeśli przypomina ona swym kształtem mgławice, które obserwujemy przez teleskop, to jest rzeczą prawdopodobną, że również ta nieznaną mgławica ma wygląd spirali. W takim razie nasza ziemia może w swym ruchu wraz z całym systemem słonecznym przeciąć jeszcze niejedną „zwój” tej mgławicy, a wówczas efekt zmniejszenia szybkości światła może się powtórzyć.

Dlatego rząd zaleca usilnie mieć w pogotowiu sygnalizacyjne aparaty dźwiękowe i wszelkie urządzenia, powstałe w czasie „końca świata”, dla regulacji ruchu ulicznego i procesów produkcyjnych.

Tak się przedstawia sprawa, jeśli wyjdziemy z założeń atomowej, czyli kwantowej teorii światła.

Co się tyczy teorii falowej, to uważa ona wahania świetlne za energetyczne; polegają one na szybkich periodycznych zmianach w każdym punkcie przestrzeni sił elektrycznych i magnetycznych, płynących ze źródła światła. Według teorii falowej, fale widzialnego światła nie różnią się niczym od powszechnie znanych fal radiowych. Szybkość fal radiowych równa się szybkości światła. Zwolnienia szybkości fal radiowych jak dotąd w praktyce nie zaobserwowano. Obserwowaliśmy jednak pewne bardzo dziwne i niezrozumiałe zjawisko. Jak wiadomo, fala radiowa obiega kulę ziemską w bardzo krótkim czasie ($1/7$ część sekundy) i wraca na miejsce, z którego wyruszyła, jako „echo”. W ten sposób możemy wielokrotnie odebrać falę, wysłaną przez nas dokoła kuli ziemskiej. Lecz stwierdzone zostały wypadki, kiedy wysłana przez stację fala radiowa gdzieś „znikała” i nie powracała w ciągu dziesięciu, dwunastu minut! Gdzie się błąkała? Oczywiście gdzieś w przestrzeniach wszechświata i wróciła być może dopiero po odbiciu się od jakiegoś ciała niebieskiego. Co zmieniło jej kierunek? Nie wiemy. Lecz wiemy, że fala wróciła z dwunastominutowym opóźnieniem, aczkolwiek szybkość jej „lotu” zapewne nie była mniejsza od normalnej. Jeśli zaś światło jest w swej istocie taką samą falą elektromagnetyczną, to czy nie zaszło z nim takie samo zjawi-

sko, jakie zaszło z błędzącą falą radiową?

W każdym razie, przyczyny, które spowodowały zmniejszenie szybkości światła, mogą się powtórzyć. I dlatego jeszcze raz wzywamy do zachowania spokoju i czujności.

Audycja radiowa skończyła się. Maramballe spojrział na Layle'a.

Layle milczał.

— Po co to było potrzebne? — powiedział Maramballe. — Koniec końców nic konkretnego. Same hipotezy. Wiedzieliśmy i bez nich, że to, co się zdarzyło raz, może się zdarzyć drugi raz. Teraz nie czas na wygłaszanie odczytów! Ale nie skończyliśmy naszej rozmowy, Layle. To przeklęte radio...

— Sądzę, że zakończenie rozmowy nie będzie korzystne dla pana, Maramballe — rzekł Layle zaciskając ponownie pięści.

Maramballe nastroszył się jak kogut gotowy do walki.

Lecz w tym momencie rozległo się pukanie. Layle ruszył w stronę drzwi, jak gdyby nie dostrzegając stojącego na drodze Maramballe'a, i Maramballe musiał odsunąć się na bok.

Do pokoju wszedł Metaxa. Uśmiechał się całą twarzą, jego białe zęby błyszcząły, a oliwkowe oczy połyskiwały jak nigdy dotąd.

— Dzień dobry! Zastałem obu panów? To dobrze! Byłem u pana w nocy, panie Maramballe. Tak mi wypadło. Portier powiedział mi, że pan jest w domu, ale nie mogłem się dostać i odszedłem. Pan ma mocny sen. Uczciwy człowiek zawsze mocno śpi.

„Więc to on był u mnie w nocy. Że też się nie domyśliłem — pomyślał Maramballe. — Ale Metaxa nie ma brody. Może był ucharakteryzowany?”

— Mam sprawę, ważną sprawę! — ciągnął dalej Metaxa.

— A jaki numer ma ta pańska sprawa? — spytał żartobliwie Layle. Był znów spokojny jak zawsze.

— Ho-ho, zgadł pan. Sprawa numer 174.

— Cooo? To niemożliwe. Sprawę numer sto siedemdziesiąt cztery mam ja, to znaczy ma ją Layle.

— To niemożliwe, sprawa numer sto siedemdziesiąt cztery znajduje się u mnie — odparł Metaxa.

— O tajnym porozumieniu między Niemcami a Związkiem Radzieckim?

— O układzie między tymi państwami — odpowiedział Metaxa.

— Przecież ja te akta własnoręcznie zabrałem z biurka Leera — nie mógł się pohamować Maramballe.

— To znaczy, że pan w pośpiechu wziął „widmo” tych akt. Ściślej mówiąc, pan wziął jakieś inne akta, które leżały pod teczką numer sto siedemdziesiąt cztery, a tę teczkę ja zabrałem o dwie, trzy minuty wcześniej przed panem. Słyszałem nawet, kiedy wychodziłem, jak pan wszedł do gabinetu, i domyśliłem się, że to jest pan. Pan ukarał sam siebie. Proponowałem panu interes, pan pamięta, w teatrze? Pan odmówił, pożalował pan tysiąca marek. Postanowiłem wówczas działać na własną rękę.

— Przypuszczam, że pan mnie teraz przeprosi? — spytał Layle.

— Tak, proszę mi wybaczyć! Ale kto mógł pomyśleć? Jaki ja byłem głupi! Powinienem był podsunąć teczkę pod same oczy. Ale gdzie ona się znajduje, niech mi ją pan pokaże.

Metaxa uśmiechnął się smutno a równocześnie chytrze.

— Pięć tysięcy marek! „Imera” to bardzo dobra gazeta, ale nie zapłaci mi nawet sześciuset marek. A ja muszę z czegoś żyć i muszę ukończyć studia.

— Pięć tysięcy! — oburzył się Maramballe. — To jest grabież! To nieuczciwe, Metaxa, pan ukradł mi teczkę spod ręki.

Metaxa uśmiechał się wciąż jeszcze smutno i chytrze.

— To jest bardzo niska cena. Za teczkę numer sto siedemdziesiąt cztery można dostać dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści tysięcy.

— Mogę panu dać dwa, no, trzy tysiące marek. A jeżeli pan się nie zgodzi, to ja... zrobię donos na pana!

— No i co z tego? — odpowiedział spokojnie Metaxa. — Pan złoży na mnie, a ja na pana. Posiedzimy obaj w więzieniu, a pan nie dostanie nawet za donos.

— Daję pięć tysięcy marek — wycedził niedbale Layle przez kłęby dymu.

— Nie, nie — krzyknął Maramballe — ja mam pierwszeństwo! Pan nic nie zrobił w tej sprawie, a ja tyle ryzykowałem. Daję pięć tysięcy, gdzie jest ta teczka? — zwrócił się pośpiesznie do Metaxy.

— Dziesięć tysięcy, marek — z niezmałym spokojem ciągnął dalej Layle.

— Chwileczkę. Niech pan poczeka. Przecież to jest niegodziwość — Maramballe zachmurzył się. — Chciałem powiedzieć, to jest bez sensu. Po co mamy podbijać cenę? Nie trzeba więcej! Niech on się udławi, dam mu dziesięć tysięcy, ale nie róbmy licytacji — Maramballe nagle chwycił Layle'a za ramiona i nieomal płacząc powiedział: — Przecież pan jest moim przyjacielem. Błagam pana! Proponuję takie rozstrzygnięcie. Niech u pana zostanie teczka, którą ja przyniosłem. Nic od pana za nią nie wezmę, a pan ustąpi mi teczkę numer sto siedemdziesiąt cztery. Zgoda?

— Yes — odpowiedział lakonicznie Layle wysuwając się z ramion Francuza, Maramballe westchnął, wyjął książeczkę czekową i wieczne pióro.

Czuł się tak, jak gdyby miał zasiąść do pisania najtrudniejszego felietonu. Wzdychał, wiercił się na krześle, wreszcie wstał i zaczął chodzić po pokoju.

Metaxa czekał cierpliwie jak pająk obserwujący swą ofiarę, która wpadła w pajęczynę, lecz może się jeszcze wyrwać. A Maramballe jak mucha krążył po pokoju.

— Niech mi pan powie, Layle — zapytał — czy pan zapoznał się z aktami numer sto siedemdziesiąt sześć?

— Tak. To jest bardzo pikantna sprawa. Te dokumenty ujawniają — wyrażając się łagodnie — wpływ, jaki wywarł pewien koncern na rząd w sprawie wydania ustawy o cłach na towary zagraniczne. Ale oczywiście na tym nie zarobi się dziesięciu tysięcy marek — odpowiedział skromnie Layle.

Maramballe westchnął głośno.

— Dziesięć tysięcy marek! To jest prawie moja cała akredytywa. A może pan ustąpi kilka tysięcy? — spojrzał znacząco na Layle'a. — No, niech już będzie, jak pan chce, krwio-pijco!

I z taką miną, jak gdyby podpisywał wyrok śmierci na samego siebie, Maramballe wypisał czek, wydarł go z książeczki i podając Metaxie powiedział:

— Z rączki do rączki.

Metaxa powoli odpiął marynarkę, białą kamizelkę i koszulę i wyciągnął spod niej teczkę, na której dużymi czcionkami wydrukowane było: „Akta numer 174”.

Dokumenty przeszły z rąk do rąk. Metaxa, uśmiechnąwszy się słodko czarnymi jak oliwki oczami, pożegnał się i wyszedł.

Zanim Maramballe zdążył otworzyć upragnioną teczkę, Metaxa wrócił niespodzianie. Uchylił drzwi i zaglądając do pokoju jednym okiem podobnym do oliwki zaśpiewał słodko:

— Panie Maramballe, czy chciałby pan odzyskać swoje dziesięć tysięcy marek?

— Oczywiście! O co chodzi, Metaxa?

— Niech mi pan da jeszcze dwa tysiące, a za pół godziny będzie pan miał z powrotem swoich dziesięć. No, za godzinę najwyżej.

Maramballe popatrzył z niedowierzaniem na Metaxę.

— Nie oszuka mnie pan!

— Pan Layle będzie świadkiem. Dobry interes, pewny interes! Niech pan mu da dwa tysiące marek. Kiedy pan otrzyma swoich dziesięć, Layle mi je odda. Zgoda?

— Dobrze! Więc co mam zrobić?

— Wypisać czek na jeszcze dwa tysiące.

Maramballe zastanowił się, westchnął i jak zbankrutowany hazardzista postanowił zagrać „va banque”. Wypisał czek na dwa tysiące i podał Layle'owi, który spokojnie schował czek do kieszeni.

— Co mam teraz robić?

— Niech pan pójdzie, pobiegnie, polecą do domu i weźmie negatywy ze zdjęciem barona, który strzelał do pana.

— I co dalej?

— Baron Blittersdorf kupi je od pana. Niech pan idzie po nie, a ja pójdę po barona. Dobrze? — I nie czekając na odpowiedź, Metaxa zakończył: — Bardzo dobrze!

Maramballe doszedł do wniosku, że transakcja jest korzystna. Ma przecież w zapasie kilka zdjęć, z których może zrobić w miarę potrzeby nowy negatyw, więc dlaczego nie miałby sprzedać negatywu za odpowiednią sumę?

— Dobrze! Zgadzą się. Niech pan idzie po barona, a ja idę po negatywy. — Maramballe wsunął teczkę nr 174 pod kamizelkę i poszedł do domu. Layle zgodził się na to, żeby spotkanie odbyło się u niego, „na terenie neutralnym”.

Taksówka przewiozła szybko Maramballe'a tam i z powrotem. Kiedy wrócił, Metaxa i barona jeszcze nie było. Zjawili się jednak po paru minutach. Baron był w cywilnym ubraniu i zachowywał się tak, jak gdyby przybył do obozu wroga, by podpisać rozejm.

— Spodziewam się, że pan został zawiadomiony o przyczynie mojej wizyty — powiedział kłaniając się sztywno i nie wyciągając ręki.

— Tak, tak — odparł szybko Maramballe — pan Metaxa mówił mi, że pan interesuje się fotografią i skupuje negatywy. A ja mam właśnie trzy bardzo ciekawe negatywy.

— Cena?

— Dwadzieścia tysięcy marek.

Blittersdorf ze zdumieniem popatrzył na Metaxę. Grek zrobił jeszcze bardziej zdziwioną minę i popatrzył na Maramballe'a.

— Nie mogę panu tyle zapłacić.

— Piętnaście tysięcy ostatnia cena!

— Dziesięć!

— Piętnaście!

— Do widzenia!

— Czternaście! Trzydzieści! Dwanaście! Więcej ustąpić nie mogę. To jest bardzo tanio!

Baron wrócił od drzwi.

— Dwanaście tysięcy mogę ostatecznie dać, ale pod jednym zasadniczym warunkiem... pan mógł zrobić kopie tych zdjęć...

Maramballe machnął rękami, chcąc pokazać, że nawet mu to nie wpadło do głowy. Wskutek tego ruchu zaczęła mu się wysuwać spod kamizelki teczka, Maramballe zdążył ją złapać, lecz niestety, baron zauważył w ułamku sekundy numer sto siedemdziesiąt cztery.

„Ciekawe odkrycie!” — pomyślał baron, lecz nie zdradził się niczym.

— A więc stawiam taki warunek, że pan nie będzie mnie szantażował w przyszłości i nie puści w ruch pańskich wstrętnych zdjęć.

— Pan na nich widnieje, panie baronie!

— Pan na nich widnieje, panie Maramballe! I jeśli pan nie dotrzyma obietnicy, to...

— To?

— To zabiję pana. Drugi raz nie chybię. „Koniec świata” skończył się.

— Dobrze! Przyjmuję pańskie warunki — odparł Maramballe. — Składam uroczyste przyrzeczenie, iż nigdy nie opublikuję tych zdjęć. Lecz ze swej strony żądam, by pan złożył zobowiązanie, iż nie podejmie pan przeciw mnie żadnych agresywnych kroków.

Baron uśmiechnął się.

— Dobrze! Zgadza się.

W ten sposób doszła do skutku jeszcze jedna transakcja. Maramballe doręczył baronowi negatywy, a baron wypłacił Maramballe'owi dwanaście tysięcy marek. Baron schował negatywy do kieszeni, złożył ogólny ukłon i opuścił pokój. Zanim baron doszedł do drzwi, Metaxa otrzymał od Layle'a swoje dwa tysiące i z szybkością jaszczurki wyśliznął się z pokoju za baronem.

Nareszcie Maramballe mógł spokojnie rozkoszować się czytaniem akt numer sto siedemdziesiąt cztery! Tak mu było spieszo, że postanowił zrobić to natychmiast.

Podniecony zasiadł do biurka i zaczął przeglądać akta, które kosztowały go tyle nerwów i pieniędzy.

Layle przysiadł na parapecie okna i spokojnie palił fajkę. Maramballe po przejrzaniu akt zwiśł nagle bezsilnie całym ciałem, z którego jak gdyby wyjęto wszystkie kości.

— Ciekawa sprawa? — zapytał Layle.

— Układ handlowy. Wszystko to w pełnym brzmieniu zostało oficjalnie ogłoszone w prasie. I ani słowa więcej! Żadnego tajnego układu między Niemcami a Rosją Radziecką... — odpowiedział Maramballe drętwiejącym językiem.

Layle roześmiał się prawie bezdźwięcznie. Lecz słuch Maramballe'a, wyostrzony w dniach „końca świata”, nie osłabł. Ten śmiech był iskrą, która padła na beczkę z prochem.

Maramballe jakby oszalał. Twarz mu się wykrzywiła. Zaczął krzyczeć tak, jak gdyby siedział na tej beczce z prochem.

— Oszuści! Łotry! Złodzieje! Oszukaliście mnie, sprzedawczyki! Pan sprowokował mnie do kradzieży. Pan razem z Metaxą zorganizował bandycką szajkę. Sami panowie podpisaliście „tajne porozumienie mocarstw — Anglii i Grecji przeciw Francji”. Pan, panie Layle, umyślnie podbijał cenę. Pan mnie ograbił... pan... pan...

Maramballe nic więcej nie powiedział. Jego krzyk mógł zwrócić uwagę sąsiadów i Layle poczynił odpowiednie kroki. Podszedł szybko do Maramballe'a i, ścisnąwszy mu szczęki silnymi jak żelazne obcęgi żyłastymi, piegowatymi rękami, powiedział nieomal łagodnie:

— Uprzedzałem przecież pana, Maramballe, że Metaxa jest chytrzejszy od nas razem. Nie przejmuj się, piękna Francjo. Życie to gra i walka. Dziś ci się nie udało. Ale jutro możesz zawrzeć taki sam świetny tajny układ z Włochami lub Brazylią przeciw Anglii i odegrać się. — Dokończył surowym tonem: — Niech pan nie krzyczy tak głośno, panie Maramballe, o naszych sprzecznościach. Proszę nie zapominać, że znajdujemy się w Niemczech.

Maramballe westchnął, wsunął pod kamizelkę teczkę, która już mu nie była potrzebna, i nie żegnając się z Layle'em opuścił pokój. Poszedł do domu.

W swoim pokoju miał urządzoną skrytkę w tylnej ścianie szafy. Dorobił do niej drugą deskę i tam przechowywał dokumenty, których nie powinna była widzieć policja niemiecka. Zamknął drzwi na klucz, wyjął drugą deskę, wyjął ze skrytki zdjęcia zrobione z negatywów sprzedanych niedawno lejtnantowi i szepnął:

— Jeszcze pan o mnie usłyszysz, panie baronie. — Zdjęcia były zabezpieczone. Ale co zrobić z teczką numer 174. Przechowywanie jej w pokoju, nawet w dobrej skrytce, nie było bezpieczne. Maramballe postanowił spalić teczkę.

Lecz nim zdążył wykonać swój zamiar, zapukano do drzwi. Maramballe żył w ostatnich dniach w stanie napiętego oczekiwania i zrobił wszystko, by uniknąć zaskoczenia. Wywiercił w drzwiach wążutką szparkę, przez którą mógł zobaczyć, kto przyszedł.

Ku swemu przerażeniu ujrzał oddział policji. Wszystko było jasne. Baron zauważył teczkę, która wyśliznęła się spod kamizelki, i szybko zakomunikował o tym policji, polecając, by przyłapała Maramballe'a na gorącym uczynku... „Przekłęty baron!” — szepnął Maramballe.

Ale co robić? Nie zdąży spalić teczki. A do drzwi stukano natarczywie i jakiś brutalny głos zawołał:

— Niech pan otworzy, panie Maramballe, bo wyłamie- my drzwi! Widzieliśmy, jak pan wchodził do pokoju.

„Jak ta policja berlińska sprawnie pracuje! — zdziwił się Maramballe. — Pewnie baron zawiadomił ich telefonicznie i policjanci udali się natychmiast za mną”...

Drzwi już trzeszczały... Jeszcze kilka sekund — i pękły pod naporem potężnych ciał. Policjanci wdarli się do pokoju. Pokój był pusty.

Kiedy zaczęli się rozglądać, odezwał się nieoczekiwanie głośnik radiowy tubalnym, zagrobowym głosem. A ten głos oznajmiał straszne rzeczy:

— Halo! Halo! Nowa katastrofa! Ziemia weszła w strefę mgławicy złożonej z gazów trujących! Uciekajcie do schronów przeciwgazowych! Dziesięć minut wystarczy dla zatrucia człowieka.

Ta wiadomość oszołomiła policjantów. Zapomniawszy o celu swego przybycia, rzucili się do korytarza i pobiegli do najbliższego podziemnego schronu przeciwgazowego, roztrącając i przewracając zdumionych przechodniów.

A Maramballe wyszedł zza szafy i nagle zaczął trąbić triumfalnego marsza w głośnik odbiornika.

— Dobry kawał im zrobiłem! — powiedział wesoło. — Teraz nikt ich nie wyciągnie ze schronu. A mnie wystarczy pół godziny, by dojechać do dworca. Wizę wyjazdową mam w kieszeni, pieniądze też. — I Maramballe nagle roześmiał się jeszcze głośniej. — Wyobrażam sobie, jaką minę zrobi Metaxa, kiedy przyjdzie z czekiem do banku i dowie się, że mam na rachunku bieżącym tylko kilkaset marek.

SPIS RZECZY

WYSPA ZAGINIONYCH OKRĘTÓW

CZEŚĆ I

I.	Na pokładzie	02
II.	Burzliwa noc	04
III.	W tej samej pustyni	06
IV.	Morze Sargassowe	08
V.	W królestwie umarłych	11

CZEŚĆ II

I.	Cicha przystań	12
II.	Mieszkańcy wysepki	15
III.	Gubernator Fergus Slayton	17
IV.	Nowe życie	19
V.	Wybór narzeczonego	21
VI.	Porażka Slaytona	24

CZEŚĆ III

I.	Spisek	26
II.	Ucieczka	28
III.	Bez powietrza	30
IV.	Ocalenie	

CZEŚĆ IV

I.	Ekspedycja naukowa	33
II.	Nowy gubernator	37
III.	Palacz opium	41
IV.	Wyspa, która znikła	42
V.	Wielkie wydarzenie	47
VI.	„Aresztować go!”	51
VII.	Staruszek Bocco	53
VIII.	Znowu na wyspie	56
IX.	„Bogowie się mszczą”	58
X.	Tajemnica kapitana Slaytona	63
XI.	Woda i ogień	67

KONIEC ŚWIATA

I.	Pod starą lipą	71
II.	Sobowtór. Maramballe'a	73
III.	W świecie upiorów	76
IV.	Zagadka światła	78
V.	Teczka nr 174	80
VI.	Zabawa w ciuciubabkę	82
VII.	Ostatnia schadzka	85
VIII.	Pościg	88
IX.	Późna wizyta	89
X.	Zaginione dokumenty	91
XI.	Niespokojna noc	93
XII.	„Dramat dźwiękowy”	94
XIII.	Czarna maska	97
XIV.	Koniec „końca świata”	97